



# Alicja

Jacek Piekara

RH<sup>+</sup>

Śniło mi się, że umarłem, i obudziłem szczęśliwy. Potem zdałem sobie sprawę to był tylko sen. Wtedy uczucie euforii gdzieś zginęło, zastąpione tępym porannym bólem, do którego zdołałem już przywyknąć przez te wszystkie lata. Przez lata, w których każdy dzień witał mnie słowami „Jesteś nikim”, a potem dodawał: „I tak już zostanie. Na zawsze, Aleks, na zawsze...” Cóż, jak widać nie jestem człowiekiem, który potrafiłby odnaleźć w szklanej kuli wizję przyszłości, gdyż ta właśnie przyszłość miała mi pokazać, że świat jednak się mną w jakiś sposób zainteresował. Pewnie zresztą nie do końca w taki, jak to sobie wcześniej wyobrażałem albo marzyłem. Niemniej jakikolwiek ruch jest przecież lepszy od stagnacji, a moje życie nieoczekiwanie dla mnie samego nabrało w pewnym momencie zdumiewającej dynamiki.

Wstałem z łóżka i rozsunąłem zasłony. Okna mojego pokoju wychodzą na ciemne podwórko studnię. Na rogu od ulicy stoi kapliczka Matki Boskiej, gdzie prawie codziennie przed gipsową figurką palą się kolorowe świece w szklanych kubeczkach. Naprzeciwko Matki Boskiej, na poszarzałym i odrapanym tynku ktoś wypisał, dawno temu, słowa „Legia kurwa” i naszkicował szubienicę z zawieszoną na pętli literą „L”. Biała farba złuszczyła się prawie całkowicie i teraz widać w zasadzie jedynie cień dawnego napisu i cień rysunku, który jednak pozostał odczytywalny. Stara Wąsowa chodzi co tydzień do dozorczy i wrzeszczy, żeby zdarł ten napis, a dozorca co tydzień obiecuje, że się za to zabierze. I tak mija miesiąc po miesiącu. Czasami myślę, że wulgarne hasło, na które smutnym wzrokiem spłowiejałej farby patrzy Matka Boska, najbardziej potrzebne jest właśnie Wąsowej. Aby miała powód do prowadzenia walki ze światem. Chociaż stara Wąsowa walczy nie tylko z napisem zarzucającym stołecznemu klubowi nieprawe pochodzenie. Wojuje również z kilkoma dziewczynkami, które nasze podwórko uznały za doskonałe miejsce do polekcyjnych gier i zabaw. W zasadzie ciągle przesiadują pod moim oknem, więc mam okazję widzieć, jak skaczą w gumę, rzucają piłką do siatkówki lub po prostu plotkują, siedząc na murku. Najczęściej ustawiają obok miniwieżę, z której płyną przeboje bliżej mi nieznanymi wokalistek o seksownych głosach. Zdumiewające, że w epoce gier komputerowych, automatów i konsol, stare rozrywki wcale się nie zestarzały. Tak samo jak w latach chłopięcych, z nieustającym zdziwieniem przypatruję się, jak dziewczynki grają w gumę. Wydają się bez najmniejszego trudu rozumieć ten cudaczny rytuał skoków; układy, które mnie nie mówią nic, a czasem i wyglądają tak samo, dla nich jednak są inne. Dzieci mają po mniej więcej trzynaście, czternaście lat i jak na swój wiek zachowują się raczej cicho. A może mi po prostu nie przeszkadzają ich śmiechy i pokrzykiwania? Zawsze potrafiłem pracować w hałasie. Nawet jazgotliwy wrzask wiertarki u sąsiada na górze, który chyba przez pół roku, dzień w dzień, remontował mieszkanie, nie wywoływał u mnie zdenerwowania. Nie mówiąc już o kłótniach

mażeńskich czy odgłosach alkoholowych libacji. Poza tym, cóż, nie mam innego wyjścia, jak się dostosować. Za pokój z kuchnią, przedpokojem, w którym zdejmując płaszcz, trzeba uważać, by nie zahaczyć dłońmi o ściany, i łazienką wypełnioną niemal w całości przez poznaną rudymi naciekami wannę, płacę symboliczny czynsz i nie sądzę, bym gdziekolwiek indziej znalazł coś w podobnej cenie.

Stolik, przy którym pracuję, stoi naprzeciwko okna, więc często, kiedy mam już dość ustawicznego skreślania, poprawiania i pisania nowych dialogów, po prostu przypatruję się zabawom dziewczynek. Czasami też widzę, jak stara Wąsowa podchodzi w ich stronę kolebiącym się krokiem leciwej kaczki i krzyczy, żeby wreszcie poszły do domu odrabiać lekcje albo żeby „na rany Chrystusa!” znalazły sobie inne podwórko, albo żeby chociaż wyłączyły tę diabelską muzykę. Dziewczynki wtedy nieruchomieją i słuchają jej w całkowitym milczeniu, aż wreszcie stara Wąsowa przestaje krzyczeć, grozi im palcem i wraca do mieszkania lub zapala następną świeczkę u stóp gipsowej figurki. A ja mogę wrócić do pracy. Pamiętam, jak pewnego dnia Wąsowa odwiedziła mnie.

Gruba i ociężała, pachnąca starymi ubraniami i smażoną cebulą. Stała w progu, ciężko dysząc, a gdy poprosiłem ją do środka, pokręciła głową. Na stopach miała filcowe rozdeptane kaptcie. Przy jednym z nich kołysał się szarobrudny pompon, zawieszony na jakiejś cudem już chyba trzymającej się nici.

- I co z tym zrobimy? - zagadnęła. Oczywiście wiedziałem, o co chodzi, lecz uniosłem brwi z dobrze zagranym zdziwieniem.

- Przepraszam, nie rozumiem: z czym? - spytałem grzecznie.

- Z nimi. - Wskazała gdzieś w kierunku mojego okna, za którym słychać było klaskanie butów o beton.

- To dzieci, proszę pani. Niech się bawią.

- Z takich zabaw, to tylko... - Machnęła dłonią i zaczęła się wolno odwracać. - Nic pan nie zrobi, co? - rzuciła jeszcze przez ramię.

- Mnie one naprawdę nie przeszkadzają - odparłem łagodnym tonem. - Poza tym są raczej cicho.

- Tak, tak, i popatrzyć sobie można na małe dziewczynki, a jakże! - powiedziała nagle z jakąś ciętą zajadłością i zaczęła schodzić ze schodów, wściekle posapując.

Nie potrafiłem jej odpowiedzieć. Często nie umiałem poradzić sobie z chamstwem i oskarżeniami niemającymi żadnych podstaw. Owszem, przyglądałem się dziewczynkom, tak jak przyglądałbym się kołyszącym gałęziom drzew czy figlującym szczeniakom. Tyle, że na tym podwórku nie wykiełkowałyby nawet najmniejsza roślinka, a szczeniaki wolą bawić się na trawie, nie na betonie. Jak mógłbym patrzeć innym wzrokiem na czternastoletnie dziewczynki

o chudych nogach i piegowatych dziecięcych buziach? Wiem, że w dzisiejszych czasach są czternastoletnie modelki, które wyglądają niczym dorosłe kobiety i królują na wybiegach całego świata. Wiem, że ośmioletnie miss piękności ubiera się, maluje i robi im operacje plastyczne. Ale dziewczynki z podwórka naprawdę nie przypominały ani modelek, ani dziecięcych missek. A jeśli by przypominały, budziłyby we mnie tylko współczucie oraz niechęć do sposobu, w jaki rodzice postanowili „uprzyjemnić” im dzieciństwo. I miałem to wszystko tłumaczyć starej kobiecie, której mózg pracował zapewne tak samo ciężko jak nogi? Być może była poczciwą kobietą, tyle że po prostu diabelnie zmęczoną życiem i rozżaloną na cały świat. Lecz mnie to nic nie obchodziło. Poczciwi ludzie potrafią zaszkodzić innym w tym samym stopniu co szuje oraz kanalie. A może nawet są gorsi, gdyż szczerze wierzą we wszystkie bzdury, które zdarza im się wygadywać. A kiedy zabijają człowieka (w dzisiejszych czasach zabić go można przecież nie tylko ostrzem noża, także ostrzem słowa), nie mają wyrzutów sumienia, a poczucie dobrze spełnionej misji.

Zamknąłem drzwi. Ciekawe, czy inni sąsiedzi też myślą o mnie w ten sposób? Może fakt, że wpatruję się w podwórko, ma dla nich inne znaczenie? Może sądzą, że jestem człowiekiem czyhającym, aż sukienka którejs z dziewczynek zawinie się do góry i będę mógł zobaczyć bawełniane majtki? Otrząsnąłem się. Sama myśl była tak niedorzeczna i tak wstrętna, że zrobiło mi się niedobrze. Zostałem wychowany w szacunku dla starych dobrych zasad: pomagaj kobietom w ciąży, okazuj szacunek ludziom starszym, opiekuj się dziećmi, gdyż są słabsze i tej opieki wymagają. Oczywiście życie weryfikuje wszelkie zasady. Kobieta w ciąży może okazać się niepospolitą jędzą, staruszek wyjątkowym skurwysynem, a „bezsstresowo” wychowane dziecko doprowadzi do szału każdego normalnego człowieka. To są wyjątki od zasad, niemniej nie powodują tego, by zasady przestały obowiązywać.

Wiedziałem jednak, iż sąsiedzi mogą uważać mnie za dziwaka. Spędzałem całe dni w domu, zwykle przy stole koło okna i starałem się pisać. Poprawiałem i cyzelowałem zdania, które dawno temu wydawały mi się poprawione i wycyzelowane. Zmieniałem całe strony, dodawałem i kasowałem wątki oraz dialogi. A mimo to nic nigdy mi się nie udawało. Mój scenariusz wylądował już w koszu wszystkich możliwych agencji, głucho o nim było na konkursach. Ale wciąż miałem nadzieję. Nie mogłem przerwać tej pracy, ponieważ tym samym zaprzeczyłbym sensowi ostatnich lat życia. Pamiętałem scenę z „Najdalszego brzegu”, kiedy dziewczyna (czy nie była to przypadkiem piękna Ava Gardner?) sadi roślinę, która ma zakwitnąć dopiero na wiosnę następnego roku. A wiadomo, że jesienią wszyscy umrą na chorobę popromienną. Podobnie było z moim scenariuszem. Próbowałem posadzić rachityczną roślinkę i nie miałem żadnych wątpliwości, że nie zobaczę, jak kwitnie. Ale nadzieję trzeba mieć. Irracjonalną, bezsensowną nadzieję. Taką, która każe ci obstawiać orła, gdy rzucasz

falszywą monetą mającą reszkę zarówno na rewersie, jak i awersie. Bez tej nadziei mogłem równie dobrze się powiesić. Zresztą tak czy inaczej mogłem się powiesić i wiedziałem, że zdanie „świat nie zapomniałby o tym szybko” mnie by nie dotyczyło. Świat pewnie nie zauważyłby mojego odejścia. Nie sądziłem, aby na moim pogrzebie zjawił się ktoś oprócz grabarzy. Cóż, nie mogłem się jednak nad sobą użalać, bo sam sobie wybrałem taki, a nie inny los... I nikt nie był winien temu, co się działo złego w moim życiu, oprócz mnie samego. Kiedyś stworzyłem własną hierarchę sławy opartą na komunikatach prasowych dotyczących zamachu terrorystycznego. Stopień pierwszy: „W zamachu zginęło sto jeden osób”. Oczywiście ani słowa o Aleksie. Stopień drugi: „W zamachu zginęło sto jeden osób, w tym polski scenarzysta”. Stopień trzeci: „Polski scenarzysta zginął w zamachu, w którym ofiarami było sto jeden osób”. Stopień czwarty: „W zamachu przeprowadzonym na polskiego scenarzystę zginęło sto niewinnych osób”. Ja w tej chwili plasowałem się na stopniu zerowym. Pewnie napisaliby, że zginęło stu ludzi, gdyż zapomnieliby nawet policzyć czarny worek z moimi zwłokami.

\* \* \*

Następnego dnia po rozmowie ze starą Wąsowa przerwałem pracę, kiedy zobaczyłem, jak dziewczynki rozsiadają się na murku i ustawiają obok kolorową miniwieżę. Wieża błyskała światłkami, a z wbudowanych kolumnienek rozlegało się głośne „umcyk, umcyk, umcyk, bum!”, czasami zmieniane na „umcyk bum, umcyk bum”. Jak słucha się takiej muzyki, to niemal można zakochać się w operze...

Uzmysłowiłem sobie, że do tej pory traktowałem dzieciaki tak bezosobowo, iż nie poznałbym zapewne żadnego z nich na ulicy. Ot, były po prostu śmiesznymi jasnowłosymi stworzonkami o chudych nogach i rękach przypominających patyki. Wtedy właśnie po raz pierwszy zobaczyłem Alicję. To, że ma na imię Alicja, dowiedziałem się oczywiście później, gdy stanęła na progu mojego mieszkania. Ale wtedy potrafiłem już połączyć twarz z imieniem. Alicja miała popielate sięgające ramion włosy, nierówno przyciętą grzywkę i jasne piegi na nosie. Była dość wysoka i bardzo szczupła, żeby nawet nie powiedzieć: chuda. Nosila wytarte dzinsy oraz spłowiła szarą koszulkę z podobizną rockowego gwiazdora o oszałamiającym uśmiechu, lwiej grzywie i śnieżnobiałych zębach. Później zauważyłem, że nigdy nie potrafiła porządnie zawiązać butów. Snurowadła jej adidasów przypominały koszmarny węzeł gordyjski, w którym nie wiadomo gdzie jest koniec, a gdzie początek. No, ale wtedy nie zwróciłem uwagi na taki drobiazg jak sznurówki.

Obserwowałem chwilę, jak sprzeczą się, który kompakt włożyć do wieży, po czym zabrałem się do pracy. Ostatnio powiedziano mi, że powinienem wyraźniej zarysować postać jednej z kobiet występujących w scenariuszu. Trudno mi było przekonać rozmówcę, iż nie ma sensu zarysowywać sylwetki jakiegokolwiek kobiety, jeśli bohaterowie traktują wszystkie partnerki w sposób całkowicie instrumentalny. Jednak równie dobrze mogłem mówić do ściany. Wyciąłem stronę i pomyślałem z rozpaczą, jak wiele głupich pomysłów będę musiał jeszcze wprowadzać i jak wiele stron zniknie w ten sam sposób co przed momentem. Oczywiście trzymałem na twardym dysku wiele wersji scenariusza i doskonale wiedziałem, że ta, nad którą pracuję, w niewielkim już stopniu przypomina oryginał. Bo życzenia ludzi, z którymi rozmawiałem, były często tak rozbieżne, jak tylko można to sobie wyobrazić. „Więcej jaj, więcej czadu” - mówili jedni. „Uspokój atmosferę” - radzili drudzy. „Za dużo w tym lynchowskiej metafizyki” - krzywili się inni. „To ma być psychologiczne studium, a nie wideoklip” - twierdzili kolejni. Nie mówię już o radach dotyczących poszczególnych scen, rozwiązania wątków fabularnych czy charakterystyki postaci. Może powinienem przynajmniej być wdzięczny, że przeczytali tekst (choć zwykle pobieżnie) i znaleźli czas, by podzielić się swoimi uwagami? W końcu sztuka tkwi w umiejętności wysłuchiwanie prawdy, nawet jeśli jest to prawda należąca do kogoś innego...

Sięgnąłem po kubek i w tym samym momencie rozległ się huk, a na stolik i klawiaturę posypały się odłamki szkła. Jeden okruch wpadł do herbaty. Wyraźnie widziałem, że szklany trójkącik o ostro zarysowanych bokach plusnął wprost do kubka, a fontanna burych kropeł osiadła na klawiszach i blacie. Od blatu odbiła się piłka do siatkówki, uderzyła o komódkę pełną papierów, po czym wylądowała na kapie łóżka. Wszystko musiało trwać jedynie ułamek sekundy, czas pozwalający na usłyszenie ciszy pomiędzy dwoma uderzeniami serca... Jednak gdy przypominam sobie tę scenę, wydaje mi się, że pamiętam każdy jej fragment, jakbym oglądał na zwolnionym filmie, klatka po klatce. Rozpryskujące się szkło, krople herbaty, odbijająca się piłka. Zresztą zapewne teraz jest to tylko projekcja, bo jak mogłem przypuszczać, że rozbita szyba i piłka do siatkówki zmienią moje życie? A raczej zmienią moje życie o tyle, że dzięki nim poznałem Alicję. Nie mogę powiedzieć, bym zachował stoicki spokój, kiedy huknęła szyba, wszędzie posypało się szkło, a piłka odbijała się po moim pokoju. Podskoczyłem na krześle, serce wleciało mi do samego gardła. Wyrząłem za okno, a raczej za to, co zostało z mojej szyby. Trzy dziewczynki stały na podwórku i wpatrywały się we mnie dzikim wzrokiem zaszczutych zwierzątek. Cofnąłem się do pokoju i sięgnąłem po piłkę.

- Która ma takiego cęła? - zapytałem.

Nie odpowiedziały. Wzruszyłem ramionami i rzuciłem im piłkę łagodnym łukiem. Zabawne, lecz nie miałem pojęcia, która z nich ją złapała, natomiast teraz jestem głęboko

przekonany, iż najszybsza była Alicja. Pytałem Alicję o to kiedyś, długo po samym wydarzeniu, lecz powiedziała, że nie pamięta. Potem spojrzała na mnie śmiertelnie poważnym wzrokiem, do którego zdążyłem się już przyzwyczaić, i zapytała: „Czy to ważne, Aleks?”.

Faktycznie, nie było ważne. A może było, gdyż dotyczyło jej - człowieka, za którego w przyszłości chciałem i mogłem oddać życie. To wszystko jednak zdarzyło się o wiele później, więc nie powinienem wybiegać myślami tak daleko...

Zebrałem dokładnie szkło z blatu i podłogi, herbatę wylałem do zlewu. Potem owinąłem dłoń szmatką i zacząłem ostrożnie wybijać resztki szyby. Kit był stary, choć mocno już sparszywiały, trzymał wyjątkowo solidnie. W rogach zostały szklane zadry i drzazgi, które naprawdę trudno było usunąć. Męczyłem się nad nimi, przygryzając ze złości język, i nie zauważyłem, że stara Wąsowa stoi pod oknem. Stoi, przyglądając mi się złośliwym wzrokiem.

- Mówiłam, że skaranie boskie z nimi - powiedziała z satysfakcją.

Wyciągnąłem szczególnie oporny ułomek i spojrzałem w stronę kobiety.

- Zatrzasnąłem za mocno okno - wyjaśniłem. - I szyba pękła. To stare okna. Pewnie jakieś wewnętrzne naprężenie.

Popatrzyła na mnie przeciągle. „Wewnętrzne naprężenie” - powtórzyła powoli takim tonem, jakby były to wyjątkowo nieprzyzwoite słowa. Ale, ku mojemu zdziwieniu, odeszła po chwili, nic już nie mówiąc. Dziewczynki nadal stały bez ruchu, piłka leżała u ich stóp. Uśmiechnąłem się.

- Każdemu się zdarza - stwierdziłem, kiedy zobaczyłem, że Wąsowa weszła do klatki schodowej i na pewno nie słyszy moich słów.

Tak naprawdę wcale nie było mi do śmiechu. Wiedziałem, że muszę poszukać szklarza, a co gorsza, zapłacić mu za szybę oraz robociznę. A wtedy był to dla mnie, co tu dużo mówić, wydatek równie nieprzyjemny, jak niespodziewany.

- Dziękujemy panu - powiedziała jedna z nich i dziś znowu jestem pewien, że to była Alicja. - Będziemy uważać na przyszłość.

Oczywiście później zapytałem, czy to była ona, i oczywiście, jak zwykle nie odpowiedziała wprost. „Aleks - usłyszałem w zamian. - Ja mam tylko czternaście lat. Czy myślisz, że wszystko pamiętam?”

„Jasne, Alicjo. - Chciałem jej wtedy odpowiedzieć. - A boże krówki żywią się słabą herbatą ze śmietanką...”

Lecz wzruszyłem jedynie ramionami, bo Alicja nie była dziewczynką, która powiedziała by cokolwiek, czego z jakichś, bliżej mi zresztą nieznanym powodów, nie chciała powiedzieć.

\* \* \*

Następnego dnia obudziłem się zlany potem. Śnił mi się ogromny kruk o smolistoczarnym upierzeniu, który siedział na poręczy łóżka i wpatrywał się we mnie oczami, w których wybuchały krwawe błyski. Dawno przestałem śnić piękne kolorowe sny o tropikalnych wyspach, podniebnych lotach i kobietach utkanych ze światła. Teraz moje sny są zwykle tak samo atrakcyjne, jak wybieranie węgla z piwnicy. Ale tym razem było inaczej, gdyż w kruku dostrzegałem zarówno coś przerażającego, jak i nieodparcie pociągającego. Kiedy się ocknąłem, niemal żałowałem, że już go nie widzę, a na spaczonych deskach podłogi nie leży błyszczące czernią pióro.

Alicję zobaczyłem tego samego dnia. Zadzwoiła do moich drzwi i pamiętam jak dziś, że były to trzy krótkie szybkie dzwonki. Potem przyzwyczailem się już do podobnego dźwięku. Otworzyłem i nie wiem nawet, czy zdziwiłem się, widząc, że stoi na progu. Wypluła gumę na otwartą dłoń i schowała do kieszeni dzinsów.

- Mam na imię Alicja - przedstawiła się poważnym tonem. - To ja zbiłam twoją szybę.

- Mam na imię Aleks, Alicjo - odparłem, ponieważ była to pierwsza rzecz, o której pomyślałem.

- Cześć, Aleks. - Skinęła mi głową.

Staliśmy przez chwilę, a ja nie za bardzo wiedziałem, co robić.

- Chcesz wejść? - spytałem.

- Dziękuję - odparła.

W momencie, kiedy przekraczała próg mojego mieszkania, usłyszałem, jak na dół schodzi wiecznie skacowany sąsiad z pierwszego piętra. Na drewnianych schodach o wytartych i wygładzonych kantach słyhać było szuranie jego butów. Nie miałem wątpliwości, że zobaczył Alicję, i zrobiło mi się zimno. Dlaczego uczciwi ludzie tak bardzo boją się posądzeń o nieuczciwość? - spytałem siebie i nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Może dlatego, że od pewnego czasu nie zostało we mnie nic poza lękiem. Czasami łapałem się na myśli, że najlepszy jest świat, w którym nikt cię nie zauważa, gdyż niezauważony nie możesz zostać skrzywdzony. Pewnie zresztą nie miałem racji, bo bycie cieniem wcale nie jest zabawne, a jeszcze mniej zabawne jest bycie kimś, kto zazdrości cieniowi.

- Proszę, usiądź. - Wskazałem taboret stojący pod ścianą.

Teraz przynajmniej, dzięki Bogu, nie było jej widać z podwórka.

- Co robisz, Aleks? - Popatrzyła na mój komputer.

- Piszę scenariusz - odparłem z mimowolnym westchnieniem.

- Jesteś sławny i bogaty?



Dziwne pytanie jak na czternastolatkę. Ha, wtedy mnie zaskoczyło, później nauczyłem się już, że jeśli chodzi o Alicję, nic nie powinno dziwić ani zaskakiwać.

- Czy mieszkałbym tu, gdybym był sławny i bogaty? - zapytałem z uśmiechem, choć uśmiech nie przyszedł mi łatwo. - A może myślisz, że mam dom na Riwierze, a w Warszawie bawię tylko na wakacjach?

Pokiwała głową i podeszła do monitora. Pamiętałem, jaką scenę pisałem przed momentem, więc zanim zdążyła się dokładnie przyjrzeć, wyłączyłem ekran.

- Alicjo, nikt ci nie mówił, że pisarze nie lubią, kiedy się podgląda ich pracę?

- Nie - odparła po prostu. - To prawda?

- Przynajmniej ja nie lubię - wyjaśniłem. - Chcesz herbaty?

- Masz miód?

- Mam.

- To dobrze, cukier jest niezdrowy. Ja piję tylko gorzką albo słodzę miodem.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że Alicja intrygowała mnie od samego początku. Gdybym wtedy, kiedy stała na progu, podziękował jej, pożegnał się i zamknął drzwi, zapewne nie zdarzyłoby się wszystko to, co się zdarzyło. Być może siedziałbym nadal w małym smutnym mieszkanku z oknem na podwórko studnię i próbował w nieskończoność poprawiać scenariusz. Czasem zastanawiam się, kim bym był, gdyby nie spotkanie z Alicją, i czy znajomość z nią była znakiem, a jeśli tak, to od kogo pochodził ten znak? I jak zwykle nie potrafię sobie odpowiedzieć na w ten sposób zadane pytanie, a samej Alicji nawet nie ma po co indagować. Doskonale wiem, że spojrzy na mnie z politowaniem, pokręci głową i mruknie: „Aleks, czy ty naprawdę nie masz ważniejszych spraw?”.

Wtedy jednak siedzieliśmy przy stole i Alicja piła herbatę z białego kubka z czerwonym sercem. Później i ten fakt wydawał mi się pewnego rodzaju zabawnym czy też znaczącym zbiegiem okoliczności, lecz przypomniałem sobie o nim dopiero w chwili, kiedy uratowała mi życie. Zresztą, gdy zastanawiam się nad przeszłością, wydaje mi się, że uratowała je nieraz. Ale, cóż, niepotrzebnie wyprzedzam fakty. Tego dnia nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Alicja grzecznie spytała, czy powinna mi zapłacić za szybę, ja równie grzecznie odpowiedziałem, że jest to zupełnie niepotrzebne, co przyjęła z dobrze skrywaną ulgą.

- Czy mogę cię jeszcze odwiedzić, Aleks? - zapytała. Podobał mi się sposób, w jaki wymawiała moje imię.

I nie chodziło nawet o sposób jego wymawiania, ile o sam fakt zwracania się do jednej i konkretnej osoby. Alicja nigdy nie poprosiłaby: „Czy możesz mi zrobić herbatę?”, lecz „Aleks, czy możesz mi zrobić herbatę?” albo „Czy możesz mi zrobić herbatę, Aleks?”. Wydaje mi się teraz, że ten właśnie sposób mówienia miał podkreślać szczególną więź, która narodziła się

między nami. Jak się domyślicie, darowałem sobie zadawanie pytań, co sądzi o mojej koncepcji.

Kiedy spytała, czy może mnie jeszcze odwiedzić, nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Wreszcie postanowiłem zdobyć się na szczerość:

- Posłuchaj, Alicjo. Niektórzy ludzie w bardzo dziwny sposób patrzą na to, że dziewczynka w twoim wieku może odwiedzać samotnego dorosłego mężczyznę. Z całą pewnością mówiono wam o tym w szkole, prawda? Na pewno mieliście jakieś pogadanki z psychologami albo policjantami?

Nie przytaknęła ani nie zaprzeczyła, tylko patrzyła poważnym wzrokiem, który zawsze mnie trochę peszył. Wtedy po raz pierwszy dostrzegłem, iż ma niebieskie oczy. Bardzo niebieskie. Jak błękit nieba za oknem samolotu lecącego nad Morzem Śródziemnym.

- Twoi rodzice na pewno nie byliby zachwyceni - dodałem.

- Moich rodziców nie interesuje, co robię - odparła, nie wyczułem jednak śladu goryczy w jej głosie. Po prostu stwierdzała fakt. - Ale ty nie jesteś takim człowiekiem, prawda, Aleks?

- Mój Boże, oczywiście, że nie! - Mówiłem te słowa z autentycznym przerażeniem, że coś takiego mogłoby jej w ogóle wpaść do głowy.

Mogłem to powiedzieć szczerze, gdyż pociągały mnie zawsze posągowe piękności o kształtach rzeźbionych na wzór klepsydry. W moich erotycznych marzeniach nie było miejsca na nastolatki w krótkich granatowych spódniczkach i białych rajstopach - ulubione danie Japończyków.

- Więc nie masz się czego bać, prawda? Jesteś kim jesteś, Aleks.

- Jesteś bardzo niezwykłą osobą - odparłem po chwili, bo to, co usłyszałem, na pewno nie pasowało do czternastolatki. - I w takim razie będę z tobą rozmawiał jak z dorosłą. Żyjemy wśród ludzi i musimy uważać, jak nas odbierają oraz co o nas myślą. Nie liczy się fakt, że nie robimy nic złego, jedynie to, że możemy być posądzeni o robienie złych rzeczy. Pomyśl na przykład...

- Nie, Aleks - przerwała mi bardzo stanowczo i wstała. - Nie masz racji. Jak można być wolnym człowiekiem i żyć w klatce społecznych przesądów?

Dopiero po chwili zorientowałem się, że dokładnie zacytowała fragment dialogu z mojego scenariusza. Co do słowa. A więc jednak zdążyła przeczytać kawałek, zanim wyłączyłem monitor. Patrzyłem na nią i na pewno nie wyglądałem w tym momencie zbyt inteligentnie.

- Do widzenia, Aleks. - Wstała z taboretu. - Miłej pracy.

- Jasna cholera - mruknąłem, kiedy usłyszałem trzaśnięcie drzwi.

Szczerze powiem, że pisanie scenariusza zupełnie mi tego wieczora nie szło. Czy chciałem tego, czy nie, myślałem o spotkaniu z Alicją. Potem miałem się już przyzwyczać, że właśnie ona stała się moim głównym życiowym problemem. „Na dobre i na złe, Aleks” - powiedziała kiedyś i nie mam pojęcia, czy w naszym przedziwnym związku było więcej tego pierwszego, czy tego drugiego.

\* \* \*

Lubiłem stać w bramie, niby przypadkiem, gdy na ulicy pojawiała się pewna czarnowłosa dziewczyna. Była punktualna niczym szwajcarski pociąg. Zawsze o czternastej czterdzieści pięć przechodziła przez pasy na skrzyżowaniu i lekkim, szybkim krokiem mijała nasze podwórko. Była kobietą z innej bajki i dobrze wiedziałem, że jedyne, co mogę zrobić, to przyglądać się, jak idzie. Tak jak dzieci z ubogich afrykańskich wsi mogą tylko patrzeć na pędzące pociągi o rozświetlonych oknach, za którymi kryją się biali sahibowie. Wydawała się pewna siebie i swojej urody, przemykająca jedynie gdzieś na pograniczu mojego świata, który nie mógł jej w żaden sposób zainteresować. Tak jak podróżującego pociągiem turystę nie interesują wioski, które mija, ani ich żałośni mieszkańcy. Dziewczyna miała klasyczne rysy twarzy, wąski nos i pełne usta. Włosy lekko zakręcone na końcach opadały tuż nad ramiona. Zawsze nosiła buty na bardzo wysokich obcasach i dość krótkie sukienki, które podkreślały linię smukłych nóg. Wyglądała jak modelka, choć być może na modelkę miała zbyt inteligentną twarz.

Następnego dnia po spotkaniu z Alicją pozwoliłem sobie na przyjemność oglądania z bramy krótkiego spaceru piękności. Kiedy przeszła, poczułem, że Alicja stoi za moimi plecami. Poczułem, to dobrze powiedziane, ponieważ mam węch wyostrzony w stopniu znacznie większym niż inni ludzie. Zapach świeżo wypranej koszulki i owocowej gumy do żucia był tym samym zapachem, który czułem, gdy piła herbatę w moim pokoju.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Krówkę? - Wyciągnąłem torebkę z cukierkami kupionymi w małym sklepiku obok.

- Jasne, Aleks. Uwielbiam krówki.

No cóż, przynajmniej w tym wypadku była podobna do innych dzieci. Usłyszałem szelest rozwijanego papierka.

- Często się jej przyglądasz? - zapytała z pełnymi ustami.

Odwróciłem się.

- Komu?

- Aleks, bardzo cię proszę... - Użyła takiego tonu, jakiego mogłaby użyć dobra pani nauczycielka w stosunku do trochę krnąbrnego, a trochę tępawego dziecka, które jednak zaraz naprowadzi na ścieżki właściwego rozumowania. - Myślisz, że jestem ślepa?

- Myślę, że to ostatnia rzecz, jaką można o tobie powiedzieć - odparłem, gdyż przypomniało mi się, jak szybko zdołała podejrzeć wczoraj fragment scenariusza.

- Więc?

- Czasami. - Wzruszyłem ramionami. - Jest ładna, nie sądzisz?

- Yhm. - Przytaknęła szczerze. - Myślę, że tak. Dlaczego do niej nie podejdziesz?

Miałem za sobą całą noc i cały dzień poprawiania scenariusza. Byłem niewyspany, zmęczony i wściekły. Zrozpaczony własnym życiem i pytaniami, dlaczego Bóg uznał mnie za tak wdzięczny obiekt eksperymentów. Może nie byłem jeszcze tak interesującym obiektem jak Hiob, ale obawiałem się, iż zmierzam właśnie w podobnym kierunku. Pewnie nigdy nie powiedziałbym tego, co powiedziałem, gdyby nie te właśnie okoliczności.

- Dlaczego do niej nie podejść? - zapytałem gorzko. - Dlatego, że jestem facetem niepotrafiącym napisać scenariusza, który ktokolwiek chciałby kupić? Facetem mieszkającym w obskurnej klitce na równie obskurnym podwórzu i martwiącym się, czy będzie miał z czego zapłacić czynsz? Jak myślisz, pewnie byłaby zachwycona, spotykając się z kimś takim jak ja? Trzymaj się ode mnie daleko, dziecko, bo możesz się zarazić pechem...

Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, że moje słowa musiały wywrzeć na Alicji większe wrażenie niż sądziłem.

W innym wypadku zareagowałaby alergicznie na słowo „dziecko”. Tym razem jednak pominęła je milczeniem. Za to ja, kiedy kończyłem tyradę, zdałem sobie sprawę, że nie powinienem w ten sposób mówić do czternastoletniej dziewczynki. Nie powinienem tak zresztą mówić do nikogo, nawet do samego siebie. Ale to była właśnie prawda. Byłem zerem i nieudacznikiem. I nie wierzyłem, że kiedykolwiek może przytrafić mi się coś godnego uwagi. Nie czekały mnie przygody, nie miałem być świadkiem ani uczestnikiem niespodziewanych wydarzeń, nie miałem kształtować historii. Także historii własnego życia. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, mogę tylko ubolewać nad swoimi marnymi zdolnościami przewidywania.

- Powinna zobaczyć ciebie, Aleks - stwierdziła Alicja, a potem krzyknęła coś do koleżanki, która przechodziła po drugiej stronie ulicy. - Dzięki za krówkę! - rzuciła mi już w przelocie i przebiegła przez jezdnię.

- Powinna zobaczyć mnie - mruknąłem do siebie. - Jasne. Dzięki za radę, Alicjo. Masz jeszcze kilka złotych myśli na podorędziu?

Może powinienem napisać scenariusz w takim właśnie stylu. Pełen wyświechtanych banałów, pozornie odkrywczych myśli oraz ociekający patosem. Zupełnie jak pan Paulo

Coelho. „Jej uważne spojrzenie zanurzyło się w głębi jego duszy i odkryła coś, co pozostawało pod pancierzem, który zbudował wokół swych uczuć oraz emocji. Zobaczyła prawdziwego Aleksa, bezbronno silną i silnego bezbronnością. A kiedy już ujrzała to wszystko, jej źrenice rozbłyły”. No i właśnie coś w ten deseń...

Zawróciłem w stronę domu, bo na podwórku nie miałem już nic do roboty. W zasadzie moja aktywność w ciągu dnia sprowadzała się do porannych odwiedzin w małym sklepiku na rogu ulicy, gdzie kupowałem gazety, papierosy, pieczywo i coś do pieczywa.

Od pewnego czasu jadłem bardzo mało, za to mnóstwo paliłem i wypijałem całe litry herbaty. Na szczęście nie przepadałem za mocną herbatą, więc piłem jasno-brązową lurę, która byłaby obrazą dla każdego konesera. Ale ja, cóż, nie byłem koneserem. Moje życie było właśnie takie jak ta rozwodniona herbata. Nijakie i bez smaku. Wiedziałem, że nie zasłużyłem na podobny los, i ten fakt dodatkowo pogłębiał depresję. Dopiero Alicja miała wszystko zmienić, zmienić sens i smak życia, zarówno mojego jak i swojego. Pamiętam, jak kiedyś w nocy wstała i podeszła do łóżka. Biała, szczupła, jaśniejąca w mroku niczym widmo: „Aleks, czy cieszysz się, że żyjesz?” - zapytała, a po napięciu w jej głosie poznałem, że to pytanie ma dla niej wielkie znaczenie. Ale nie wahałem się, jakiej udzielić odpowiedzi. Lecz to zdarzyło się dużo później.

Tymczasem tamtego dnia wróciłem spokojnie do mieszkania, zaparzyłem herbatę, przejrzałem gazety i przygotowałem kanapki posmarowane topionym serem oraz przyozdobione plasterkami pomidora. Nie zdążyłem nawet usiąść na krześle, gdy rozległy się trzy krótkie szybkie dzwonki. Nie musiałem patrzeć przez wizjer, by domyślić się, że za drzwiami stoi Alicja. I rzeczywiście. Przez ramię miała przewieszoną dużą wytartą na brzegach torbę z ciemnego skaju.

- Dawno się nie widzieliśmy, Alicjo - przywitałem ją z leciutką ironią, a potem zaprosiłem do środka po chwili wahania.

Byłem pewien, że dostrzegła to wahanie, lecz nie wiedziałem, czy domyśla się, z czego ono wynika. A jeśli nawet, nie sądziłem, by poważnie traktowała moje obawy.

- Nie przeszkadzam, Aleks? - spytała tonem, który wyraźnie dawał do zrozumienia, że powinienem odpowiedzieć „nie”.

- Nie - odparłem zgodnie z jej oczekiwaniami. - Chcesz zjeść ze mną śniadanie?

- Śniadanie? - Spojrzała na tani plastikowy zegarek z cyfrowym wyświetlaczem. - Jest trzecia po południu. Jadłam już obiad na stołówce. Czy ty zawsze jesz śniadania o takiej godzinie?

- Czasami - odparłem.

Tego mi jeszcze brakowało. Czternastoletniej smarkuli próbującej krytykować mój tryb życia.

- O czym jest twój scenariusz, Aleks?

- To scenariusz filmu dla dorosłych - wyjaśniłem i po wyrazie jej oczu zorientowałem się, że nie powinienem mówić w ten sposób.

- Mogę prosić o herbatę, Aleks? - spytała jednak tylko.

Postawiłem na gazie okopcony żółty czajniczek i wyjąłem z szafki kubek. Ten sam co poprzednio, z czerwonym serduszkim.

- Aleks, czy mógłbyś mi dać inny kubek?

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem, ale posłusznie wyciągnąłem masywny niebieski kubek ze złotym napisem „Pamiątka z Krynicy”. Kiedy później nad tym myślałem, miałem wrażenie, że Alicja w taki właśnie sposób chciała mnie ukarać, iż nie opowiedziałem jej o scenariuszu. Choć być może była to tylko moja imaginacja. W końcu myśli Alicji bardzo często pozostawały dla mnie nieodgadnione. Przynajmniej do momentu, kiedy zrozumiałem, że jej życie w dużej mierze wypełniają myśli o mnie.

- Co trzeba zrobić, żeby sprzedać scenariusz? - spytała.

- Mieć dużo szczęścia - odparłem, a ponieważ nie była to odpowiedź, którą by się zadowolili, kontynuowałem: - Istnieją agencje autorskie zajmujące się pośrednictwem sprzedaży, ogłaszane są konkursy dla początkujących autorów, czasem, korzystając ze znajomości, można próbować zaprezentować - powinienem raczej powiedzieć „upokarzać się, by wcisnąć” - tekst znanemu reżyserowi, aktorowi lub producentowi.

- Próbowałeś?

- Jak na razie bezskutecznie. - Uśmiechnąłem się. - Jednak trzeba wierzyć, że wszystko się zmieni na lepsze.

Sięgnęła po kanapkę. Najmniejszy kawałek bułki z osoloną piętą pomidora.

- Wierzyć. - W jej głosie zabrzmiała gorzycz. - Pewnie. Ksiądz też mówi, że trzeba wierzyć.

- Wierzyć w siebie i w łut szczęścia - sprecyzowałem, gdyż jak najdalszy byłem od wiary w księżowskie bzdurstwa.

Mówiłem tak, ale cóż z tego, skoro wiedziałem, że czasy, gdy wierzyłem w siebie, dawno minęły. Już nawet nie pamiętałem starego dobrego Aleksa, który z pewnym siebie uśmiechem na twarzy mówił: „Za rok, dwa będę miał pełnomorski jacht i wyspę na Pacyfiku”. Nie wierzyłem nie tylko w jacht i wyspę, nie wierzyłem też, że kiedyś mogłem mieć podobne nadzieje czy marzenia. Teraz mogłem jedynie wierzyć w łut szczęścia. A ono rzadko

przychodzi do ludzi takich jak ja. Prawo Murphy ego: „Jeśli coś ma pójść źle, pójdzie jeszcze gorzej”. Poprawka Aleksa do Prawa Murphyego: „Murphy był niepoprawnym optymistą”.

- Chcesz gumę, Aleks?

- Dzięki. Guma wyciąga plomby.

- Eee tam. - Wrzuciła do buzi dużą białą pastylkę wyjętą z kieszeni spodni. - A krówki nie? Powinieneś spróbować - dodała po chwili.

- Nigdy nie przepadałem za gumami.

- Mówię o tej dziewczynie - wyjaśniła, marszcząc lekko brwi, jakby zaskoczona moim brakiem domyślności.

To była cała Alicja. Wracać po kilku godzinach czy nawet dniach do dawnej rozmowy i spodziewać się, że doskonale pojmę, o co chodzi.

- Aha - powiedziałem chłodnym tonem. - Masz dla mnie następne cenne rady, młoda damo? Takie jak ta, że powinna zobaczyć mnie?

Sięgnęła do torby ze skaju, pogrzebała w niej i wyciągnęła zmięte obszarpane pudełko zielonych marlboro.

- Nie będziesz tu palić - powiedziałem stanowczo. Spojrzała na mnie trochę zła, trochę zaskoczona, wrzuciła jednak z powrotem papierosy do torby.

- Ty palisz - odparła oskarżycielskim tonem.

- Ale nie paliłem, gdy miałem czternaście lat. Teraz wiem, że zrobiła to tylko, by zastanowić się nad tym, co odpowiedzieć, i zyskać na czasie. Tak naprawdę zaledwie raz widziałem ją z papierosem w ustach, kiedy późną nocą leżała w moim łóżku, a obok stała popielniczka z piętrzącym się kopczykiem niedopałków.

- Póki nie spróbujesz, nie wygrasz - odezwała się w końcu. - Kup los, Aleks.

Znałem ten dowcip, więc zrozumiałem, co ma na myśli.

- A jeśli wejdę do salonu samochodowego i zapytam, ile kosztuje najnowszy model mercedesa, czy to zmieni coś w moim życiu?

- Samochody kupuje się pieniędzmi, ludzi nie zawsze - odparła trochę niegrammatycznie, lecz na pewno szczerze i wstała.

- Dzięki za herbatę, Aleks. - Uśmiechnęła się. - Dawno nie piłam czegoś tak paskudnego.

Zarzuciła torbę na ramię i skinęła mi dłonią. Potem przyzwyczailem się już, że przychodziła i wychodziła wtedy, kiedy chciała. I lubiła, aby właśnie do niej należało ostatnie słowo. Na początku myślałem, że wynika to z lekceważenia albo dziecinnej przekory, lecz potem zrozumiałem, że chodziło o coś zupełnie innego. Pamiętam, że kiedy tuliłem ją w ramionach powiedziała: „Aleks, wybacz mi, jeśli kiedykolwiek byłem dla ciebie zły albo

sprawiłam ci przykrość. To wszystko dlatego, że tak bardzo cię kochałam i tak bardzo nie chciałam się do tego przyznać". Te słowa zapadły mi w pamięć tym mocniej, że wtedy właśnie umierała, a ja miałem twarz mokrą od łez i umierałem z miłości do niej.

\* \* \*

Następnego dnia nie mogłem się powstrzymać i znowu stanąłem w bramie. Czekałem na moją piękną nieznajomą, która miała o czternastej czterdzieści pięć wyjść zza rogu i przejść przez pasy.

Jak zwykle tak właśnie się stało. Tyle że teraz obok tej oszałamiająco atrakcyjnej dziewczyny szła Alicja i opowiadała coś ze śmiechem. Dziewczyna również się uśmiechała, spoglądając na Alicję z niepozabawionym sympatii rozbawieniem.

Kiedy je zobaczyłem razem, замуrowało mnie. Czasami żałuję, że nie pomyślałem, by co prędzej wrócić do mieszkania. Choć, znając Alicję, niczego by to już nie zmieniło. Alicja zawsze stawiała na swoim. Zatrzymały się tuż obok mnie i pierwszy raz poczułem delikatny ziołowy zapach perfum nieznajomej.

- Cześć, Aleks - powiedziała głębokim ciepłym głosem. Cały czas uśmiechała się z rozbawieniem. - Twoja siostrzenica właśnie opowiadała mi o tobie.

- Ach tak, moja kochana siostrzenica. - Uśmiechnąłem się zjadliwie, lecz zjadliwość tego uśmiechu była chyba odczytywalna jedynie dla mnie.

- Ona ma na imię Daria, Aleks - wyjaśniła Alicja tonem grzecznej pani. - Zapytałam, czy zechce pójść z tobą na kawę.

- A ja się zgodziłam - wtrąciła Daria. - Jeśli to podryw, to przysięgam, że najoryginalniejszy w moim życiu.

- Urwałam się ze szkoły - powiedziała Alicja. - I muszę wracać. Miłej zabawy! Bądź grzeczny, Aleks!

- Mała diablica - stwierdziłem z przekonaniem, patrząc, jak przebiega przez jezdnię. - Przysięgam, że nawet nie przyszło mi do głowy, żeby ją wykorzystać do czegoś takiego. Naprawdę bardzo cię przepraszam...

- Więc, Aleks - przerwała mi - gdzie mnie zapraszasz na kawę?

Kiedy szedłem przy boku Darii, byłem jednocześnie szczęśliwy i zrozpaczony. Szczęśliwy, gdyż mogłem z nią rozmawiać, przyglądać się i czuć zapach delikatnych perfum. Zrozpaczony, ponieważ wiedziałem, że to tylko sen. Po nim nadejdzie smutna, szara rzeczywistość. Jak zwykle. Umówiła się ze mną jedynie dlatego, że zaintrygowała ją Alicja. Drugiego spotkania nie będzie. Kobiety takie jak ona nie spotykają się z facetami takimi jak ja.



Bo i po co? Żeby w wynajętym slumsie wysączyć cieką herbatkę, czy też żeby kochać się na starym skrzypiącym łóżku? W rytm przekleństw sąsiada z góry, który co wieczór wrzeszczy na zmaltretowaną żonę? Aleks, jesteś zerem, myślałem wtedy, i nie powinienesz szukać pokus, które mogłyby zachwiać tym przeświadczeniem. Gdyż są gorsze rzeczy niż być zerem... W końcu w układzie współrzędnych X/Y znajduje się również coś po lewej stronie, prawda? Choć nie ukrywam, że czasami zastanawiałem się, czy już właśnie tam nie jestem.

\* \* \*

Alicja odwiedziła mnie o ósmej wieczorem. Kiedy otworzyłem drzwi, do mieszkania wdarł się zapach gotowanej kapusty wypełniający całą klatkę schodową ciężkim, sycącym oparem. Alicja była tym razem ubrana w granatowy dres z białymi paskami na rękawach, na czole miała bawełnianą opaskę.

- Cześć, Aleks. Biegałam sobie i pomyślałam, że wpadnę.

- Chodź - odparłem i naprawdę cieszyłem się, że ją widzę, gdyż była jedyną osobą, której mogłem powiedzieć o tym, co się dzisiaj zdarzyło.

Weszła, już w środku wypluła na dłoń zużyta gumę i włożyła do ust następną pastylkę.

- Tylko nie rób mi herbaty - zastrzegła. - Jeśli już, to sama sobie zrobię.

- Jasne, koneserko - przytaknałem.

- Co to znaczy?

- Co znaczy co?

- Co znaczy słowo „koneserka“?

- Koneser to osoba doceniająca produkty najwyższej jakości - wyjaśniłem po chwili zastanowienia.

Zawsze miałem kłopoty z dokładnym tłumaczeniem znaczenia pewnych wyrażień. Rozumiałem sens zupełnie instynktownie i potrafiłem ich używać, lecz często nie umiałem podać encyklopedycznego wyjaśnienia. Tak jakby w moim mózgu przepaliły się złącza odpowiadające za powiązanie słowa z jego definicją. Zapewne nie były to jedyne złącza, które przepaliły się w moim mózgu.

- I jak randka?

- To nie randka - zbagatelizowałem. - Nie wiedziałem, że biegasz.

- Opowiadaj - pominęła mój komentarz.

- Jezus, jaki ja na początku byłem na ciebie wściekły... - powiedziałem pro forma, bo złość dawno mi przeszła, a poza tym skutki postępowania Alicji teraz już mi się naprawdę podobały.

- Tak, tak, tak. Dalej - przerwała i miałem się jeszcze przyzwyczaić do tego, że chciała, by na jej pytania odpowiedź była udzielana natychmiast.

Usiadłem na krześle i zapaliłem papierosa. Przedemną leżała popielniczka pełna niedopałków, w pudełku papierosy się kończyły, ale nie chciało mi się iść do sklepiku za rogiem. Teraz zresztą i tak był zamknięty.

- Poszliśmy na kawę. Posiedzieliśmy jakieś półtorej godziny i umówiliśmy się na jutro - starałem się mówić zupełnie spokojnie, choć przyszło mi to naprawdę z trudem. Zwłaszcza jeśli chodzi o cztery ostatnie słowa, które krzyczały do mnie: „Hej, hej, umówiliśmy się na jutro!”.

Roześmiała się. Miała ładny, ciepły, cichy śmiech. Zauważyłem, że nie śmieje się jak dziecko czy nastolatka, lecz jak kobieta. Słyszac tylko jej śmiech, na pewno nikt nie powiedziałby, że ma zaledwie czternaście lat.

- Cudnie - powiedziała szczerze. - I widzisz, Aleks, czy ja nie miałam racji? - Mocno zaakcentowała słowo „ja”.

- Jeszcze zobaczymy.

- Jaka ona jest?

- Inteligentna, zabawna... - Szukałem następnych słów.

Jaka była Daria? Na jej ustach błąkał się zwykle uśmiezek, tak jakby cały świat traktowała z życzliwym rozbawieniem. Miała zwyczaj zdmuchiwać z czoła opadający kosmyk włosów i robiła to w zupełnie niespodziewanych momentach. Zwróciłem uwagę na jej szczupłe, wąskie palce o wypolerowanych, pociągniętych bezbarwnym lakierem paznokciach. Miała mnóstwo wdzięku i uroku, a przy tym nie należała do kobiet, które obnosiły się ze swymi walorami i liczyły, iż na każdym kroku będą bezkrytycznie podziwiane. W czasie rozmowy patrzyła prosto w oczy, a ja zawsze lubiłem, jeśli spojrzenie rozmówcy było skoncentrowane na mnie. Może wynikało to z pragnienia, by okazywano mi zainteresowanie? Zawsze panicznie bałem się lekceważenia i ironią losu był fakt, że stałem się człowiekiem, w stosunku do którego lekceważenie było jak najbardziej odpowiednim uczuciem. Poniekąd słusznie, gdyż byłem nikim. „Jeśli twoje życie przeminie tak, by nikt nie chciał go opisać, to znaczy, że nie żyłeś wcale” - twierdził któryś z dawnych filozofów. Moje życie nadawałoby się na scenariusz filmu polskiego „kina moralnego niepokoju”. Widzowie zasypialiby po pierwszym kwadransie. Cóż, nie zawsze tak było, ponieważ kiedyś żył inny Aleks. Ale żył tak dawno temu, że tamto życie wydawało się aż nierealne. Nawet mu nie zazdrościłem, ja go po prostu nie pamiętałem.

- Miła - dodałem.

- Miła - parsknęła Alicja. - Miły może być pluszowy miś. Dlaczego nie masz dziewczyny, Aleks?

- Skąd wiesz, że nie mam?

- Czy inaczej snułbyś się pod bramą, gdy ona przechodzi? - Wzruszyła ramionami. - Więc dlaczego?

- Kiedy zaczynałem pisać, miałem dziewczynę - odparłem. - Na początku była entuzjastycznie nastawiona do mojej pracy. Czytała każde zdanie, radziła mi, pomagała. Potem czas mijał, a ja wciąż pisałem i pisałem. Nie wychodziłem z domu, przestały mnie bawić odwiedziny znajomych i przyjęcia. Złościłem się na nią bez powodu, a w złości mówiłem, że powinna sobie znaleźć kogoś innego. Znosiła to, bo myślała, że wszystko się zmieni, gdy odniosę sukces. Tyle że ja nie odniosłem sukcesu, Alicjo. Zwyczajna historia. - Przymknąłem oczy. - Pewnego dnia powiedziała, że już tego dłużej nie wytrzyma, więc spakowałem się i przenieśliśmy tutaj.

Nie mam pojęcia, po co opowiadałem tę historię czternastolatce, lecz widocznie musiałem się przed kimś wygadać. A z Alicji emanowało coś, co wzbudzało zaufanie. No i po dzisiejszym wydarzeniu z Darią trudno było ukryć fakt, że budziłem w Alicji sympatię.

- Tęsknisz za nią?

- Chyba nie - odpowiedziałem.

- Chciałbyś, żeby spotkała ją coś złego? Pokręciłem głową.

- Nie, Alicjo. Jeśli źle życzymy człowiekowi, któremu kiedyś ofiarowaliśmy miłość, to tak, jak byśmy opluwali samego siebie. Jeśli nie mamy szacunku dla tej drugiej osoby, miejmy chociaż szacunek dla tego kogoś, kim byliśmy wtedy...

Później, dużo później, zrozumiałem, że pytanie Alicji miało głębszy sens. I Bogu dziękuję, iż odpowiedziałem w ten, a nie inny sposób. Z tego, co wiem, moja dawna dziewczyna spodziewa się trzeciego dziecka i jest szczęśliwą matką oraz żoną. Gdybym odpowiedział inaczej... Mój Boże...

- Co się potem stało?

- Wyszła za mąż. Jak widać posłuchała uprzejmej rady swego faceta...

- Za kogo?

Moja dawna dziewczyna była tak przepelniona małżeńskim szczęściem, że na ceremonię ślubną zaprosiła również mnie. Całą mszę stałem w kościele i liczyłem, że kiedy ksiądz zada jej najważniejsze pytanie, odpowie: „nie”, zbierze długą białą suknię, podejdzie do mnie, poda mi dłoń, po czym na oczach ogłupiałego tłumu odejdziemy w stronę zachodzącego słońca. Ktoś będzie krzyczał, ktoś wezwie policję, a my znikniemy z ich życia. Tak sobie roiłem do momentu, aż nie usłyszałem słów: „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela”.

Zresztą, dlaczego miała powiedzieć „nie”, skoro nie miała nawet pojęcia, że przyszedłem na jej ślub i że stoję za filarem, przyciskając czoło do chłodnego kamienia? Chyba płakałem. Nie wiem, czy z rzeczywistej potrzeby, czy też wydawało mi się, że płacz będzie w tej właśnie chwili najodpowiedniejszy. Zresztą, gdybym miał rozpaczać nad każdym niepowodzeniem, które mnie spotkało, nie robiłbym nic innego poza szlochaniem.

- Za kogoś, kto interesuje się nią, a nie własnymi mrzonkami - rzekłem.

- Trzeba mieć marzenia, Aleks. - Zamyśliła się. - Dobrze, że masz marzenia.

Wcale nie byłem tego pewien. Kiedyś miałem pracę. Miłą, dobrze płatną, nie nazbyt drenującą pracę w ogólnopolskiej gazecie, gdzie pisałem o filmach kinowych i telewizyjnych. Zrezygnowałem z niej dla mojego przeklętego scenariusza. Pomimo iż szefowa tak bardzo szła mi na rękę, że chciała dać trzymiesięczny bezpłatny urlop. Teraz od czasu do czasu podrzucała jakieś małe zamówienie i honoraria z dawnej gazety stanowiły sporą pozycję w moim budżecie. Mimo że, obiektywnie rzecz biorąc, były to sumy żałośnie niskie.

- Rakieta na Marsa - odparłem. - Dużo mi przyjdzie z takich marzeń...

- Śnij o Marsie, Ziemia będzie twoja. - Zupełnie mnie zaskoczyła.

- A o czym ty marzysz? - spytałem po dłuższej chwili. Zerknęła na zegarek.

- Jezuuniu, jak późno - przestraszyła się. - Wpadnę jutro, Aleks. Miłych snów.

Zerwała się z krzesła i wybiegła, zanim zdążyłem jej odpowiedzieć.

- Dzięki za szczerość - powiedziałem w stronę zamkniętych drzwi.

Być może miała rację, nie mówiąc wtedy, o czym marzy. Gdyż tchórza takiego jak ja, jej marzenia na pewno by przeraziły.

\* \* \*

Stary człowiek siedzący na szerokim betonowym gzymsie, tuż przy ulicy, na pewno nie był żebrakiem. Jego ubranie było zniszczone, ale czyste, a twarz dokładnie ogolona. Na policzku miał leciutką jasnorożową kreskę po zacięciu. Kiedy potarł lewą dłońią brodę, zobaczyłem, że na przegubie błyszczy bransoleta drogiego złotego zegarka. Albo imitacji drogiego złotego zegarka. Spojrzenia przechodniów przyciągał nie dlatego, że położył na gzymsie kanapkę zawiniętą w celofan i plastikowy kubeczek z kolorowym napojem, lecz dlatego, że na głowie nosił jarmułkę, a do ramion zwisały mu cienkie pejsy. Widok, który jeszcze sześćdziesiąt kilka lat temu był zupełnie zwyczajny, teraz budził nieskrywane zdumienie. Kilka przechodzących osób rozejrzało się podejrzliwie, jakby szukały oka kamery. Szedłem do sklepu po codzienne zakupy i również nie mogłem oprzeć się temu, by nie zatrzymać na nim wzroku. Ale człowiek siedzący na gzymsie nie przejmował się spojrzeniami.

Dopóki nie nadeszło tych trzech młodych mężczyzn w ortalionowych dresach. Zobaczyli go, przystanęli, jeden zaśmiał się rehotliwie.

- Ale cudak - stwierdził, marszcząc czoło, co nadało mu wygląd zafrasowanego australopiteka.

- Żydzicho, nie cudak - warknął drugi. - Żydzi, Żydzi, cała Polska się was wstydzi - zaintonował i charknął prosto na szpic wypolerowanego buta człowieka siedzącego na gzymsie.

Żyd czy też mężczyzna, który chciał przypominać Żyda, nawet nie drgnął. Dresiarze zamierzali już podejść do niego, lecz w pewnej chwili jeden wskazał na radiowóz wolno sunący ulicą.

- Spoko - powiedział. - Psy.

- Cię spotkam tu jeszcze raz, Żydku, to wpierdol - obiecał pierwszy. - Idź zobacz lepiej, co robi twoja żona.

- Jak to co? - zaśmiał się jego kumpel. - Puszczą się z dymem.

Odeszli. Całą szerokością chodnika, pewni siebie i arogancy. Ludzie schodzili im z drogi, radiowóz przejechał obojętnie, kątem oka zobaczyłem policjanta, który przez opuszczoną boczną szybę wyrzucał na jezdnię niedopałek. Miałem pójść do domu, kiedy usłyszałem głos człowieka siedzącego na gzymsie.

- Dlaczego nic pan nie zrobił? - zapytał cicho.

- Słucham?

- W pana obecności opluto i wyzwano starego człowieka. Jest pan młodym i silnym mężczyzną. Dlaczego nic pan nie zrobił?

- To ukryta kamera? - spytałem. - Ale dobrze, nieważne, odpowiem panu. Dlatego, że plwocinę z obuwia zetrze pan sobie papierem, a ślady po pięściach i butach schodzą dużo trudniej.

- A gdyby mnie zaczęli bić, co by pan zrobił? - pytał nadal tym cichym, spokojnym tonem kulturalnego człowieka.

- Odszedłbym - odparłem po chwili zastanowienia. - Jednak wezwałbym policję. Czy pan myśli, że jestem jakimś cholernym supermanem? Widział pan przecież tych wyhodowanych na sterydach byków, prawda? Każdy z nich stłukłby mnie lewą ręką. I to bez najmniejszego trudu.

Kłamałem. Okłamywałem samego siebie, gdyż dawny Aleks nie przestraszyłby się sterydowych gnojzków. O dawnym Aleksie mówiono, że łączy łagodność dziewczycy z pięściami Cassiusa Claya. Potrafiłem najpierw niemal błagać napastnika, by się ze mną nie bił, a kiedy przyszło co do czego, rozbijałem mu twarz na miazgę dwoma uderzeniami. Teraz jednak moje

pięści były tyle samo warte, co bochenki rozmoczonego chleba. I wypływało to nie z tego, co było naprawdę, lecz z tego, jak postrzegałem sam siebie.

Stary człowiek przyglądał mi się uważnie i nie wiedzieć czemu, czekałem, co powie. Przyszło mi do głowy, że może rzeczywiście jest to ukryta kamera, a za udział w tego typu programach przecież płacą. Grosze, bo grosze, ale w moim wypadku żadna suma nie była do pogardzenia.

- Wie pan, tak zawsze mówiono: „Oni są silniejsi. Cóż mogę przeciw nim zrobić?”. „Dlaczego mam się narażać? Niech inni się tym zajmą”. Niech pan się rozejrzy wokół. Obok nas przeszło już kilkanaście osób. Czy myśli pan, że gdyby nie było przyzwolenia na agresję, ci trzej bandyci mogliby robić bezkarnie, co chcą?

- Nie wiem. Nie jestem po to, by poprawiać świat. - Wiedziałem już, że nie występuję w ukrytej kamerze, ponieważ stary człowiek wypowiadał kwestie zbyt skomplikowane na program rozrywkowy. - Do widzenia.

- A po co jesteście?

- Żeby przeżyć - powiedziałem gorzko. - Żeby po prostu jakoś przeżyć.

Odszedłem szybkim krokiem, lecz stary człowiek zerwał się nadspodziewanie żwawo i podążył za mną.

- Tak się tylko panu wydaje - prawie że krzyknął. - Zobacz pan... - urwał i przystanął.

Nie obejrzałem się za nim. Stary wariat, pomyślałem. Pewnie nawet nie jest Żydem, tylko przebiera się, żeby badać, jak inni będą reagować na podobny happening. Ludzie mają talent do wymyślania z nudów Bóg wie czego.

- A historia? - Skąd on się znowu wziął koło mnie? - A sześć milionów zabitych i zadręczonych?

- A Jerozolima, gdzie brodziło się po kolana we krwi po szturmie muzułmanów? - Byłem wściekły. I na niego, i na siebie, że wdałem się w ten idiotyczny spór. - A wojna trzydziestoletnia, w czasie której zginęła jedna trzecia Niemców? A rzeź Ormian? A głód na Ukrainie? A World Trade Center? A chińskie obozy pracy? Myśli pan, że jest pan taki wyjątkowy, tylko dlatego, że jest Żydem? Co mnie może obchodzić, że sześćdziesiąt lat temu dymiły kominy krematoriów? Ja chcę przeżyć dziś! Rozumie pan?

Zostawiłem go i prawie pobiegłem w stronę domu. Nie wiedziałem, co mi się stało. Jestem spokojnym człowiekiem, rzadko wdaję się w kłótnie lub awantury (może dlatego, że ludzie martwi mają dość niski poziom adrenaliny?). Dlaczego więc nakrzyczałem na starego szaleńca, który powinien wzbudzać raczej współczucie niż gniew?

Po południu opowiedziałem o tym wydarzeniu Alicji. Słuchała mnie uważniej niż zwykle i dokładnie wypytała, jak wyglądał starzec. Potem powiedziała cicho:

- Szkoda, że mu nie pomogłeś, Aleks.

- A to czemu? - zapytałem zdziwiony. - Żeby wylądować w szpitalu?

Nie słuchała mnie już, tylko dopiła herbatę, którą sama sobie zaparzyła, i wyszła. Była wyraźnie przygnębiona, a ja znowu wściekły na samego siebie. Tym razem, że opowiedziałem tę głupią historię czternastoletniemu dziecku. Czyżby uważała mnie za herosa, który niczym w sensacyjnym filmie stłucze złych bandytów, zaprowadzi moralny porządek, a ostatni kadr pokaże wiwatujących szczęśliwych mieszkańców oraz bohatera tonącego w objęciach wdzięcznego dziewczęcia, któremu tenże bohater uratował tatusia, mamusię, braciszka, dziewictwo (niepotrzebne skreślić)?

Fakt, że samotność zmieniała mnie w dziwaka, ale trudno ukryć, że było mi trochę wstyd. Może nawet nie dlatego, iż nie pomogłem staremu wariatowi, któremu i tak nie stała się żadna krzywda. Raczej było mi wstyd wypowiedzianych słów i ujawnionych emocji. Przecież nie byłem człowiekiem, którego nie obchodzi los innych. Byłem jedynie zgorzkniały i przygnębiony niepowodzeniami. Każdego dnia czułem, jakby ktoś wyrwał kawał mojego życia i wyrzucał na śmietnik. I z dnia na dzień byłem coraz bardziej zrozpaczony. A śmietnik rósł coraz większy.

Do świtu siedziałem nad scenariuszem, poza tym napisałem recenzję filmu, którego nawet nie widziałem. Wystarczyło jednak, że znałem poprzednie obrazy niezbyt utalentowanego reżysera i przeczytałem recenzje w innych pismach. Moja dawna szefowa załatwiła mi, co prawda, wejściówkę na premierę, lecz nie miałem czasu, by na nią pójść. A raczej wmówiłem sobie, że tego czasu nie mam.

Obudziłem się z lekkim katarem dopiero koło drugiej po południu. Znowu śnił mi się kruk o czarnych skrzydłach.

- Spotkamy się w Ciemnym Lesie - obwieścił z nieukrywanym rozmarzeniem w zachrypniętym głosie.

- Kruki nie mówią - odparłem z pewnością, którą daje jedynie sen.

- Kra, kra - zgodził się ze świetnie wyczuwalną ironią.

Nie pamiętałem nic więcej z tego snu, lecz znowu po przebudzeniu byłem tak spocony, jak gdyby dręczyła mnie w nocy gorączka. Poszedłem do łazienki i kiedy odkręciłem kurek, rury wściekle zagrzmiały, a z kranu popłynęła gęsta rdzawa ciecz. Pewnie po raz kolejny remontowano pamiętającą czasy międzywojnia kanalizację. Zaparzyłem herbatę, bo zostało mi jeszcze trochę wody w czajniczku, zażyłem aspirynę i wyszedłem po gazety. Na podmurówce w bramie siedziała Alicja i czytała książkę w okładce z szarego papieru. Tym razem była ubrana w obszerne sztruksowe spodnie oraz burą bluzę z ogromnymi kieszeniami na piersi. Wyglądała jakby włożyła na siebie komplet worków.

- Cześć - przywitałem ją. - Co tu robisz?

- Może łapię ryby? - zapytała zgryźliwie. - Albo czekam na pociąg? Dlaczego nie otwierasz drzwi, Aleks?

- Dzwoniłaś? - zdziwiłem się.

- Nie, oczywiście, że nie - powiedziała i to też miała być ironia.

- No dobrze, idę tylko po gazety i zaraz wrócę. Zaczekasz?

Wstała i włożyła książkę do torby.

- Nie - odparła. - Powiedz mi - zaczęła - czy Daria jest piękna?

- Piękno jest pojęciem względnym. Osobistym - odparłem po chwili zastanowienia, bo sam sobie zadawałem to pytanie: tylko bardzo ładna czy już piękna?

- Eee tam. - Wzruszyła ramionami. - Jaka jest dla ciebie?

- Bardzo ładna.

- Czy myślisz, że ja kiedyś też będę ładna?

- Co za pytanie? - Uśmiechnąłem się. - A bo to kiedykolwiek wiadomo? Widziałem śliczne dzieciaki, które wyrastały na tłustych, bezkształtnych chłopaków lub dziewczyny, i brzydkie kaczątka, które zmieniały się w łabędzie i brylowały na wybiegach. Jaka będziesz, w dużej mierze zależy od ciebie samej.

- To ma być odpowiedź, co? - mruknęła.

Uśmiechnąłem się jeszcze raz i poklepałem ją po ramieniu. To był mój pierwszy fizyczny kontakt z Alicją. Nigdy wcześniej jej nie dotknąłem ani nawet o tym nie pomyślałem. I w tym samym momencie, kiedy poklepałem ją po ramieniu, ktoś z impetem pchnął mnie na ścianę kamienicy. Odwróciwszy się, zobaczyłem sąsiada z góry. Miał wściekle czerwoną twarz i małe skacowane oczka. Jego mięsisty, porowaty nos był poznaczony sino-czerwonymi i liliowymi żyłkami. Zionęło mu z ust źle przetrawionym alkoholem.

- Ty kurwo, gnoju zajebany - powiedział dziwnie spokojnie. - Dzieci obmacujesz, pizdolizie, w kurwę twoja...?

Stał przede mną i chwiał się lekko, jakby płynął na pokładzie kołyszącego się na morzu statku.

- Niech go pan zostawi! - krzyknęła Alicja. - Aleks nic mi nie robi!

Wtedy byłem zbyt zaskoczony, by usłyszeć, że w głosie Alicji nie było nawet grama strachu. Za to z całą pewnością były w nim tony wściekłości.

- Do domu, mała dziwko! - warknął facet i strzelił mnie prawym sierpem w policzek.

Ten cios był wolny, nieudolny i sygnalizowany. Kiedyś zszedłbym płynnie z jego linii. Kiedyś uderzyłbym seria: kopnięcie w jądra, chwyt za głowę, kopnięcie kolanem w twarz, hak od dołu. Kiedyś ten wielki, skacowany facet leżałby w kałuży własnej krwi, a zadowolony z



siebie Aleks przyklepywałby „pionę” któremuś z kolegów, z którym potem poszedłby na piwo. Ale teraz było teraz, nie kiedyś. Teraz był tylko Aleks-mięczak, który bał się własnego cienia. Poczułem ból i zrobiło mi się ciemno przed oczami. Sąsiad chwycił mnie za koszulę i rzucił o ścianę. Huknąłem w mur czołem, osunąłem się i instynktownie zwinąłem w kłębek. Miałem nadzieję, że pójdzie sobie i nie będzie mnie kopał. Jednak facet nie poszedł. Nie mógł. Alicja skoczyła mu na plecy, wczepiła się w niego nogami, zawięła lewe ramię wokół jego szyi, a paznokciami prawej dłoni zaczęła orać twarz. Był tak zaskoczony, że nie pomyślał nawet, iż wystarczy uderzyć całym ciężarem plecami w ścianę, by ją ogłuszyć. Nieudolnie próbował się oswobodzić, zatrzymać jej dłoni. Ale Alicja była naprawdę bardzo szybka i mierzyła paznokciami prosto w oczy. Wszystko to widziałem jak przez mgłę. Czułem słodki smak krwi w ustach i ból w policzku. Kręciło mi się w głowie, jednak zdołałem wstać. Widziałem Alicję szamoczącą się z tym wielkim bydlakiem i wiedziałem, że nigdy jej nie zostawię samej. „Możesz uciec, Aleks” - pobłażliwie i rozgrzeszająco szepnął ten ktoś, kto mieszkał we mnie od dawna. Mogłem. I równie dobrze mogłem, kurwa, zdechnąć na śmietniku! Wyjąłem z kieszeni pęk kluczy i zacisnąłem go w dłoni. Tego uczyli mnie koledzy. Kiedyś, dawno temu. Wszystko może być bronią: klucze, zapalony papieros, obcas. Rąbnąłem sąsiada kluczami w twarz i przypadkowo udało mi się trafić prosto w duży mięsisty nos. Zawył, a ja zobaczyłem obok siebie dwóch ludzi w mundurach. Ktoś mnie odciągał na bok, ktoś smagnął pałką przez łydki i opadłem na kolana. Ktoś zatrzaskał mi na przegubach kajdanki, ktoś inny włókł za ramiona w stronę ulicy. A potem rzucili mnie jak worek kartofli na podłogę policyjnego volkswagena. I słyszałem tylko rozpaczliwe, wściekłe wołanie Alicji.

- Zostawcie go! Aleks!

\* \* \*

W przychodni zakleili mi policzek plastrem i pozwolili się umyć. Teraz siedziałem naprzeciwko szpakowatego policjanta, który wciąż pocierał nabrzmiąły syf nad kącikiem wargi i zastanawiał się, co ze mną zrobić.

- Pobicie z użyciem niebezpiecznego narzędzia, stawianie oporu przy zatrzymaniu - powiedział. - I czynna napaść na funkcjonariusza. Taaak. Do tego mamy molestowanie nieletniej. Ładnie, panie... - zerknął w mój dowód i wymienił nazwisko. - Posiedzimy sobie trochę...

- Chcę zadzwonić - chrypnąłem, bo miałem usta i gardło wyschnięte na wiór.

- Zadzwonić? - Z tyłu stał jeszcze jeden policjant, nie dostrzegłem go wcześniej. - Może dać ci dzwoneczek, zboku, co?

Miał ostry, napastliwy głos. Cuchnął zastarzałym potem i czułem ten zapach, pomimo że miałem katar i nos pełen zaschniętej krwi.

- Chcę zadzwonić - powtórzyłem.

Trzasnął mnie od tyłu w zraniony policzek. Otwartą dłonią, ale i tak zabołało. Szpakowaty wstał od biurka i odwrócił się w stronę okna.

- Będzie padać - westchnął. - Cholera, nie wziąłem parasola z domu.

Dostałem drugi raz i spadłem z krzesła. Próbowałem się podnieść, jednak policjant podciął mnie niedbałym, choć bolesnym kopnięciem w golenie. Zwaliłem się z powrotem na podłogę i zobaczyłem twarz gliniarza. Był dość młody, o ostrych rysach i wydłużonym wąskim nosie. Gdybym miał go porównać do jakiegoś zwierzęcia, najbardziej przypominał lisa. Złośliwego liska chytruska, któremu nie wyszedł kolejny mały szwindelek i który jest w związku z tym wściekły na cały świat.

- Wsta-awaj - rzucił. - Co, kurwa? Dziewczynki masz siłę obmacywać, a wstać to już nie?

- Nikogo nie obmacywałem - odparłem, patrząc na plecy szpakowatego, który nadal stał obrócony do okna.

- Jasssne - wyszczał ten za mną. - A ja jestem pierdolona Matka Teresa z pierdolonej Kalkuty.

- Spytajcie ją. - Zacząłem wstawać i znowu mnie podciął. Upadłem na lewą dłoń i coś chrupnęło mi w nadgarstku.

- Spytaliśmy - odparł. - I powiedziała nam wszystko. Wiesz, co z takimi jak ty robią pod celą? Jak wyjdiesz z więzienia, to na dupie nie będziesz mógł siadać.

Chwycił mnie za włosy, poderwał do góry. Pchnął na ścianę i kopnięciem rozstawił nogi. Trzasnąłem czołem w odrapany mur z łuszczącą się szarżółtą farbą.

- Przyzwyczajaj się, bo w tej pozycji spędzisz kilka lat. - Tchnął mi w ucho zepsutym oddechem. - Jak wyjdiesz, to nawet nie będziesz musiał chodzić srać, bo będziesz miał tak rozjebaną dupę, że gówno samo z ciebie wyleci.

- Dosyć! - Mężczyzna przy oknie odwrócił się w naszą stronę. - Siadać - rzekł do mnie. - A ty przynieś kawę.

Drugi policjant zastanawiał się chwilę, po czym stuknął jeszcze raz moim czołem w ścianę i puścił.

- Jak ja, kurwa, nienawidzę takich gnoi - powiedział i wyszedł.

- Niech pan siada. Podniosłem krzesło i usiadłem.

W całej tej koszarnej sytuacji była jedna dobra rzecz. Nie uwierzyłem, że Alicja mogła zeznawać przeciwko mnie. Nawet przez myśl mi nie przeszło, by mogła skłamać tylko dlatego, że policjanci podsunęli jej taką myśl.

- Zapłacicie mi za to - obiecałem i zacząłem szukać w kieszeni chusteczki, żeby zetrzeć krew z na nowo rozbitego policzka.

- Jasne. - Spojrzał na mnie z obrzydzeniem i rzucił na blat paczkę chusteczek higienicznych. - Weź się wytrzyj, człowieku. Ty się martw lepiej o swoje rachunki - dodał - nie o nasze.

Wtedy na biurku zadzwonił telefon. Szpakowaty podniósł słuchawkę.

- Jest u mnie - stwierdził po chwili.

Dłuższy czas wsłuchiwał się w głos po drugiej stronie i jednocześnie wpatrywał we mnie zmęczonym spojrzeniem. Lewą dłonią wciąż pocierał nabrzmiałego syfa.

- Dobrze - rzekł na koniec i odłożył słuchawkę. Milczał z minutę, po czym przysunął w moim kierunku pudełko cameli.

- Pan pali - powiedział i postukał knykciami w blat biurka. - Taka praca - odezwał się po chwili. - Cały czas nerwy i nerwy.

Wyjąłem papierosa, a on przypalił go zapalniczką. Coś wyraźnie się zmieniło, ale co? Kto dzwonił przed momentem, pytając o mnie?

- A pan, zamiast powiedzieć od razu, o co chodzi, to się szarpie z policjantami, bije z jakimś pijakiem. I to dziennikarz, nie wstyd panu?

Nie byłem już dziennikarzem. Nawet nie miałem legitymacji, bo wyrzuciłem ją, kiedy straciła ważność.

- Zapomniał pan o molestowaniu - przypomniałem.

Spojrzał na mnie ciężko.

- Dziewczynka złożyła zeznania - mruknął. - Nie ma żadnego molestowania. Pan zapomni o tym, a my zapomnimy o bójkę i stawianiu oporu. - Wyciągnął z szuflady biurka moje klucze i rzucił je na blat. - Swoją drogą nieźleś go pan załatwił tymi kluczami. Facet ma nos w dwóch kawałkach. Ledwo go zszyli... - Umilkł i też sięgnął po papierosa. - A pana szefowa to nerwowa kobitka. Pan wie, że ona mi groziła prokuratorem? Z samej stołecznej dzwoniła w pana sprawie.

Moja szefowa? Miałem tylko jedną szefową, kiedy pracowałem jeszcze w redakcji ogólnopolskiego pisma. Do dzisiaj zlecała mi niezgorsze fuchy, ale skąd mogła wiedzieć o całym wydarzeniu?

- Niech pan idzie i zrobi coś ze sobą, a jutro proszę przyjść, to spisemy zeznanie. - Spojrzał na mnie uważnie. - Pana sąsiad też miał ciężką łapę.

Machinalnie dotknąłem rozbitego policzka.

- Jasne - rzekłem. - Szkoda, że pan nie wziął tego parasola.

Uśmiechnął się lekko.

- Ludzie popełniają błędy - powiedział i wiedziałem, że to ma wystarczyć za przeprosiny.

Gdy wyszedłem za bramę komendy, zobaczyłem, że Anna, moja dawna szefowa, wysiada z nowiutkiej toyoty lśniącej metaliczną czerwienią. Spojrzała na mnie.

- Oni? - zapytała ostro i ruchem podbródka wskazała wejście do komendy.

- Nie. Dzień dobry i dziękuję.

- Nie wiem, czy dobry. Wsiadaj.

- Mam blisko do domu...

- Aleks, wsiadaj, do kurwy nędzy! Uśmiechnąłem się i wsiadłem. Anna przekręciła klucz w stacyjce i zapaliła papierosa. Paliła jakieś długie brązowe wynalazki o kadzidlany zapachu.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała. - Wiesz, ile ja poruszyłam trybów, żeby cię wypuścili? W dodatku musiałam się umówić na kolację z rzecznikiem stołecznej, a on jest tak nudny, że flaki się przewracają. Dziękuj Bogu, że ta dziewczynka ma poukładane w głowie jak mało kto...

- No właśnie, jak... - zacząłem.

- Aleks! - Spojrzała na mnie ostro. - Z czasów, kiedy pracowaliśmy razem, pamiętasz zapewne, że nienawidzę, aby mi przerywano. Mam dla ciebie ważną informację: nic się w tej mierze nie zmieniło.

- Przepraszam - mruknąłem bez cienia skruchy. Patrzyła na mnie przez chwilę i pokręciła głową.

- Ale cię załatwili - powiedziała. - No dobrze. Dziewczynka. Alicja, tak? Znalazła mój numer na kartce przy twoim telefonie. Dlaczego chciałeś dzwonić?

- Powiedzieć, że wysłałem tekst.

- Byłeś chociaż na premierze?

- Nie.

- Zadzwoń i powiedz, co się stało. - Pominęła milczeniem moje przyznanie się do winy. - Oświadczyła, że nigdy nawet jej nie dotknąłeś i że masz dziewczynę, z którą sama cię poznała. To prawda?

- Poza tym, że nie mam dziewczyny, tylko znajomą, wszystko jest prawdą.

Ruszyła z parkingu, szybko, z piskiem opon. Zauważyłem, że postawiła samochód na oznaczonym farbą miejscu przeznaczonym dla funkcjonariuszy komendy.

- Gdzie jedziemy? - zapytałem.

- Do mnie - odparła. - Zostawiłam tam tę twoją małą dziewczynę, bo inaczej stałaby przed komisariatem. Nie wiem, co jest grane, ale ta mała ma fioła na twoim punkcie. Kim ona jest?

Dotychczas nigdy nie powiedziałbym, że Alicja ma fioła na moim punkcie. Jednak z całą pewnością miała silnie rozbudowane poczucie sprawiedliwości. Zresztą jak silnie, to jeszcze przekonałem się w przyszłości.

- Nie wiem, Anno - odrzekłem szczerze. - Słowo daję, że nie wiem. Rozbiła mi kiedyś piłką szybę i przyszła przeprosić. Potem zobaczyła, że podoba mi się pewna dziewczyna i postanowiła nas ze sobą poznać. Może to była forma przeprosin, rewanżu za nieszczęsne okno?

Oczywiście maksymalnie uprościłem sprawę. Jednak co innego mogłem powiedzieć Annie? Historia podana w tej formie była nadal dziwna, lecz przynajmniej stawała się zrozumiała. A jeśli chodzi o dziwne historie, Anna była dziennikarką od wielu lat i wiedziała, że na świecie ludziom przytrafiają się czasami różne niestworzone historie. W innym wypadku gazety nie miałyby o czym pisać.

- Zabawna mała. - Anna wzięła zakręt tak ostro, że aż rzuciło mnie na boczną szybę. Stuknąłem czołem w plastik. - Zapnij pasy, cholera! Jak twój scenariusz?

- Wszystko dobrze.

- Pewnie. Ta nowa dziewczyna odchodzi na wychowawczy. Możesz wrócić, jeśli chcesz...

Praca. Stała, dobra pensja i duże artykuły podpisane moim nazwiskiem. Premiery filmów, przyjęcia, spotkania. I harówka od dziewiątej do dwudziestej, a czasem dłużej. I ohydne, małostkowe spory o liczbę kolumn, podchody ludzi, którzy chcą zająć twoje miejsce, szukanie dziury w całym, obmowy i drobne złośliwości. Może przesadzałem, ponieważ Anna nie pozwalała na to, by jej pracownicy stali się zgrają szakali, niemniej nie mogła przecież kontrolować wszystkiego. Poza tym życie takie, jakie prowadziłem kiedyś było mi już tak odległe, iż równie dobrze mogło być życiem kogoś innego.

- Dziękuję, Anno - powiedziałem i naprawdę byłem jej wdzięczny. - Nie zapomnę ci tego.

- Rozumiem, że odpowiedź brzmi: nie - stwierdziła, gdyż była inteligentną kobietą. - Nie zapomnij mi podziękować, kiedy przyznają ci Oscara. Ile tam jest czasu? Czterdzieści sekund?

Milczała chwilę, potem zdjęła dłoń z kierownicy i poklepała mnie po ramieniu.

- Przepraszam, Aleks, nie chciałam być złośliwa. Tylko nie mogę patrzeć, jak marnujesz sobie życie.

- To osądzi Bóg - odparłem, choć oczywiście w duchu przyznałem jej rację. Marnowałem życie i nikt o tym nie wiedział lepiej ode mnie. Nie oznaczało to jednak, że uwielbiałem słuchać, jak mówią o tym inni ludzie, i czerpię rozkosz ze słuchania o własnych wadach lub niepowodzeniach.

- Trochę jeszcze więc poczekasz - rzuciła z przekąsem.

- Co u ciebie? Oprócz tego, że ratujesz z opresji starych przyjaciół?

- Praca - powiedziała i od razu wiedziałem, że to nie jest cała prawda.

- A Joasia?

- Kto to jest Joasia? - zapytała zimnym tonem.

- Ach, więc jest aż tak źle - stwierdziłem.

- Co za palant - warknęła na kierowcę przed nami. - Spójrz na tego rupiecia. Jak można wsiadać do samochodu w pieprzonym kapeluszu? Tak, jest źle - przyznała już spokojniej. - Joanna miała kłopoty z tożsamością. Poznała jakiegoś faceta i... - Anna wzruszyła ramionami. - Stało się i koniec.

Minęliśmy skrzyżowanie, na którym chłopak z powykręcانymi nogami próbował wyłudzić jałmużnę. Jadący przed nami autobus zmienił pas i bezczelnie zajęchał drogę. Anna wdepnęła hamulec i tym razem już tylko odbiłem się od pasów.

- Je-ezu, mam nadzieję, że to przeżyję - mruknąłem.

- Słuchaj, Aleks. - Anna wyminęła płynnie autobus i zmusiła kierowcę z przeciwka, by przytulił się do chodnika. Usłyszeliśmy wściekły klakson. - To już trwa przeszło dwa lata. Czy ty nigdy nie zamierzasz się poddać? Jesteś dobrym dziennikarzem, po cholere bierzesz się za coś, czego nie potrafisz robić?

To była cała Anna. Prosto z mostu, bez ogródek i owijania w bawełnę. Ja przynajmniej wmawiałem sobie, że jestem nierozumiany i niedoceniany, ona wychodziła z założenia, że jeśli dziesięć osób powie, że wyrósł ci krowi ogon, to powinieneś spojrzeć na własny tyłek. Cóż, nie umiałem spoglądać na własny tyłek.

- Stephen King, zanim stał się milionerem, mieszkał w przyczepie kempingowej z żoną i dwójką dzieci, a jedyną korespondencją, jaką dostawał, były rachunki oraz odrzucone maszynopisy - powiedziałem. - Szkoda by było, gdyby się poddał za wcześniej, prawda? Joanna Rowling miała kłopoty z opłacaniem czynszu, a teraz mieszka w domu w najlepszej dzielnicy Londynu, który jest wart kilka milionów funtów. Ciekawe, co by było, gdyby zamiast oddawać się idiotycznym mrzonkom o karierze pisarskiej, dalej pracowała jako nauczycielka.

- Tak, tak, tak. Tylko ciekawe, ilu ludzi, których nie znasz z imienia i nazwiska, zmarnowało życie sobie i innym, szukając gruszek na wierzbie. Zawrzyjmy umowę: jeśli w ciągu pół roku nie znajdziesz wydawcy, wracasz do mnie. Zgoda?

Podawała mi rękę. W sytuacji, w jakiej byłem, nie wolno odrzucać propozycji pomocy. Dobrze wiedzieć, że są jeszcze ludzie, którym na mnie zależy. Nawet jeśli był to chwilowy odruch litości, podobny do tego, dzięki któremu podnosimy z asfaltu zagubionego ślimaka i kładziemy go na trawniku.

- Nie, Anno - powiedziałem. - Gdybym zgodził się na ten układ, to już tak, jakbym się poddał. Czasami, żeby osiągnąć szczyt, trzeba zejść na samo dno.

Spojrzała na mnie z ukosa twardym, złym spojrzeniem.

- Ty już jesteś na dnie.

Zahamowała i z piskiem wjechała pomiędzy dwa samochody na parkingu. Temu z lewej stłukła lusterko. Usłyszałem trzask i grzechot odłamków spadających na asfalt.

- Szszlag! - zaklęła. - Znowu palant stanął za blisko. Wsiadaj, Aleks.

Odpiąłem pasy i wysiadłem. Podeszedłem do drzwi po jej stronie i otworzyłem je. Anna szukała jeszcze torebki na tylnym siedzeniu, w jakiejś koszmarnej plątaniu koców, plastikowych worków i starych ciuchów.

- Dżentelmen jak zwykle. - Uśmiechnęła się. Wsiadła i włączyła alarm.

Pamiętałem mieszkanie Anny, ponieważ byłem w nim trzy lata wcześniej. Raz zaprosiła mnie na kolację, a raz wpadłem po jakieś materiały. Pomimo że rzadko bywała w domu, to jednak przykładała ogromną uwagę do tego, jak wyglądał.

„Do domu musisz wracać z radością i odpoczywać w nim” - zawsze mawiała i pamiętam, że najłatwiej było wydebić od niej dzień niezaplanowanego urlopu, skarżąc się na kłopoty związane z remontem.

Przekręciła klucz w drzwiach i weszliśmy do środka. Z salonu dochodziła głośna muzyka. Pomogłem Annie zdjąć płaszcz.

- Idź do niej. - Wskazała w stronę salonu.

- A ty?

- Zrobię kawę.

Alicja siedziała po turecku w ogromnym antycznym fotelu wyściełanym ciemnoczerwonym obiciem. Wpatrywała się bezmyślnym wzrokiem w telewizor, na którym hiphopowi idole wyczyniali dzikie wygibasy.

- Alicjo - powiedziałem głośno z progu. Spojrzała na mnie i wstała. Jeśli spodziewałbym się okrzyków radości i rzucania na szyję, bardzo bym się rozczarował. Ale ja się tego nie spodziewałem.

- Aleks - szepnęła, a ponieważ telewizor głośno grał, więc to, że wypowiedziała moje imię, poznałem tylko po ruchu ust.

Wzięła do ręki pilota i wyłączyła telewizor.

- Bałam się o ciebie, Aleks. - Spojrzała mi prosto w oczy i zauważyłem, jak mocno błyszczą jej źrenice.

Przypomniałem sobie jej wściekły atak na sąsiada i jak krzyczała, kiedy pakowali mnie do policyjnej suki.

- Dziękuję ci, Alicjo. Za wszystko, co dla mnie dzisiaj zrobiłaś. - Wyciągnąłem do Alicji dłoń, a ona ją uścisnęła.

- To moja wina, Aleks. Miałaś rację. Nie powinnam z tobą rozmawiać i nie powinnam do ciebie przychodzić. - Z powrotem opadła na fotel i podkuliła nogi. Adidasy ze splątanymi sznurowadłami leżały na podłodze.

Usiadłem obok niej, na krześle z wysokim rzeźbionym oparciem.

- Nie możemy pozwolić, by inni ludzie decydowali, co mamy robić i jak myśleć - odparłem spokojnie. - Ani ty, ani ja nie mamy sobie nic do zarzucenia. Myślę, że ten pijak prędzej czy później by mnie zaczepił. A że stało się to akurat dzisiaj...

- Nie, Aleks, chciał cię pobić przeze mnie...

- Dziecko - powiedziałem i zobaczyłem, jak słysząc to słowo, Alicja marszczy brwi. - On tylko znalazł wygodny pretekst.

Anna weszła do pokoju, niosąc na srebrnej stylowej tacce dzbanek kawy i filiżanki.

- Wykap się, Aleks - nakazała. - Dam ci czysty ręcznik. A ty - spojrzała na Alicję - pomożesz mi zrobić kolację.

- Tak. - Alicja posłusznie wstała z fotela.

- I na Boga, wynieś do przedpokoju te straszne buty!

Alicja, grzeczna jak nie ona, podniosła z podłogi adidas.

- Gdzie mam je postawić, proszę pani?

- Gdzie chcesz, byle nie leżały w pokoju. I możesz do mnie mówić Anno.

Łazienka Anny mogła budzić prawdziwy podziw i w porównaniu z moją zdawała się wręcz królewskim przybytkiem. Ogromna wanna z wmontowanym jacuzzi wyglądała jak mały basen i lśniła reklamową bielą. Ściany pokryte były kaflami w kolorze morskiej zieleni, a wręcz nieprzyzwoicie wypolerowane lustra odbijały moją sylwetkę, w którąkolwiek stronę bym spojrzał. Rozebrałem się i przyjrzałem sobie uważnie. Wyglądałem żałośnie. Miałem oklejony brudnym plastrem napuchnięty policzek i fioletowy siniak na szczęce. Byłem nieogolony, a włosy wyraźnie prosiły się o mycie. Puściłem wodę i wlałem na dno wanny trochę upojnie pachnącego morelowego płynu. Anna miała fioła na punkcie moreli. Pamiętałem, że zawsze w sezonie przynosiła do pracy torebkę tych owoców i nigdy z nikim się nie dzieliła, mimo że w innych przypadkach nie miała oporów przed częstowaniem pracowników. Ale morele trzymała tylko dla siebie. Poczekalem, aż woda zakryje sitka jacuzzi,



i wszedłem do pachnącej kąpieli, uważając, by nie zalać podłogi. Wyciągnąłem się wygodnie. Jestem wysoki, lecz w tej wannie moje stopy nie sięgały do przeciwległej ściany. Oparłem głowę na specjalnie wyprofilowanej gąbce i przymknąłem oczy. Też mogłem tak żyć. W pięknym mieszkaniu o szerokich wychodzących na ogród oknach. W mieszkaniu, gdzie wanna nie przypomina odrapanej zardzewiałej miednicy, a podłoga nie skrzypi przy każdym stąpieniu. Wystarczyło jedynie chcieć, postarać się, odrobinę ugiąć kark. Tyle że ja nie chciałem ugiąć karku. Wmawiałem sobie, iż jestem wolnym człowiekiem, ale wolność bez pieniędzy jest świadectwem abnegacji, a nie silnej woli. Oczywiście znałem starą prawdę mówiącą o tym, że pieniądze nie dają szczęścia, jednak zawsze dopowiadałem, iż za to pozwalają na komfortowe życie w nieszczęściu. Tyle że ja nie miałem w życiu ani szczęścia, ani pieniędzy. Liczyłem na cud, lecz ani Bóg, ani Szatan nie zdawali się specjalnie przejmować moim losem. To cholernie paskudne uczucie, kiedy nikt nie jest zainteresowany kupnem twojej duszy, nawet jeśli chciałbyś ją koniecznie sprzedać. Chociaż... przecież mogłem sprzedać samego siebie. Mogłem rzucić w diabły scenariusz, który przyniósł mi same klęski i rozczarowania. Mogłem wrócić do zawodu, odbić od dna, zarobić trochę pieniędzy, spotykać się ze znanymi ludźmi, podróżować do miłych, ciepłych krajów, a być może kiedyś poznać kobietę, na której widok mocniej zabiłoby mi serce.

Zanurzyłem się z zamkniętymi oczami. Uwielbiałem to uczucie odseparowania od świata, otoczenia ciepłą, pachnącą wodą i ciszą, przez którą przebijało tylko dalekie mruczenie rur. Gdybym chciał popełnić samobójstwo, zrobiłbym to właśnie w ten sposób: w wannie pełnej ciepłej wody. Leżałbym i obserwował, jak z moich żył sączy się purpurowa krew, a piana na powierzchni przybiera różowy kolor. Oł, Aleks - ostatni Rzymianin... Nie bałem się nigdy śmierci, lecz samobójstwo byłoby poddaniem się, ostateczną rezygnacją z walki. A ja jeszcze chciałem walczyć lub chociaż przed samym sobą udawać, że walczę.

Wynurzyłem się, starłem z twarzy wodę i pianę. Gdyby nie Alicja i Anna, to zamiast w ogromnej śnieżnobiałej wannie, leżałbym teraz na twardej pryczy nakrytej szarym kocem. A więc może miałem trochę szczęścia? Może Bóg czy Los uznali, że nie należy mi się ostateczne ponizenie? Umyłem włosy morelowym szamponem i wtarłem w nie morelową odżywkę. Dobrze, że lubię zapach moreli, bo inaczej kąpiel u Anny stałaby się toksycznym przeżyciem. Wyciągnąłem korek i spłukałem się pod prysznicem. Syknąłem, kiedy ostry strumień wody podrażnił napuchnięty policzek. Owinąłem się ręcznikiem (morelowego koloru), drugim wytarłem włosy. Spojrzałem do lustra. Nie wiem, czy wyglądałem dużo lepiej, na pewno dużo lepiej się czułem. Tak jakby wraz z wodą spłynął do ścieków cały brud dzisiejszego dnia. Bijatyka z sąsiadem, absurdalne oskarżenia i przesłuchanie na policji wydawały mi się teraz równie realne, co obejrzany w kinie film. Leniwie się zastanowiłem, czy nie powinienem

jednak przyjąć propozycji Anny. Wiele miesięcy później opowiedziałem Alicji o tej chwili słabości. Wysłuchała mnie spokojnie, potem uśmiechnęła się. „Przecież to by niczego nie zmieniło” - powiedziała i faktycznie miała rację. To nie zmieniłoby niczego, gdyż wydarzenia, które miały dopiero nastąpić, potoczyłyby się zapewne tak samo. Lecz ja byłbym już innym człowiekiem. Człowiekiem, który nagiął marzenia do rzeczywistości. „Ale ja wolę cię takiego” - dodała w czasie tamtej rozmowy Alicja. I znowu miała rację.

Otarłem taflę lustra z pary i przyglądałem włosy. Zacząłem się ubierać, i teraz dopiero, czysty i pachnący morelami, poczułem, że moje ubranie śmierdzi. Nie ma nic gorszego, niż założyć przeпоcone, znoszone ciuchy na czyste ciało. Wtedy usłyszałem pukanie do drzwi.

- Aleks - usłyszałem głos Alicji - mam dla ciebie szlafrok. Mogę podać?

- Proszę - powiedziałem z ulgą i drzwi uchyliły się. Zobaczyłem szczupłą rękę Alicji z frotowym czarnym szlafrokiem.

Założyłem go. Był miękki, obszerny i wygodny.

- Anna mówi, żebyś wrzucił ubranie do pralki i potem do suszarki - dodała zza drzwi.

Byłem wdzięczny, że Anna pomyślała nawet o tym, i na tyle głupi, by nie domyślić się, że to pomysł Alicji. Ściągnąłem szlafrok w pasie, wyszedłem z łazienki. Na stole stała już kolacja. Wędlina, białe pieczywo, ser, pomidory, butelka wina i winogronowy sok dla Alicji. Spojrzałem na stół i poczułem ukłucie żalu, może też zazdrości. O co? O rodzinny nastrój wspólnej kolacji, o pieczołowitość w dobraniu zastawy do koloru obrusa, o dokładne ułożenie sztućców i o lśnienie kryształowych delikatnie wyrzeźbionych kieliszków? O świece płonące w lichtarzu koloru starego złota? Przypomniałem sobie moje pospieszne śniadania i kolacje. Bułka z serem i pomidorem zapijana cienką herbatą, byle jak i byle gdzie. Czy życie nie powinno wyglądać tak, jak wyglądało życie Anny? A jednak chyba nie była szczęśliwa. Zaczynając od faktu, że skłonność do własnej płci nie była w Polsce nigdy mile widziana, a kończąc na ustawicznym braku czasu, na ciągłym zdenerwowaniu, które przejawiało się choćby w jej stylu jazdy, męskim, brutalnym i niebezpiecznym.

- Siadajcie - zaprosiła Anna.

- Jesteś wspaniała - rzekłem. - Głupia ta Joanna.

- Też tak myślę - odparła spokojnie i pozwoliła sobie nawet na lekki uśmiech.

Jedliśmy niespiesznie i popijaliśmy kolację czerwonym winem. Ja, jak zwykle, piłem wino pół na pół z wodą mineralną, a Alicja miała w kieliszku winogronowy sok. W pewnym momencie Anna zerknęła na zegarek.

- Czy twoi rodzice nie będą się niepokoić, Alicjo? -zapytała. - Jest już prawie dziesiąta. Ja was nie wyrzucam - dodała tonem wyjaśnienia - tylko pytam.

- Nie - odparła Alicja. - Moi rodzice są... - urwała na moment - zajęci własnymi sprawami.

Anna obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem. Zastanawiałem się potem, czy dziennikarska intuicja już wtedy nie podpowiadała jej, co dzieje się z Alicją. Ale nic nie powiedziała.

- Pamiętaj, że moja propozycja będzie jeszcze przez pewien czas aktualna - zwróciła się do mnie. - Chcę, żeby Aleks pracował z powrotem w gazecie - wyjaśniła Alicji i wiedziałem, że szuka w ten sposób sojuszniczki.

Zabawne, czyżby myślała, że mógłbym zmienić zdanie dzięki perswazjom czternastolatki?

- Aleks pisze scenariusz - powiedziała Alicja takim tonem, jakby mówiła: „Aleks jest milionerem”.

Czasami zastanawiałem się, czy to, że nawet nie raczyła zainteresować się propozycją Anny, nie wynikało z prostego faktu, że chciała być jedyną osobą, której coś zawdzięczam. Zresztą niedługo potem mogłem się przekonać, że Alicja potrafi być wdzięczna. Ale nie, jestem niesprawiedliwy. Alicja miała dla mnie po prostu inny plan na życie i praca u Anny nie mieściła się w jego ramach.

- Aleks może pisać scenariusz i jednocześnie być dziennikarzem - nie poddawała się Anna. - Jeśli Prus mógł pisać, będąc krawcem, to Aleks tym bardziej może pisać, będąc dziennikarzem.

- Aleks chciałby móc sam decydować o własnym losie - wtrąciłem. - Choć obu paniom bardzo dziękuje za zainteresowanie.

Anna sięgnęła po korniszona i ostrożnie rozkroiła go na talerzyku.

- Nie jesteś już chłopcem - powiedziała, nie patrząc na mnie i dziobiąc korniszona widelcem. - Niedługo będziesz miał czterdzieści lat. Jak wypadnie twój rachunek sumienia za ten okres?

- Na razie odnotowuję debet - odparłem, starając się, żeby zabrzmiało to żartobliwie. - Na szczęście mój bankier zapewnia, że kondycja konta rychło się poprawi.

- Aleks będzie miał wszystko - oznajmiła nagle Alicja takim tonem, że oboje spojrzeliśmy na nią zdumieni.

Wstała z krzesła.

- Przepraszam, muszę iść do łazienki.

Wtedy nie wiedziałem, że mówiąc „wszystko”, ma na myśli: „Aleks będzie miał mnie”. A dostałem ją z całym bagażem rzeczy dobrych i złych. I jak zwykle nie wiedziałem, których było więcej. Być może o tym, że w naszym związku było więcej dobra, przekonałem się dopiero wtedy, kiedy siekierą odrąbywano mi palce.

\* \* \*

Atmosfera domu Anny podziałała na mnie o tyle pozytywnie, że postanowiłem przeprowadzić w moim mieszkanku niewielkie porządki. Kupiłem farbę, wałek, szpachlę do darcia tynku, gips, odrdzewiacz i płyn do szyb. Kiedy rozejrzałem się po pokoju, zobaczyłem, że czeka mnie więcej pracy niż myślałem. Sufit i ściany były szare, poznaczone naciekami, a na ich powierzchni utworzyły się spękane purchle tynku. Kuchnia i łazienka wyglądały nie lepiej, w dodatku wanna pełna była ohydnych rdzawych nacieków. Dopiero teraz zauważyłem, że muszla klozetowa jest pęknięta. Mamy więc stajnię Augiasza, pomyślałem i zabrałem się do roboty. Jediną zaletą małych mieszkań jest fakt, że można w nich szybko posprzątać, a remont nie zajmuje wiele czasu. Oczywiście to jedynie piękna teoria, gdyż już wczesnym popołudniem miałem obłęd w oczach, a ubranie i twarz w plamach po farbie. Zapomniałem zamknąć drzwi, więc nie zauważyłem nawet, gdy w progu stanęła Alicja.

- O! - powiedziała tylko. - Może ci pomóc, Aleks?

- Dziękuję - chrypnąłem. - Radzę sobie.

W tym samym momencie tłusta kropla farby kapnęła mi na twarz. Zakląłem, a Alicja się roześmiała.

- Aleks, nie powinieneś używać przy mnie takich słów - powiedziała. - Ja mam dopiero czternaście lat. To karygodne...

Usiadła na krześle i przyglądała mi się, majtając nogami.

- Wizyta u Anny dobrze ci zrobiła. - Domyśliła się od razu, jakie były przyczyny rozpoczęcia tego niespodziewanego remontu.

Zlazłem ze stołka.

- No dobrze, czas na chwilę odpoczynku. Która godzina?

- Prawie trzecia.

- Już? - zdziwiłem się. - Ale ten czas leci. Umówiłem się o ósmej z Darią. Mam nadzieję, że zdążę z pokojem do tego czasu.

- Chcesz ją zaprosić, Aleks? - spytała.

Gdybym był mądrzejszy, domyśliłbym się, że nie jest to pytanie pozbawione podtekstu. Alicja chyba już wtedy miała plany dotyczące mnie i Darii. Czekwała jednak, jak cała sprawa się potoczy, ponieważ była przekonana o tym, że i tak to ona pokieruje rozwojem wydarzeń.

- Nie wiem - odpowiedziałem. - Może? Malowanie i tak niewiele pomogło. - Przyjrzałem się krytycznym wzrokiem temu, co osiągnąłem do tej pory.

- Eeee tam, jest naprawdę dużo lepiej - nie zgodziła się. - Jak chcesz, mogę ci umyć wannę.

- Chce ci się? - zdziwiłem się, bo zawsze wydawało mi się, że czternastoletnie dziewczynki nie przejawiają specjalnej ochoty do robienia porządków. Zwłaszcza w obcym mieszkaniu.

- Czemu nie? - Wzruszyła ramionami. - To będzie zabawne zobaczyć, że jest u ciebie czysto.

- Och, dzięki - odparłem. - Było aż tak strasznie? Nie musiała odpowiadać i nie odpowiedziała. Za to zdjęła kurtkę, zabrała ze stołu płyn, odrdzewiacz i szczotkę z ostrym włosiem.

- Chyba zwariowałam - powiedziała. - Ja i robienie porządków. Matko moja jedyna...

- Może najpierw napijemy się herbaty?

- Masz mało czasu do ósmej - stwierdziła i zniknęła w łazience.

Do siódmej udało nam się wspólnymi siłami doprowadzić mieszkanie do jakiego takiego stanu. Oczywiście zaproszenie tutaj kogoś byłoby sporym ryzykiem, zważywszy na fakt, że ściany kleiły się od farby, a Daria na pewno nie byłaby zadowolona z białych plam na eleganckim ubraniu. Lecz szczerze mówiąc, nie sądziłem, żeby zgodziła się mnie odwiedzić, poza tym naprawdę nie wiedziałem, czy tego w ogóle chcę. Od zawsze potwornie się bałem, że mogę zostać zraniony, dlatego starałem się nikomu nie dawać okazji do ranienia. Jeśli nie wyjdiesz sam ze skorupy, jest mniejszą szansą, że wyciągną cię na siłę, prawda? Jeśli nie wspinasz się na góry, raczej nie spadniesz z wysokości. Wystarczyło, że moim Mount Everestem był nieustannie poprawiany scenariusz. Po co szukać następnych gór do zdobycia, skoro nie weszło się jeszcze na tę najważniejszą? „Może po to, by wiedzieć, że potrafisz w ogóle na nie wchodzić?” - zapytała Alicja, kiedy podzieliłem się z nią tymi rozterkami. Oczywiście zrobiłem to wtedy, kiedy wszystko, co mnie wcześniej otaczało, było warte tyle co worek gipsu zmoczony ulewą.

\* \* \*

Leżałem na łóżku, paliłem papierosa i popijałem zimny sok cytrynowy. Nie myślałem o niczym innym, poza wczorajszym wieczorem i leniwie zajmowałem się puszczeniem obłoczków dymu pod sam sufit. Trzykrotny urywany i gwałtowny dźwięk dzwonka wytrącił mnie z rozmyślań. Poznałem, że na progu musi stać Alicja, bo nikt inny nie dzwonił w taki sposób. Zwlokłem się z łóżka i nakryłem pościel kapą. Otworzyłem drzwi. Alicja była tym

razem ubrana w sukienkę z krótkimi rękawami, ale na nogach miała jak zwykle adidasy z niewiarygodnie poplątanymi sznurowadłami i białe frotowe skarpetki do pół łydki.

- Dzień dobry, Aleks. Urwałam się z lekcji, więc daj mi szybko coś do picia, opowiadaj i będę zmykać.

- Co mam opowiadać? - zapytałam, nalewając szklankę soku.

Wypiła duszkiem.

- Jeszcze - zażyczyła sobie. - Opowiadaj, jak było na randce. - Zaśmiała się. - Chyba, że masz coś ciekawszego do opowiadania?

- Fajnie - odparłam.

Bo o czym miałam opowiedzieć Alicji? O pierwszym gorącym pocałunku i pożądlwym liźnięciu za uchem? O Darii, która leżała, ściskając moje ramiona obłądnie zgrabnymi łydkami, i gryzła róg poduszki, by stłumić krzyk? Czy mogłam komukolwiek opowiadać o spokojnej pieszczocie jej palców z długimi pomalowanymi na krwistoczerwono paznokciami? O sztywniejących brązowych sutkach i pełnym pożądania jęku, którym witała moje ugryzienia? To nie była historia, którą można by opowiedzieć komukolwiek, a z całą pewnością nie była to historia przeznaczona dla uszu czternastoletniej dziewczynki.

- Spałeś z nią?

- Alicjo - powiedziałam spokojnie, bo Bóg mi świadkiem, że spodziewałam się takiego pytania. - Nie sądzisz, że byłoby nadzwyczaj dziwne, gdybym opowiadał o takich sprawach dziecku?

- Więc spałeś - stwierdziła. - I jak było?

- Mój Boże - westchnąłem. - Masz dar ignorowania tego, czego nie chcesz słyszeć. Czy mam powtórzyć jeszcze raz, że nie będę o tym rozmawiał?

- Och, jak chcesz, Aleks. W dzisiejszych czasach i tak wszystko znamy z filmów. - Rozejrzała się po pokoju. - Całkiem nieźle tu wygląda - pochwaliła.

Sięgnąłem po papierosa i zobaczyłem, że pudełko jest puste. Co prawda wypaliłem dzisiaj sporo, ale miałem ochotę na jeszcze. Papierosy pozwalały zabić czas dzielący mnie od wieczornego spotkania z Darią. Na samą myśl, że będę dzisiaj przytulał i kochał to przepiękne ciało, przeszył mnie dreszcz.

- Muszę kupić papierosy.

- Mogę zaczekać? - zapytała Alicja.

- Pewnie. Zaraz wrócę.

Rzecz jasna, gdybym poprosił, żeby poszła ze mną do sklepu, niczego by to nie zmieniło. Prędzej czy później znalazłaby sposób, by zostać sama w moim mieszkaniu i przeprowadzić plan, o którym od dawna myślała. Plan, który wywrócił moje życie do góry

nogami. Tymczasem jednak wyszedłem z domu, przezornie przedtem sprawdzając, ile mam gotówki w portfelu. Stan moich finansów przedstawiał się żałośnie, ale do tego już akurat zdążyłem się przyzwyczać. A pomyśleć, że mógłbym zarabiać całkiem przyzwoite pieniądze w gazecie Anny i nie trapiłbym się, czy następnego dnia kupię papierosy oraz jedzenie. Czasami niechęć do pochylania grzbietu przyprawiała mnie samego o zdenerwowanie. Być może powinienem skorzystać z pomocy psychoterapeuty. Człowiek nie jest samotną wyspą i powinien umieć współżyć z innymi ludźmi. Ja tego nie potrafiłem. Na lekceważenie innych mogą pozwolić sobie gwiazdy lub milionerzy, z całą pewnością nie ludzie mojego pokroju.

Kiedy wróciłem z papierosami, Alicja leżała na łóżku z adidasami opartymi o drewnianą poręcz. Włączyła telewizor i oglądała południowoamerykański serial.

- Tego by brakowało, żeby ktoś to zobaczył - powiedziałem zgryźliwie. - Co ty oglądasz za szmirę?

Oczywiście myślałem krytycznie nie o jej upodobaniach telewizyjnych, lecz o fakcie, że wylądowała w moim łóżku.

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - One są wszystkie takie same. - Zerknęła na zegarek. - Oho, chyba muszę zmykać. Powiedz mi: dobrze zrobiłam, że poznałam cię z Darią?

- Rewelacja. - Podniosłem kciuk i uśmiechnąłem się. Dopiero długo potem zdałem sobie sprawę z faktu, że tym słowem przypieczętowałem zarówno los Darii, jak i mój. Alicja wiedziała, że Daria nie jest kobietą dla mnie, i postanowiła udowodnić tę tezę. Jednak całą grę, którą przeprowadziła (a która nie udałaby się, gdyby moja dziewczyna miała nieco twardsze zasady moralne), rozszyfrowałem dużo później. Na razie miało mnie tylko cholernie boleć...

\* \* \*

Alicja nie przychodziła przez trzy dni pod rząd i powiem szczerze: brakowało mi jej odwiedzin. Często o niej myślałem, lecz z drugiej strony byłem tak pochłonięty spotkaniami z Darią, że o Alicji myślałem głównie w kontekście faktu, że właśnie jej zawdzięczałem znajomość z moją piękną przyjaciółką. A ta znajomość rozwijała się w istic szaleńczym tempie. Każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem, albo u niej, albo u mnie. Nie chodziliśmy na spacer, romantyczne kolacje, nie prowadziliśmy inteligentnych i zabawnych rozmów. W zasadzie cały czas baraszkowaliśmy w łóżku, próbując wykrzesać z naszych ciał maksimum sił i nawzajem sprawić sobie maksimum przyjemności. Leżeliśmy zmęczeni i złani potem, w mroku rozświetlanym tylko ciepłymi migoczącymi płomykami świec, po to, by zaraz znowu połączyć się ze sobą, dyszeć, jęczeć, gryźć i drapać. Kiedy myślę dzisiaj o tym związku, zastanawiam się, czy było w nim coś oprócz wszechogarniającego zwierzęcego pożądania?

Czy czułe gesty, pocałunki, namiętne słowa nie były jedynie przyprawą mającą seks uczynić jeszcze bardziej pikantnym? Nie umiem teraz powiedzieć, co czułem do Darii. Czy ją kochałem? Oczywiście, że nie! Trudno kochać kogoś, kogo zna się jedynie od strony fizycznej. Nie znałem jej myśli, nie wiedziałem nic o jej pragnieniach i ambicjach, a ona tak samo nie pytała o moje plany i moje pragnienia. Dlatego ciężko mi uwierzyć, że byłem bliski rozpaczy, kiedy odeszła. Może zresztą nie była to kwestia jej zdrady, lecz po prostu ostatnia kropla przepełniająca czarę goryczy? Ostatni dowód na to, że nic nie może mi się w życiu udać i że wszystko, czego dotknę, kończy się klęską? Może związek z Darią traktowałem jako rodzaj egzaminu i oblanie go wzbudziło we mnie tak wielką frustrację? Cóż, zapewne nigdy nie będę już potrafił odpowiedzieć na te pytania i mimo że czasami tęskniłem za ciałem Darii, to nie tęskniłem za nią samą. Wtedy jednak stanowiła dla mnie ucieczkę od kłopotów dnia codziennego, ucieczkę od bez przerwy przerabianego i bez przerwy odrzucanego scenariusza. W objęciach Darii zapominałem chociaż na chwilę o tym, kim jestem naprawdę. Zapominałem o tym, że gdy patrzę w lustro, to widzę Człowieka-Któremu-Się-Nie-Udało. Daria była dowodem potwierdzającym tezę, że w ogóle istnieję, a jednocześnie świadectwem, iż chociaż nie spełniam się jako artysta, mogę się spełnić jako mężczyzna. Jak kruche były podstawy takiego rozumowania, miałem się przekonać jednak już wkrótce. „Musiało boleć - powiedziała dużo później Alicja niemal przeprasającym tonem, trzymając dłoń na moim policzku. - Wiesz o tym, prawda?"

„Wiem" - odparłem, lecz wtedy nie tylko nie czułem już bólu, ale śmieszyło mnie samo jego wspomnienie.

\* \* \*

Alicję po tej trzydniowej przerwie zobaczyłem pewnego słonecznego popołudnia. Ku mojemu zdumieniu dozorca stał przy murze i szpachlę zdierał obelżywy napis wyrysowany naprzeciwko figurki Matki Boskiej. Chwilę przyglądałem się, jak zawzięcie pracuje, przygryzając język i klnąc z cicha do siebie. Potem wyszedłem na chodnik. Zawsze byłem ciekaw, jak długo w rzeczywistości trwała scena, która rozegrała się przed moimi oczami. Analizując jej przebieg, można dojść do wniosku, iż nie mogła trwać dłużej niż kilka sekund. Ale ja pamiętam ją rozciągniętą w czasie do granic możliwości. Pamiętam każdy kadr, jakbym oglądał film w zwolnionym tempie. Najpierw biegnąca Alicja z torbą ze skaju przerzuconą przez ramię. Dobiegła do skraju jezdni i zatrzymała Się na moment. Za nią ciężkim kłusem podążał mój sąsiad z góry ubrany w wiśniowe spodnie od garnituru i różową nylonową koszulę, spod której wyłaniało się owłosione brzuszysko. Alicja zerknęła za róg, po czym



przemknęła przez ulicę, a za nią ruszył ten potężny facet, zapatrzony tylko w jej plecy, niewidzący niczego poza własną wściekłością.

Kierowca terenowego nissana skręcił gwałtownie kierownicą, jednak nie zdołał już zjechać na chodnik. Do dziś pamiętam, jak na zbliżeniu, jego rozszerzone przerażeniem oczy i dłonie ze zbieleńcami knykami zaciśnięte na kierownicy. Sądzę, że tak naprawdę nie mogłem widzieć ani jego źrenic, ani jego dłoni i wszystko to wyobraziłem sobie później. Ale nie mówię, jak przebiegała ta scena, lecz jak ją zapamiętałem. Terenowy nissan zaczął biegnącego mężczyznę zderzakiem i wyrzucił w powietrze. Mój sąsiad przeleciał niczym wielki szmaciany manekin i spadł na przeciwległy pas, wprost pod koła nadjeżdżającej z dużą szybkością półciężarówki. Nie przypominam sobie w tej scenie żadnych dźwięków. A przecież musiały one być! Głuche uderzenie ciała o metal, mokre plaśnięcie o asfalt, przeraźliwy sygnał klaksonów, krzyk przerażenia. Jedynym dźwiękiem, który pamiętam, był odgłos wymiotów. To kierowca nissana stał przy aucie i rzygał pod koła. Pamiętam nawet te rzygowiny, jakby były muzealnym arcydziełem, które warto przechować we wspomnieniach. Czerwone skórki pomidorów zmieszane z zielenią ogórków i żółtymi ziarenkami kukurydzy. Mój sąsiad z góry wyglądał, jakby jakiś mityczny olbrzym zacisnął w mocarnej pięści jego ciało, po czym puścił je na asfalt i próbował ułożyć. Ale ta sztuka się nie powiodła. Głowa była skrzycona pod dziwnym kątem, prawa ręka zdawała się mieć trzy stawy, a cudacznie rozkraczone nogi tworzyły kąt zaprzeczający mechanice ludzkiego ciała. Wokół rosła lepka brudnoczerwona kałuża. Szyby nissana i półciężarówki upstrzone były czerwonymi kropkami, tak jakby rozbiły się na nich dziesiątki tłustych much o odwłokach napęczniałych krwią.

Alicja, krzycząc, wpadła w moje ramiona. Łkała rozpaczliwie i trzęsła się jak w malignie. Wokół samochodów i ciała zaczęła gromadzić się tłum. Ktoś narzucił koc na zwłoki, ktoś inny powtarzał ciągle: „Jezu, Jezu, Jezu...”, jak gdyby było to zaklęcie, którego moc mogłaby cofnąć czas. I wtedy, kiedy tuliłem Alicję i głaskałem uspokajająco po ramieniu, usłyszałem tuż przy uchu jej szept. Spokojny szept. Bardzo spokojny szept.

- Nic mi nie jest, Aleks. Nie martw się, proszę. Nic mi nie jest. Wszystko dobrze, kochany.

I ten chłodny uspokajający głos był dla mnie większym szokiem niż sam wypadek. Czy właśnie wtedy domyśliłem się, że Alicja z zimną krwią zabiła człowieka, który starał się zrobić nam krzywdę? Chyba nie. Myśl o czternastolatce potrafiącej zrealizować tak misterny plan była jednak zbyt niesamowita. A nawet, gdybym już wtedy wiedział wszystko to, co wiem w tej chwili, nie mam pojęcia, czy potrafiłbym się zdobyć na potępienie. Szok był tak silny, iż nie zwróciłem uwagi na słowo „kochany” wypowiedziane z prawdziwą troską. Czy gdybym ją wtedy zapytał, dlaczego mnie tak nazwała, coś by to zmieniło? Nie rozśmieszajcie mnie! Cóż

mają pytania do miłości na śmierć i życie?! Chociaż wtedy nie zdawałem sobie sprawy z ceny, jaką przyjdzie za wszystko zapłacić. Nie wiedziałem, bo i nie mogłem wiedzieć, że przed bramami Ciemnego Lasu znajdą się ludzie, którzy wystawią mi rachunek tak wysoki, że będę go spłacał jedynie krzykiem i bólem. No, ale to miało się zdarzyć dużo, dużo później, ponieważ tamtego dnia nie wiedziałem jeszcze, że istnieje Ciemny Las...

Bardzo szybko pojawiły się radiowozy oraz karetka pogotowia. Pielęgniarki i lekarz nie mieli nic innego do roboty, jak zbadać ciało i zapakować je do czarnego worka. Na asfalcie został tylko kredowy rysunek w plamie zastygłej krwi. Kierowca nissana tłumaczył coś policjantom i nie mógł trafić trzymaną w drżącej dłoni zapalniczką do papierosa, aż jeden z mundurowych litościwie przytrzymał mu rękę. Alicja wymknęła się z moich objęć i wzięła mnie pod ramię.

- Chodźmy stąd, Aleks.

Zdarzało mi się już widzieć zwłoki. Pierwszy raz, kiedy byłem dzieckiem i stałem na plaży za opalonymi plecami mężczyzn i kobiet. A w środku wytyczonego przez nich kręgu leżał opuchnięty kształt będący niegdyś człowiekiem, a teraz tylko kupą zepsutego mięsa nasączoną słoną wodą. Nie pamiętam dobrze tej sceny, chyba odszedłem stamtąd dość szybko. Czasami zastanawiam się, czy w ogóle kiedykolwiek się ona wydarzyła, czy też była wizualizacją zasłyszanych opowieści? Potem zdarzało mi się jeszcze widzieć wypadki drogowe i ciała w czarnych worach, ale nigdy nie obserwowałem żadnej tragedii od samego początku do końca. Nigdy nie obserwowałem tego zdumiewającego procesu przemiany, który człowieka mającego plany, marzenia i emocje transformuje w zgniecioną i pokrwawioną lalkę posiadającą w sobie tyle życia co gorący asfalt, na którym leży.

Gdy usiedliśmy w pokoju, Alicja zaparzyła herbatę i przypaliła mi papierosa. Zaciągnąłem się głęboko. Poczulem, że drżą mi palce. To nie było wyczuwalne drżenie, lecz napięcie pochodzące gdzieś z wewnątrz.

- Dlaczego on cię gonił? - zapytałem.

- Kto? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- No, on... - Wskazałem za okno ruchem głowy.

- Nie sądzę, żeby mnie gonił - odparła ze zdziwieniem. - Po prostu przebiegał przez ulicę.

Spojrzałem w jej niewinne, błękitne oczy. Patrzyła na mnie szczerze, a w jej wzroku widziałem troskę. I odrobinę znużenia.

- Ludzie często giną, Aleks - powiedziała spokojnie. - Jesteśmy zrobieni z bardzo nietrwałego materiału.

Miałem sobie jeszcze później przypomnieć te słowa.

\*\*\*

O charakterze związku z Darią może świadczyć fakt, że nawet nie opowiedziałem jej o wypadku, którego byłem świadkiem. Zresztą, co tu było do opowiadania? Na ulicach Warszawy codziennie giną ludzie. Pod kołami samochodów i autobusów. Pijani i trzeźwi, spokojnie przechodzący po pasach i przebiegający na czerwonym świetle. Szybko zmieniają się tylko liczby zakłęte w pamięci policyjnych komputerów. Ofiary z żywych myślących istot stają się zaledwie elementem statystyki służącym do tego, by na zebraniu rady gminy czy miasta ktoś mógł się upomnieć o zwiększenie środków przeznaczanych na bezpieczeństwo, a ktoś inny mógł zaproponować ograniczenie szybkości. Nie widziałem więc sensu w opowiadaniu Darii o tym wydarzeniu i rychło sam o nim zapomniałem, kiedy poczułem jej dotyk i zapach oraz usłyszałem jej jęki. Śmierć mojego sąsiada z góry wstrząsnęła mną, lecz jednocześnie dziwnie uspokoiła. Nie musiałem się już bać spotkania z tym wielkim, wiecznie skacowanym lub pijanym człowiekiem, który prędzej czy później chciałby odplacić mi za bójkę, w której rozciąłem mu nos. Odczuwałem ulgę, wiedząc, że nigdy nie usłyszę już na schodach jego ciężkich kroków, nigdy nie podsłucham przez ściany jak klnie na żonę, nigdy nie będę musiał wpatrywać się, czy właśnie nie przechodzi przez bramę. W miarę mijających dni zapomniałem o tym wydarzeniu. Czasami przypominał mi o nim krzyż wyrysowany farbą na fasadzie kamienicy, dwa płonące pod nim znicze i pęczek zeschniętych kwiatów. Nadal spotykałem się z Darią. Kiedyś, gdy leżeliśmy wyczerpani seksem, powiedziała:

- Wiesz, spotkałam tę twoją zabawną siostrzenicę. Przez chwilę zastanawiałem się, o kim mówisz, potem przypomniałem sobie, że przecież Alicja podała się za moją siostrzenicę.

- I co? - zapytałem bez szczególnego zainteresowania.

- Narobiła mi wstydu - wyjaśniła Daria ze śmiechem. - Oblała jogurtem jakiegoś faceta, a potem zwała. Gość wysiadał z takiego cudacznego małego audi, a ona wpadła prosto na niego i zachlapała mu marynarkę, spodnie, wszystko... No więc musiałam mu zaproponować, że pokryję koszt pralni, i zostawiłam wizytówkę.

- O, to się pewnie ucieszył - powiedziałem zgryźliwie i poczułem niechcianą igielkę zazdrości pod sercem.

- Nie bądź głuptasem. - Zaśmiała się i zmierzwiła mi włosy. - Ja jestem jak żona cezara. Poza wszelkimi podejrzeniami.

Spojrzałem na nią i pomyślałem sobie, że nikt nie jest poza wszelkimi podejrzeniami. Że to tylko piękna teoria, w którą chcemy wierzyć, bez której życie utraciłoby wiele ze swego uroku. W każdym, nawet najbardziej cynicznym człowieku jest chęć przeżycia czegoś czystego

i wzniosłego. Wielkiej miłości pełnej wielkich słów. Tyle, że wielkie słowa są jak niemiecka marka w czasach Republiki Weimarskiej. Z każdym dniem coraz bardziej się dewalują. W końcu pozostają bezdźwięczne głoski wypowiedane z przyzwyczajenia lub poczucia obowiązku. Tak jak rodząc się, mamy śmierć wpisaną w genotyp, tak zakochując się czy kochając, musimy pamiętać, że rozstanie i wypalenie uczuć jest czymś, co nadejdzie w sposób nieunikniony. Niektórzy wierzą, iż uda im się być wyjątkiem od reguły, a w innych ta wiara już dawno została zabita. Należałem do tej drugiej grupy, chociaż Bóg mi świadkiem, że wolałbym beztrąsko wierzyć, iż słowa „zawsze” oraz „nigdy” nadal będą funkcjonować w moim słowniku. Ale one umarły. Zdechły. Sparszywiały. Zgniły. Co prawda miały powstać w chwale, tylko ja jeszcze w swej naiwności o tym nie wiedziałem... Na usprawiedliwienie mogę jedynie powiedzieć, że kiedy przyszło co do czego, byłem bardziej podobny do Marii z Magdali niż do niewiernego Tomasza.

- A propos żony cezara - wymruczałem, przeciągając dłonią po piersiach Darii. - Czy nie czas już na pobicie małego rekordu w stylu Messaliny?

- Hej! - krzyknęła z udawanym oburzeniem. - To będzie siódmy raz! Nigdy się nie męczysz, ogierze?

- Dopiero siódmy? Wybacz, dzisiaj najwyraźniej jestem nie w sosie. - Przesunąłem palcami po jej brzuchu, zagłębieniu pępka i delikatnie pogładziłem jedwabiste włosy.

Przekręciła się zręcznym ruchem, jej piersi zakołysały się nad moją twarzą.

- No dobrze - powiedziała. - Teraz ja będę rządzić i sterować. - Przy każdym słowie czułem, jak jej palce coraz silniej mnie obejmują. - Mmmm, co ty na to?

No cóż, na pewno nie byłem niechętny. Daria budziła we mnie pożądanie i miałem ochotę kochać się z nią zawsze i wszędzie. Lubiłem jej pełne piersi, roziskrzone oczy, zręczne szczupłe palce i lekko wydęte usta. Poznając ją bliżej, znajdowałem w niej coraz więcej drobnych czy wręcz minimalnych defektów, ale to jeszcze bardziej mnie podniecało. Oto miała jedną pierś wręcz niezauważalnie mniejszą od drugiej. Kiedy się uśmiechała, w kąciку ust powstawała na moment rysa ciągnąca się w stronę policzka. Jej nogi były ciut za grube w pęcinach, a zwężenie talii mogłoby być nieco bardziej widoczne. Nie miało to jednak żadnego wpływu na fakt, że była jedną z najatrakcyjniejszych kobiet, jakie w życiu widziałem (wliczając w to programy Fashion TV oraz filmy porno). Odpoczywałem przy niej, a jej obecność w moim życiu pozwalała na snucie nieco bardziej optymistycznych prognoz dotyczących przyszłości. Bo czyż, jeśli miałem ją, nie mogłem mieć czegokolwiek, co tylko sobie wymarzę? Zapomniałem jednak o znaczącym fakcie. O tym, że znajomość z Darią zawdzięczałem wyłącznie Alicji. O tym, że sam nigdy nie odważyłbym się podejść do pięknej, eleganckiej kobiety sprawiającej wrażenie niedostępnej. Kiedyś: tak. Kiedyś, ale nie teraz.

Zapomniałem o tym i szybko miała nadejść chwila, gdy za mój brak pamięci oraz brak trzeźwego oglądu rzeczywistości zostałem należycie i stosownie ukarany. „Wybaczyłeś mi to?” - zapytała potem Alicja.

„Ja ci za to dziękuję, skarbie” - odparłem i byłem jej prawdziwie wdzięczny.

„Dałam ci tyle bólu...” - Zobaczyłem, że ma łzy w oczach.

„A czy mogłaś ofiarować mi piękniejszy prezent?” - spytałem.

\* \* \*

Od kilku dni Daria nie miała czasu, by się ze mną spotkać. Nie robiłem z tego tragedii. Doskonale wiem, że w każdym związku po okresie pierwszej fascynacji i chęci poświęcania całego wolnego czasu partnerowi następuje okres powrotu do twardej, skrzeczącej rzeczywistości. Powrotu do spraw trywialnych, codziennych, ale przecież wypełniających nasze życie. Do pracy, do porządków w domu, zakupów. Chęć wyspania się, obejrzenia programu w telewizji, poczytania książki, pobycia przez chwilę samemu. Myślę, że nie świadczy to o osłabieniu siły związku, lecz jedynie o jego przejściu na tory codziennego rytmu, w którym musimy, chcąc nie chcąc, żyć. Cóż, nie każdego stać, by spędzać dzień z kieliszkiem dobrego alkoholu na rozslonecznionej plaży, a wieczorem leniwie zastanawiać się, który z licznych klubów nocnych odwiedzić. Nie każdy wybiera pomiędzy wieczorem na hali Lakersów w towarzystwie Jacka Nicholsona a balangą u Hugo Hefnera... Taaak, wtedy posiadałem jedynie wycinkowy obraz rzeczywistości ukształtowany przez media oraz własne fantazje. Potem miałem się przekonać, iż życie bez prawdziwej miłości jest tyle samo warte co życie bez oddechu... Niezależnie od tego, ile masz pieniędzy na koncie i w jak pięknym miejscu mieszkasz. Prawdziwa miłość jest warta, by poświęcić za nią... ale niepotrzebnie wybiegam w przyszłość.

Daria miała swoją pracę, pracę, na której jej zależało, i rozumiałem, iż zarwane noce na pewno nie służą jej operatywności. Dlatego, jak już wspominałem, nie niepokoilem się tymi kilkoma dniami rozstania. Z dzisiejszego punktu widzenia oceniam, że już to powinno mnie otrzeźwić. Ponieważ gdybym ją kochał, to spędzanie czasu bez niej wydawałoby się tak samo słodkie jak wyścig sprinterski na wysokości siedmiu tysięcy metrów nad poziomem morza. Oczywiście tęskniłem za nią, może po prostu za jej ciałem i obecnością w moim łóżku, lecz postanowiłem zabrać się tym usilniej do poprawek w scenariuszu.

Definitywnie przerobiłem jeden z rozdziałów, wprowadziłem kluczową postać kobietą - prawdziwą *femme fatale* - i byłem z siebie nawet przez jakiś czas zadowolony. Dokładnie tak długo, póki jasno nie zrozumiałem, że coraz mniej zostaje z mojej prawdziwej koncepcji.

Kurtka scenariusza powoli pokrywała się łatami, w dodatku łatami prezentującymi różny poziom pstrokacizny. Oryginalny materiał ginął pod natłokiem obcych barw i kształtów. Niedługo pozostaną tylko łaty, do których kurtka będzie zaledwie dodatkiem. Patrzyłem na tekst i byłem autentycznie przerażony. A więc tyle zostało ze mnie? Z mojej pierwotnej koncepcji, która wydawała mi się nowatorska i może nie olśniewająca, lecz przynajmniej ciekawa? Poprawki, poprawki i poprawki. Łata na łacie. Wyłączyłem komputer i położyłem się na łóżku. W ciemności widziałem żarzący się ognek papierosa. To był już koniec. Teraz zdałem sobie z tego sprawę tak wyraźnie, jakby ktoś podszedł do mnie i krzyknął mi te słowa prosto w ucho: „Aleks, to już koniec, mięczaku! Przegrałeś, żaloszny skurwysynie!”. No, cóż. Zdusiłem niedopałek w popielniczce. Czas zbudować nowe miasto na zgliszczach starego, pomyślałem. Czas dorosnąć, chłopie! W końcu nie za to ojciec bił Jasia, że grał w pokera, tylko za to, że chciał się odegrać. Inna wersja tej starej anegdoty mówiła, że nie za to ojciec bił Jasia, iż grał, ale za to, że grać nie umiał. Solennie postanowiłem, że jutro pójde do Anny z bukietem herbacianych róż (kolor herbacianych róż można było od biedy uznać za odcień morelowego) i solidnym przyrzeczeniem, iż jeśli da mi jeszcze jedną szansę, to stanę się podporą redakcji i zapomnę o idiotycznych mrzonkach. Przez moment kusilo mnie, by włączyć komputer i skasować wszystkie wersje scenariusza. Raz na zawsze pozbyć się z życia balastu, który od dwóch lat ciągnął mnie na dno. Lecz pomyślałem również, że byłby to tylko pusty gest. Przecież dałem tekst tylu osobom, że gdybym chciał, mogłem go w każdej chwili odzyskać. Potrzebne mi były nie puste gesty, a decyzje. Szczere postanowienie poprawy. Skrucha oraz żal. I obietnica pokuty. Nie tak strasznej zresztą pokuty, jeśli wziąć pod uwagę, że byłaby nią praca u Anny.

Wstałem z łóżka ogarnięty prawdziwą i autentyczną chęcią życia. Jednocześnie wiedziałem, że z kimś muszę podzielić się wieścią, iż rozpoczynam nowy etap. I tym kimś, na moje nieszczęście, a może szczęście, była Daria. Wziąłem prysznic, ubrałem się, do kieszeni marynarki wrzuciłem paczkę papierosów oraz zapalniczkę i wyszedłem. Kiedy patrzyłem na schody z wyslizganymi stopniami, kiedy znowu poczułem ten wszechobecny smród gotowanej kapusty, który dzień po dniu rządził na klatce schodowej, pomyślałem, że może już niedługo nie będę musiał tu mieszkać. Z pensją, jaką dostanę u Anny, z wierszówkami i fuchami, które się szybko pojawią, będzie mnie stać na wynajęcie solidnego mieszkania w lepszej dzielnicy. Oczywiście pomyślałem też o Darii i wieczorach, które będziemy mogli spędzać w mieszkaniu prezentującym standard, do jakiego przywykła taka dziewczyna jak ona. A nie w rozsypującej się ruderze.

Muszę też przyznać, że od razu pomyślałem o Alicji i o tym, że chętnie będę ją u siebie gościł.

Szedłem przez rozświetlone neonami i blaskiem ulicznych lamp ulice miasta i rozkoszowałem się nowym życiem. A może nawet nie nowym życiem, lecz samym przecuciem nowego życia. W końcu, czyż do tej pory nie przypominałem hazardzisty, który dzień po dniu, noc po nocy, przegrana po przegranej wierzy, iż wreszcie się odegra? Że zły Los kiedyś uśmiechnie się radośnie i ciepłą rączką wypłaci mu gratyfikację za wszystkie lata zawodów oraz upokorzeń? W tym momencie nie musiałem się martwić fochami strojonymi przez Los. Trzymałem bat w silnych dłoniach i zamierzałem co nieco pogonić nim życie. I nadrobić wszystkie zmarnowane lata. Kiedy później myślałem o tej chwili, wydawało mi się bardzo zabawne, że mogłem aż tak uwierzyć, że cokolwiek zależy od nas samych, a nie kaprysów przeznaczenia. Bowiem Los, urażony moim lekceważeniem, postanowił wypłatać mi psikusa, który mógł się skończyć naprawdę oplakaniem. Los? Hm, można to i tak nazwać... Poza tym, jak potem się zorientowałem, ona czuwała nade mną od początku do końca. „Aleks, uwierz, że serce mi się kroilo, kiedy na ciebie patrzyłam” - powiedziała dużo później.

„Operacja czasem musi boleć” - odparłem.

Do domu Darii poszedłem na piechotę. Warszawa nocą nie należy do najbezpieczniejszych miast, lecz Daria mieszkała zaledwie dwadzieścia minut drogi ode mnie, więc pomyślałem, że szybki wieczorny spacer dobrze mi zrobi. Już z daleka widziałem światła migające z okien jej punktowca. Minąłem parking i policzyłem kolorowe prostokąciki. W mieszkaniu Darii, niestety, było ciemno.

Westchnąłem w myślach, ale stwierdziłem, że w końcu sam sobie jestem winien, bo mogłem wcześniej zadzwonić. Może była jeszcze w pracy, może już spała, a może poszła odwiedzić koleżankę? Na wszelki wypadek wduśiłem przycisk domofonu, raz, potem drugi i trzeci, lecz nikt się nie odzywał. Grzecznie podziękowałem, kiedy do środka chciała mnie wpuścić starsza pani wychodząca na spacer z opasłym i sapiącym pieskiem ubranym w kraciasty sweterek. Usiadłem na zacienionej przez drzewa ławce i zapaliłem papierosa. Postanowiłem, iż wypalę tylko jednego, później udam się w powrotną drogę do domu, licząc, że będzie ona równie spokojna jak spacer do Darii. I kiedy brałem już ostatniego macha, zobaczyłem, jak pod klatkę zajeżdża srebrzystoszare audi. Mała zabaweczka dla snobów i nowobogackich. Dodam: mała śliczna zabaweczka dla snobów i nowobogackich. Niski dwuosobowy samochód o opływowym kształcie pocisku lub spadającej kropli wody. Zatrzymał się przy krawężniku, a ze środka najpierw wysiadł wysoki mężczyzna w szarym prochowcu. Otworzył drzwi od strony pasażera i coś mnie tknęło, gdy zobaczyłem długie zgrabne nogi w czarnych pantofelkach na obcasie. Potem nie musiałem już zdawać się na żadne domysły, ponieważ bardzo wyraźnie w świetle ulicznej latarni dostrzegłem postać i twarz Darii. Śmiała się i kiedy przechodziła obok mężczyzny, przytuliła się do niego kocim

ruchem i pocałowała prosto w usta. Otworzył przed nią drzwi klatki schodowej, ona wystukała kod na domofonie i zniknęli za następnymi drzwiami.

Siedziałem jak sparaliżowany tak długo, aż niedopałek oparzył mnie w palce. Syknąłem, rzuciłem peta i zdeptałem czubkiem buta. Co właściwie miałem zrobić w tej sytuacji? Wyjść z cienia, w którym tak ładnie się ukryłem, i dać facetowi w mordę? Tylko co on, do cholery, był winien? Spotkał atrakcyjną laskę, więc ją przeleciał. *Nihil novi sub sole*. Nie miał wobec mnie żadnych zobowiązań, ba, zapewne nie wiedział nawet o moim istnieniu, więc dlaczego miałem go bić? W końcu genetyka mówiła wszystkim facetom: „rozzrucajcie swe nasienie, gdzie tylko się da”. Może więc powinienem wyjść i uderzyć ją? No cóż, nigdy nie obiecywała mi niczego poza miłą przygodą. Oczywiście zawsze mogłem podejść do nich i spytać, czy mają ochotę na trójkąt, albo poradzić facetowi, żeby kazał jej zrobić loda, bo jest w tym świetna. Założę się, że popsułbym im, a przynajmniej jemu, ten wieczór!

Jednak nawet najbardziej spektakularne zachowanie nie mogło ukryć jednego. W wojnie samców on był tym, który oczarował samiczkę barwnym upierzeniem. A mnie pozostawało siedzenie w cieniu. Ot, i alegoria mojego życia. Zresztą, jakie życie, taka alegoria... Muszę przyznać, że zachowałem się w sposób najbardziej szczeniacki z możliwych. Wyciągnąłem z kieszeni klucze, uchwyciłem je mocno w garści i z przeraźliwym zgrzytem przeciągnąłem ząbkami największego klucza po masce srebrnego audi. Byłem pewien, że krecha będzie naprawdę imponująca. A potem odszedłem, zapalając następnego papierosa, chociaż dłonie drżały mi tak, że z trudem utrzymałem zapalniczkę. Nie pamiętam zbyt dobrze, w jaki sposób doszedłem do domu ani co wtedy myślałem. Poza tym, oczywiście, że powtarzałem ciągle „co za kurwa!, co za cholerna kurwa!” i strasznie rozczulałem się nad sobą oraz nad prześladowującym mnie pechem. Być może bluźniłem też trochę Bogu, ale istotnie staruszek działał mi od dłuższego czasu na nerwy.

Zapewne z perspektywy upływających miesięcy wszystko to wydaje się trochę zabawne lub trochę żalodne. Ale tamtego wieczora z całą pewnością nic nie wydawało mi się zabawne. W końcu nieważna jest obiektywna ocena bólu, lecz subiektywne cierpienie, jakiego doznajemy. W życiu człowieka bywają chwile, kiedy nie wie, co ze sobą zrobić i dokąd pójść, a cała przyszłość wydaje się być jedynie czarną pustką. I bynajmniej nie interesuje cię, co w tej pustce znajdziesz. Zdrada Darii była tylko kolejnym kamieniem rzuconym mi pod nogi. Jeśli mogłem mieć jeszcze jakikolwiek szacunek do siebie, właśnie go traciłem. Oto, nawet jako mężczyzna mogłem być jedynie chwilowym substytutem, zabawką w rękach pięknej dziewczyny. Poza tym wyobrażałem sobie, że wszystko, co robiła dotychczas ze mną, robi teraz z właścicielem srebrzystego audi. Zapewne tak samo chętnie, bezpruderyjnie i radośnie jak ze mną.



Wszedłem na podwórko studnię i wręcz z nienawiścią spojrziałem w wypłowiałe oczy Matki Boskiej migoczące odbitym blaskiem świeczek umieszczonych u stóp kapliczki. Z trudem pohamowałem się, by nie rozbić tej martwej gipsowej figurki, ale jakaś część mnie, która zachowała resztki zdrowego rozsądku, podpowiadała, iż jeśli ktokolwiek mnie wtedy zobaczy, będę musiał wyprowadzić się w bardzo szybkim tempie. Poza tym, cóż winna była mi nieszczęśliwa postać, która miała pecha urodzić cynicznego, aroganckiego boga, niezwracającego się do niej inaczej niż „kobietę” (pewnie słowo „mamusiu” nie widniało w jego słowniku). Podejrzywałem, że miał w sobie tak samo wiele czułości jak esesmani z Oświęcimia. Patrząc na poczynania jego wyznawców, teoria ta wydawała mi się zresztą całkiem prawdopodobna.

Zatrzasnąłem drzwi z całej siły. Z hukiem futryn, od którego aż zadrżały ściany. Rozejrzałem się po mieszkaniu i w butach oraz marynarce zważyłem na łóżko. Przez zasunięte do połowy zasłony dochodził żółtawy blask stojącej przy ulicy lampy. Nic mi się nie chciało. Nawet rozpaczać nad samym sobą. Może najwyżej napić się wódki, ale wiedziałem, że w lodówce jest jedynie resztką wygazowanego piwa, której zapomniałem wylać do zlewu. I kiedy zastanawiałem się, czy nie zebrać ostatnich zaskórniaków i nie przejść się po flaszkę do nocnego sklepu, rozległ się dzwonek. A raczej nie jeden dzwonek, lecz trzy szybkie dzwonki. Oczywiście to była Alicja. Nie zamierzałem jej otwierać. I dopiero, gdy spojrziałem na zegarek, zaniepokoiłem się. Fosforyzujące wskazówki wyraźnie pokazywały dwunastkę i trójkę. A więc było piętnaście po dwunastej. Bardzo dziwna pora na odwiedzin i bardzo dziwna pora na spacer dla czternastoletnich dziewczyn. Pomyślałem, że może stało się coś złego i podszedłem do drzwi. Otworzyłem zasuwę i prawie że wciągnąłem Alicję do środka. Tego by tylko brakowało, żeby sąsiedzi zobaczyli ją przychodzącą do mnie po nocy. Zresztą, cholera wie, czy czyjeś czujne oko nie wysłodziło Alicji już na podwórku albo na schodach.

- Aleks, dlaczego siedzisz w takich ciemnościach? - spytała zdziwiona i sięgnęła do kontaktu, jednak zdążyłem zatrzymać jej dłoń.

- Zostaw - powiedziałem. - Drzemałem.

- W marynarce i butach? - W żółtym świetle odległej latarni zobaczyłem rozbawienie na jej twarzy. - Zrobisz mi herbaty, Aleks?

- Zanim zrobię cokolwiek, chciałbym się dowiedzieć, co robisz u mnie po północy? Czyś ty zwariowała? Czy chcesz, żeby twoi rodzice mnie zlinczowali?

- Rodzice są na imprezie i wrócą jutro - wyjaśniła, wzruszając ramionami. - A ja, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć, byłam u koleżanki, niedaleko stąd, i pomyślałam sobie, że cię odwiedzę. Mógłbyś się trochę ucieszyć, co?

Machnąłem tylko ręką, bo nawet nie chciało mi się tłumaczyć, że nie mam specjalnych powodów do radości. Podpaliłem gaz na kuchence i postawiłem czajnik z wodą.

- Nadal nie mogę zapalać światła? - spytała.

Pstryknąłem wyłącznikiem lampki przy łóżku i blade światło czterdziestowatowej żarówki rozegnało ciemności.

- Nie wyglądasz najlepiej, Aleks - stwierdziła, przyglądając mi się uważnie.

- Dzięki - odparłem.

- Płakałeś?

- Mam alergię - mruknąłem.

„Wiedziałam, że płakałeś - powiedziała później. - Ale wiesz, że nic nie mogłam zrobić, prawda? To musiało się stać...”

Alicja wyglądała za to doskonale. Miała zaróżowione od spaceru policzki i porządnie spięte włosy. Po prostu wzorowa czternastolatka, gdyby nie brać pod uwagę faktu, że właśnie całym ciężarem klapnęła na moje łóżko i przyjrzała się leżącej na szafce okładce ostatniego numeru „Playboya”.

- Niezła - powiedziała, wskazując palcem na nie do końca ubraną modelkę ustawioną przez fotografów w dość odważnej pozie. - A jak się czuje śliczna Daria?

Och, zabolalo! Dlatego, że bardzo wyraźnie wyobraziłem sobie, jak właśnie teraz może czuć się moja była dziewczyna i co robi z właścicielem srebrzystego audi w swoim wygodnym i przestronnym łóżku. Alicja musiała dostrzec grymas na mojej twarzy, gdyż opuściła nogi na podłogę i usiadła na łóżku.

- Pokłóciłeś się z nią? - zapytała poważnym tonem. Woda zaczęła wrzeć, więc wyciągnąłem z szafki kubek, wrzuciłem do niego torebkę earl greya i zalałem.

- Można tak powiedzieć - mruknąłem. - Wypij herbatę i idź do domu, Alicjo, dobrze?

Nagle znowu uzmysłowiłem sobie, która jest godzina i że czternastoletnie dziewczynki o tej porze na pewno nie powinny spacerować same po ulicach miasta.

- Znaczący, odprowadzę cię, oczywiście - dodałem i pomyślałem, że w drodze powrotnej zajrzę do nocnego sklepu.

Podłożyła sobie poduszkę pod głowę i znowu wyciągnęła się na łóżku.

- Opowiadaj - powiedziała bynajmniej nie proszącym tonem.

Postawiłem kubek z gorącą herbatą na okładce „Playboya” i cofnąłem się, żeby znaleźć miód.

- Nie ma co opowiadać - odparłem. - Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że to nie jest kobieta, która byłaby zachwycona takim facetem, jak ja?

Skinęła w milczeniu.

- Więc miałem rację i mogę sobie w związku z tym pogratulować daru przewidywania.

Alicja ujęła ostrożnie uszko kubka i siorbnęła gorzką herbatę. Zignorowała stojący na szafce miód.

- Aleks, przecież ty jej nawet nie kochałeś - powiedziała. - Czym się tu przejmować? Nie ta, to będzie inna. Ważne, że przekonałeś się, że możesz sobie poderwać jaką chcesz laskę.

- Za dużo filmów dla dorosłych. - Cmoknąłem niezadowolony. - Jeeezu, jak pomyślę, ile ty masz lat, zaczyna mnie boleć głowa.

- Ha, ha - rzekła zimnym tonem. - Posłuchaj mnie uważnie, Aleks. Wierz mi, że znajdziesz jeszcze kogoś, kto będzie twoim życiem i ty będziesz jej życiem. I ona, przeglądając się w twoich oczach, zobaczy kogoś, kim zawsze pragnęła być... Tak. - Przygryzła wargi. - Tak się stanie, wierz mi... Nieprędko, ale jednak...

Zapatrzyłem się na nią i teraz myślę, że mój wyraz twarzy nie należał do najinteligentniejszych. Chchchryste, pomyślałem tylko. Niemniej muszę przyznać, że słowa Alicji sprowadziły mnie na ziemię. Faktycznie, nie kochałem Darii, a nawet chyba (i w tym momencie uzmysłowiłem to sobie ze zdumieniem) niespecjalnie lubiłem. Owszem, było nam ze sobą świetnie, lecz łóżko to jeszcze nie wszystko. Trudno więc powiedzieć, żebym miał specjalne powody do rozpacz. Raczej powinienem się cieszyć, że przez kilkanaście dni sypiałem z naprawdę piękną i bezpruderyjną dziewczyną. A że cała sprawa się skończyła, to i cóż z tego? Alicja miała rację: nie ta, to będzie następna. Facet nie powinien się przywiązywać do jednej partnerki. Życie z jedną kobietą jest jak mieszkanie w tym samym miejscu. Owszem, jest spora różnica pomiędzy barakiem w slumsach, a luksusowym hotelem, ale jak długo można mieszkać w hotelu? I czy człowiek z apartamentów nie ma czasem ochoty na małą grzeszną wizytę na przedmieściach? Choć wizja tego faceta ze srebrnego audi zabawiającego się z Darią kłuła jak przedtem.

Alicja pozostawiła mnie własnym myślom i przerzucała strony „Playboya”, trzymając kubek w lewej dłoni. Uznałem, że nie będę jej strofował. W końcu w naszych kioskach z gazetami i sklepach można zobaczyć gorsze rzeczy, a „Playboy” przynajmniej trzymał poziom i pokazywał damską urodę w sposób estetyczny. Sam pamiętałem, jaki zachwyt budziły we mnie pozujące w tym magazynie dziewczyny, kiedy miałem dwanaście, czternaście lat. Zresztą Alicja była dziewczynką i za kilka lat wszystko to, co widziała na kartach czasopisma, będzie mogła obejrzeć w lustrze. Nie sądzę, by mój punkt widzenia wydał się do przyjęcia większości osób dorosłych i odpowiedzialnych, ale cóż, nie byłem chyba ani dorosły, ani odpowiedzialny.

Spojrzałem na zegarek. Krótka wskazówka sięgała już prawie jedynki.

- No, mała, zmykamy! - zdecydowałem, starając się wykrzesać energiczny ton.

I gdy tylko skończyłem zdanie, wiedziałem, że na pewno nie powinienem w taki sposób mówić do Alicji. Spojrzała na mnie naprawdę bardzo chłodnym wzrokiem i niedbałym ruchem poprawiła kitkę włosów.

- Gdzie chcesz zmykać, Aleks? - zapytała.

- Nie, gdzie ja chcę zmykać, ale gdzie ty chcesz zmykać - odparłem. - Do własnego domu i własnego łóżka.

Opuściła stopy na podłogę.

- Mówiłam ci, Aleks, że nikogo u mnie nie ma, więc mogę jeszcze posiedzieć. - Jej ton bardzo wyraźnie sugerował, że była obrażona.

- Alicjo. - Usiadłem obok niej. - Jest mi naprawdę miło, że wpadłaś. - Bo przynajmniej na trochę zająłem swoje myśli czymś innym niż Daria, dodałem w myślach. - Ale to naprawdę nieodpowiednia pora. Co się stanie, jeśli twoi rodzice zdecydują się jednak wrócić wcześniej?

Nie chciałem już wysuwać innych argumentów, mówiących o tym, że dziewczynka, która dopiero co weszła w nastoletni wiek, z całą pewnością nie powinna znajdować się w moim łóżku o godzinie pierwszej w nocy. Do Alicji i tak by to nie dotarło albo nie chciałyby takiego argumentu przyjąć do wiadomości. Cóż, była naprawdę upartą osobką. Poza tym dzisiaj ośmielałem się myśleć, że gdyby w moim mózgu gościły jakiegokolwiek brudne myśli, to Alicja byłaby je w stanie wytrzeć razem z samym mózgiem. Bogu dziękować, jestem uczciwym człowiekiem...

- Moi rodzice? - parsknęła. - O tej godzinie są na pewno za bardzo pijani, by myśleć o powrocie.

Chyba po raz pierwszy w jej głosie usłyszałem prawdziwie dorosłe zgorzknienie i pierwszy raz dowiedziałem się czegoś o jej domu oraz bliskich. Czyżby ta nad wiek rozwinięta i inteligentna dziewczynka pochodziła z patologicznej rodziny? Czy tylko wchodziła w wiek nastoletniego buntu, w którym wytacza się najcięższe działa przeciw rodzicom i obwinia ich o mniej lub bardziej urojone krzywdy?

- Nie wiedziałem - rzekłem nieco bezradnie.

- To już wiesz - odparła. - Zresztą to nie są moi prawdziwi rodzice. Kiedyś tam wzięli mnie z domu dziecka. - Patrzyła gdzieś przed siebie, w ścianę nad moją głową. - Nie pamiętam już tego, bo byłam mała. Ale wiem...

- Skąd?

- Skąd? - Znowu ta dorosła gorycz zabrzmiała w jej głosie. - Może stąd, że ojciec nazywa mnie małym bękartem?

Wyciągnąłem dłoń i dotknąłem końcami palców jej ramienia.

- Bardzo mi przykro, Alicjo - powiedziałem i naprawdę było mi bardzo przykro.

Nikt sobie nie zasłużył na taki los, a na pewno nie zasłużyła sobie ona. Miałem wobec niej dług wdzięczności i nie zamierzałem o tym zapominać.

- Czy myślisz, że mógłbym ci jakoś pomóc? - zapytałem.

- Żebym znowu trafiła do domu dziecka? - Wzruszyła ramionami i odwróciła się lekko, a światło lampki prześwietliło różem jej ucho.

- No tak. - Wziąłem ze stolika kubek z herbatą, żeby zająć czymś ręce. Był pusty, więc odstawiłem go z powrotem.

Potrząsnęła głową i wstała.

- Dobrze - westchnęła. - Odprowadź mnie, Aleks. Jeszcze tylko cztery lata.

Na początku nie rozumiałem, potem uzmysłowiłem sobie, że przecież za cztery lata, według prawa, stanie się dorosłą osobą i będzie mogła decydować sama o sobie. Jeśli to mogło być jakimkolwiek pocieszeniem.

Wyszliśmy, na szczęście nie spotykając nikogo na klatce schodowej ani na ulicy. Nie sądzę, by ktokolwiek z moich sąsiadów mógł zrozumieć, dlaczego Alicja wychodzi z mojego mieszkania w środku nocy. Już wyobrażałem sobie starą Wąsowa i jej wzrok pełen krowio spokojnej odrazy. A potem plotki, plotki i plotki. Ale wizyta Alicji i jej krótka przecież uwaga na temat rodziców i własnego życia pobudziły mnie do przemyśleń. Pozwoliły mi ulokować na właściwym miejscu coś, co do tej pory wydawało mi się straszliwą tragedią, czyli zdradę Darii. Mój Boże, czymże było świństwo wywinięte przez małą głupią kurewkę w porównaniu z tragedią dziewczynki, która żyła od lat z obcymi ludźmi, nieakceptowana i niekochana? I nawet, jeśli po części przejaskrawiała sytuację, jak zwykły czynić dzieci, liczyło się przecież jej subiektywne odczucie, a nie jakaś abstrakcyjna prawda obiektywna, na którą tak lubią powoływać się sądy. Zbyt często, przytłoczeni rzekomym ogromem tego, co uważamy za własne nieszczęście, nie zauważamy naprawdę złych rzeczy dziejących się tuż obok. Dziecko, które nie dostało ulubionej czekolady, nie myśli o tym, że jego brzuchaty rówieśnik w Etiopii oddałby wszystko za miskę zupy i kromkę chleba. Zakatarzony człowiek ze spuchniętym gardłem boleje nad stanem zdrowia i użala się nad sobą, nie myśląc o tym, iż powinien raczej dziękować Bogu, że nie wykryto u niego raka albo gruźlicy.

Egzystowałem w świecie, gdzie moje sprawy, moje żale i moja gorycz znajdowały się w epicentrum wszelkich myśli. A tak naprawdę byłem tylko chłopaczkiem, któremu niedobry tata Los nie chce kupić upatrzonego skutera. I być może - a nad tym problemem musiałem się poważnie zastanowić - nie chce mu kupić tego skutera, gdyż przewiduje, że na pierwszej z brzegu ulicy zabije siebie lub kogoś. Bo w końcu jaki los czekałby mnie, gdybym na stałe związał się z łózkową zabaweczką pokroju Darii?

\*\*\*

Jednym z plusów wizyty Alicji było to, że następnego dnia rano nie miałem kaca. Kiedy odprowadziłem ją do domu, ochota, by zahaczyć o sklep nocny, całkowicie zniknęła. Wystarczyło, że wyobraziłem sobie siebie pijanego i rozpaczającego w samotności, rozżalonego i rzygającego do kibla lub umywalki, aby zrobiło mi się niedobrze. Nie na myśl o alkoholu, lecz na myśl o przyznaniu się do porażki, jakim byłoby samotne, beznadziejne picie. Dlatego grzecznie wróciłem do mieszkania i położyłem się spać. Dziwne, lecz leżąc w łóżku w ciemnościach przy ściśle zasuniętych zasłonach, poczułem coś w rodzaju ulgi. Przecież tak naprawdę wcale nie chciałem być z dziewczyną taką jak Daria. Skoro nie miałem raczej ochoty z nią rozmawiać, nie powinienem również specjalnie żałować, iż nie będziemy się więcej spotykać. Jasne, seks jest przyjemny, więcej: jest fascynujący, ale w końcu jak długo można tylko się pieprzyć? Przypomniałem sobie, że w dawnych dobrych czasach roilo się w moim życiu od panienek na jedną noc, jeden tydzień lub jeden wyjazd. Kipiało od telefonów z prośbami o spotkania. Czy aż tak bardzo spsiałem, by dawne, lekkomyślne i swobodne życie wydawało mi się jedynie odległym wspomnieniem albo wręcz sądziłem, że należało do kogoś innego? Ha, powiedziałem sobie, potraktuj ją jako kolejną zdobycz, Aleksiku! Jeszcze jeden kominek, który przeczyściłeś swoim zajebistym pogrzebaczem! Roześmiałem się do własnych myśli i naprawdę zrobiło mi się lepiej. Chyba nawet zasnąłem uśmiechnięty. Alicja byłaby zapewne ze mnie zadowolona. Pamiętałem jednak, że w nocy znowu przypatrywał mi się kruk o czarnych skrzydłach.

„Wiesz - powiedziała potem Alicja. - Musiałam wtedy...”

„Dziękuję - odparłem. - Serio. Bardzo ci dziękuję”.

O dziesiątej rano obudził mnie dzwonek telefonu. Zwykle pamiętam, by wyłączyć aparat, bo jedną z rzeczy, których najbardziej nie znoszę w życiu, jest uporczywy brzęk wrywający mnie z najgłębszego i najsmaczniejszego snu. Godzina dziesiąta jest dobra na to, by człowiek leniwie przewracał się na drugi bok, być może kątem oka dostrzegając panującą na dworze jasność, i zasypiał z powrotem ze słodkim przekonaniem, że to inni muszą wstawać, a nie on. Na początku postanowiłem zignorować sygnał i zanurkowałem pod poduszkę, ale telefon nie dawał za wygraną. Po minucie ciszy znowu rozległ się obrzydliwie denerwujący świergoczący dźwięk.

- Raaany - jęknąłem do siebie z rozpaczą i pomacałem dłonią na nocnym stoliku. -  
Lepiej, żebyś miał ważny powód, przyjacielu - warknąłem do mikrofonu.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, później odezwał się głęboki, lekko schrypnięty i lekko rozbawiony męski głos, który wydał mi się dziwnie znajomy.

- Czy rozmawiam z panem Alekssem? - spytał.

- Oczywiście, że nie, kutasie - odparłem. - Tu prezydent Clinton. Pomożesz mi znaleźć cygaro?

- Bardzo zabawne - stwierdził tym razem już bez nuty wesołości. - Mówi... - I w tym momencie mnie też przestało być do śmiechu, bo połączyłem wymienione przez rozmówcę nazwisko z głosem.

I nazwisko, i głos należały do pewnego bardzo znanego aktora, który od niedawna parzył się również reżyserią, a także zaczynał karierę producenta. Umiejętnie budował *image* silnego faceta, nie stroniąc jednak od poważnych ról dramatycznych, gdzie wypadał równie znakomicie. Był idolem nastolatek oraz kobiet w średnim wieku. Matko jedyna, był moim idolem... Właściwie od samego początku wiedziałem, że to nie jest żaden dowcip. Po pierwsze, nie sądziłem, by znalazł się jeszcze ktoś, kto chciałby sobie ze mnie w ten sposób żartować, po drugie, głos znanego aktora był bardzo, ale to bardzo charakterystyczny i nie dalej jak wczoraj słyszałem go w jakimś powtarzanym w telewizji filmie.

- Słucham - powiedziałem, gdyż nic mądrzejszego nie wpadło mi do głowy.

- Przeczytałem twój scenariusz i chciałbym pogadać - rzekł. - Znajdziesz chwilę? Dziś po południu?

- Tak. - Serce utonęło mi w gardle. - Gdzie?

- U Fischera na placu Bankowym? - zaproponował. - O ósmej?

- Dobrze - odparłem. - Będę o ósmej.

Odłożyłem słuchawkę tak wolno, jakby była ze szczególnie cennej chińskiej porcelany. I potem wykonałem najgłupszy gest świata, czyli uszczypnąłem się w ramię, żeby sprawdzić, czy aby nie śnię. Nie śniłem. Siedziałem na rozbebeszonym łóżku w moim małym obskurnym mieszkanku i patrzyłem ogłupiałym wzrokiem we własne odbicie wylaniające się z upstrzonego przez muchy lustro.

- Chchchryste! - wykrzyczałem i zwałem się z powrotem w pościel.

Leżałem parę minut na wznak, wpatrując się w biały sufit, spod którego świeżej farby, niestety, zaczął już wyglądać rudawy naciek. Trzeba było odtłuścić mur przed malowaniem, pomyślałem bezsensownie. Zastanawiałem się, jak wytrzymam do ósmej wieczorem, do spotkania, które mogło przewrócić moje życie do góry nogami, ale mogło też okazać się tragicznym niewypałem. W każdym razie coś w moim życiu drgnęło. Rozpoczął się w nim ruch. Martwa rzeka pokryta zielonobrunatną zawiesiną zdecydowała, że zacznie płynąć dalej. Nie mogłem usiedzieć ani uleżeć w miejscu i wszystko leciało mi z rąk. Wylałem herbatę, stłukłem obrzydliwy kubek z napisem „Pamiętka z Krynicy” (właściwie dlaczego nie wyrzuciłem go wcześniej?), a sadzone jajko z patelni wywaliłem sobie na świeżo wyprane

skarpetki. Krótko mówiąc, zachowywałem się jak postać z komedii slap-stickowej i nie byłem w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o wieczornym spotkaniu. Wreszcie nie wytrzymałem i zadzwoniłem do Anny. Na szczęście znałem numer na jej komórkę, toteż nie musiałem przebijać się przez bardzo rzeczową i bardzo pilną czasami swą szefową asystentkę. Później dowiedziałem się, że Anna miała wtedy ważne spotkanie, ale wysłuchała mojej relacji uważnie, bez ponagleń, chociaż zdawałem sobie sprawę, że opowiadam chaotycznie i bezładnie. Mówiąc o tej zaskakującej rozmowie telefonicznej, starałem się przedstawić wszystko w sposób wyważony, wręcz bałem się nadziei i nie chciałem zapeszyć.

- Dobrze, Aleks - powiedziała opanowanym tonem. - Bardzo się cieszę. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Z tego, co słyszałam, on jest okay. Tak czy inaczej pamiętaj o jednym: nic nie podpisuj. Rozumiesz?

Szczerze mówiąc, moje myśli nie sięgały aż tak daleko. Nie wyobrażałem sobie spotkania ze znanym aktorem w ten sposób, lecz Anna zapewne znała życie lepiej niż ja i wiedziałem, że z całą pewnością dobrze zrobię, jeśli zastosuję się do jej rad.

- Zadzwon do mnie po wszystkim - nakazała. - Koniecznie, Aleks.

- Dziękuję ci, Aniu. - Po raz pierwszy w rozmowie z nią użyłem zdrobnienia i przyszło mi to w jakiś najzupełniej naturalny sposób. Można powiedzieć, że szybciej powiedziałem niż pomyślałem.

Nie potrafię sobie przypomnieć, co robiłem do godziny dziewiętnastej. Trochę czytałem, ułożyłem kilkanaście razy trudnego pasjansa w komputerze. Jak zwykle wychodził mi za każdym razem, bo stałem się już przez te dwa lata pisania i poprawiania scenariusza mistrzem w układaniu pasjansów. Obiad ledwie przeszedł mi przez gardło, chociaż zmusiłem się, by obrać ziemniaki, ugotować kalafior i sparzyć dwa dojrzałe pomidory. Nabrałem nawet takiej biegłości ruchów, że udało mi się nie poparzyć samego siebie.

W restauracji, w której umówiłem się ze znanym aktorem, byłem piętnaście minut wcześniej. Wiedziałem, że to niepoważne. Chińczycy, Japończycy i w ogóle większość ludzi Wschodu ma cały ceremoniał dotyczący biznesowych spotkań, wykonywanych przy nich gestów oraz kolejności podejmowania działań. Człowiek, który przychodzi przed czasem, automatycznie ustawia się w słabszej pozycji. Widać na pierwszy rzut oka, że właśnie jemu bardziej zależy na sfinalizowaniu transakcji i to on jest petentem. Ale nie byłem w stanie zajmować się takimi niuansami. Nie chciałem myśleć, co się stanie, jeśli znany aktor nie przyjdzie. Na przykład zapomni. Lub uzna, że ma ciekawsze plany na wieczór, a po co zawiadamiać o ich zmianie kogoś, kto jest w branży nikim? Zapaliłem papierosa, kelnerka o jasnych włosach i niewiarygodnie zgrabnych nogach przyniosła mi czarne jak smoła piwo z grubym kożuchem piany.



Staralem się nie patrzeć w stronę wejścia i popijałem piwo. Żałowałem, że nie mam przy sobie gazety, książki, czegokolwiek, co mogłoby zająć mi chociaż na chwilę umysł. Jednak nie mogłem się powstrzymać od nerwowego popatrywania na zegarek. Dziewiętnasta pięćdziesiąt, dziewiętnasta pięćdziesiąt dwie, dziewiętnasta pięćdziesiąt trzy. W pewnym momencie przyłożyłem zegarek do ucha i usłyszałem spokojne, monotonne tykanie. Zapaliłem następnego papierosa. Zaciągałem się głęboko, szybko i często, aż zakręciło mi się w głowie. Zauważyłem, że drżą mi palce, więc schowałem lewą dłoń pod stół. Wtedy się pojawił. Punktualnie o dwudziestą, bo usłyszałem, jak radio wybija godzinę. Moja przyjaciółka powiedziała kiedyś, iż prawdziwą gwiazdę poznać po szacunku dla maluczkich. No cóż, w takim razie mój gość był prawdziwą gwiazdą.

Znany aktor ubrany był w skórzaną czarną kurtkę, džinsy i czarne kowbojki ze srebrnymi klamerkami. Miał lekko niedogoloną twarz, ale co dziwne, wyglądał może nawet lepiej niż na ekranach kinowych i telewizyjnych. Kątem oka zauważyłem, że rozmowy przy sąsiednich stolikach umilkły, a kelnerka przyfrunęła w okolice naszego stolika i czekała, aż znany aktor usiądzie. Podał mi rękę, twardy, mocny uścisk, i mruknął swoje nazwisko. Śliczna blondynka pojawiła się przy nim, gdy tylko opadł na krzesło. Chciała mu dać menu, lecz podziękował uśmiechem, po którym jej twarz rozjaśniła się tak, jak gdyby dotknął jej anioł.

- Też guinnessa - zdecydował, patrząc na mój kufelek.

- Okay. - Spojrzał na mnie. - Przeczytałem twój scenariusz i spodobał mi się. Jest wolny?

- W zasadzie tak...

- W zasadzie? - spytał z rozdrażnieniem, którego nie starał się nawet ukryć.

- Jest wolny - doprecyzowałem. - Mógłbym się dowiedzieć, od kogo go pan dostał? Od agencji, czy od...

Popatrzył na mnie tak, jakbym miał zielone czułki na głowie.

- Co ty, kurwa, Aleks, w chuja mnie robisz?

Wzruszyłem ramionami, gdyż naprawdę nie wiedziałem, jak mam zareagować na takie słowa. Nie obraziłem się, bo nie jestem panienką z dobrego domu, ale nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Patrzył na mnie długą chwilę.

- Ty, kurwa, naprawdę nie wiesz - stwierdził w końcu i wyczytałem zdumienie w jego głosie. - Albo jesteś, chuju, lepszym aktorem ode mnie. - Zaśmiał się śmiechem, na którego dźwięk wszystkie laski w naszym kraju opuszczały majtki. - A to nie jest, kurwa, możliwe...

Podziękował kelnerce za piwo i upił łyk gęstej piany.

- No dobra, będziesz miał niespodziankę. - Na jego twarzy pojawił się nieoczekiwany szczerzy uśmiech, który odmłodził go co najmniej o dziesięć lat. - Wyobraź sobie, że wychodzę z wytwórni po całym pieprzonym dniu zdjęć i do samochodu pakuje mi się jakaś maślana...

- Jezu - powiedziałem wstrząśnięty.

- Jezus to nie był na pewno. - Przypalił sobie papierosa wyjętego z mojej paczki. - Nie chce mi się o tym gadać, w każdym razie mała powinna zostać adwokatem. - Znowu się uśmiechnął. - Wdusiła mi ten twój pieprzony scenariusz i powiedziała, że nie da mi spokoju, póki go nie przeczytam.

Nie wiedziałem, co zrobić z rękami, więc wziąłem w nie kufel. Poczułem chłód zimnego szkła na palcach i trochę oprzytomniałem.

- No to go w końcu przeczytałem. I nie żałuję, chociaż na początku cały czas się zastanawiałem, jak jej powiedzieć, że dała mi coś, co nadaje się jedynie na papier toaletowy. Ale twój scenariusz...

- Bardzo przepraszam, czy mogłabym dostać pana autograf? - Obok nas stanęła dziewczyna o posągowej urodzie i piersiach przypominających dwa okazałe melony.

- Rozmawiam teraz. - Nawet nie odwrócił wzroku i tylko strzepnął palcami, jakby chciał pozbyć się kurzu.

Posągowa piękność poczerwieniała i odpłynęła, kołysząc biodrami.

- Na czym ja, kurwa, stanąłem?

- Na papierze toaletowym - odpowiedziałem.

- No tak. Więc powiem ci, Aleks, że czytałem w życiu dużo gówna, a to nie jest gówno. Zrobimy z tego film. Ty i ja. Moja reżyseria, moja rola i mój współscenariusz. Pieniądze to nie problem. Znam ludzi, którzy tylko czekają na coś takiego jak ten projekt. - Podniósł na mnie przekrwione oczy. - Na pierdolony świeży wiatr.

- Nie - odparłem i zrobiło mi się przykro, że wszystko kończy się w taki sposób.

- Nie? - Spojrzał na mnie, jakby usłyszał to słowo po raz pierwszy w życiu. - Co to, kurwa, znaczy „nie”?

- To mój scenariusz. Tylko mój. I nie będę się z nikim nim dzielił. Chyba że dam ci autorstwo, a ty dasz bzyknąć własną żonę... - Zauważyłem, że znowu przyglądał mi się, jakbym miał zielone czułki na głowie. - Poza tym nie sądzę też, żebyś pasował do głównej roli - dodałem.

- Kto, kurwa, mówi o głównej roli? Pojebało cię, Aleks? Myślisz, że chcę zagrać dwudziestolatka? Myślałem o tym tam - pstryknął - no, kurwa, tym gościu z mafii... Bzyknąć moją żonę. Dobrze... - Zaśmiał się, a ja zauważyłem, że kolejna dziewczyna siedząca przy stoliku obok podrywa się z miejsca.

- Ach... - Ulżyło mi. - Oczywiście. Kiedy pisałem tę rolę, myślałem o panu i wyobrażałem sobie nawet, jak pan by ją zagrał...

Skrzywił się na te słowa, i zdałem sobie sprawę z faktu, że podobne teksty musiał słyszeć setki razy i musiały już go bardzo nudzić, więc dodałem:

- Ja nie kadzę. Mówię jak było. Serio.

Spojrzał na mnie uważnie i skinął głową, jakby przyjmując to do wiadomości. Zastukał palcami po blacie.

- Więc nie chcesz podzielić się scenariuszem, co? -zapytał. - Niech i tak będzie. - Znowu pokiwał głową, a ja dopiero długo, długo później zdałem sobie sprawę, jak bardzo poważnie traktował projekt, skoro po takim dictum nie zaśmiał mi się w twarz. - Oto moja propozycja: podpiszemy wstępną umowę mówiącą, że przez dwa lata twoja dupa należy do mnie. Jeśli przez te dwa lata nie kupimy scenariusza i nie zaczniemy kręcić, masz wolną ręką. To chyba uczciwe, co?

- Chyba tak - odpowiedziałem.

Wyjął z kieszeni na piersi zwinięty w rulonik kawałek papieru.

- Przeczytaj to sobie. Spytaj prawnika albo agenta, albo kogokolwiek, czy umowa jest okay. I potem zadzwoń.

Wyciągnął długopis i nabazgrał na odwrocie kartki numer telefonu komórkowego. Przesunął w moją stronę umowę i znowu łyknął piwa.

- Masz szczęście, że masz taką siostrzenicę - powiedział zamyślony. - Ta dziewczynka będzie kimś, jak dorośnie. Ciesz się, Aleks, że jesteś jej przyjacielem...

- Jak ona pana przekonała?

Wydawał się zastanawiać, jak mogło dojść do tego, że on - gwiazda największego formatu, człowiek, który musiał osiągnąć mistrzostwo w spławianiu ludzi, dał się złapać w sidła czternastoletniej dziewczynki.

- Po prostu wiedziałem, że się jej nie pozbędę - rzekł po chwili i w jego głosie zabrzmiała szczerłość. - Wiedziałem, że chodzi jej o prawdziwą odpowiedź. Jeśli powiedziałbym: dziecko, zabieraj to gównno, zabrałaby pod warunkiem, że miałyby pewność, iż to przeczytałem i naprawdę tak sędzę. Rozumiesz, co mówię?

Rozumiałem aż za dobrze, więc przytaknąłem.

- No właśnie - powiedział. - Ale to naprawdę znakomity kawał roboty. Masz cholerny talent, chłopie. A poza tym - dodał z wahaniem i umknął wzrokiem gdzieś na bok - wydaje mi się, że dobrze jest być jej... przyjacielem... albo przynajmniej... - urwał w pół zdania.

Podał mi rękę i wstał, nie dopijając piwa. Zatrzymał się jeszcze na moment.

- Jeśli dojdzie co do czego, wstawimy do filmu tę twoją małą. Zawsze się znajdzie jakiś epizod.

Znowu aż do samych drzwi odprowadziły go spojrzenia gości. Niektórzy gapili się, nie starając się tego nawet ukryć, inni popatrywali po kryjomu, udając, że obecność gwiazdora nic ich nie obchodzi. Opróżniłem kufelek jednym haustem i oparłem się wygodnie na krześle. Położyłem dłoń na odwróconej umowie, gdzie na białym papierze widniał tylko nabazgrany numer telefonu znanego aktora. To był mój klucz do przyszłości, a ja zamierzałem otworzyć nim drzwi na oścież. Chociaż być może powinienem powiedzieć, że postanowiłem przejść przez drzwi, które otworzyła mi Alicja.

Do domu wracałem w stanie podekscytowania i oszołomienia. Jednak nie zajrzałem do umowy. Zwinąłem papier w rulon i schowałem do kieszeni marynarki. Miałem zamiar usiąść spokojnie w domu, zrobić sobie herbatę, zapalić papierosa i wtedy dopiero przyjrzeć się zawartym propozycjom. Owszem, ważne były pieniądze i liczyłem, że znany aktor nie fatygowałby się osobiście, gdyby chodziło o śmieszny kontrakt i śmieszne sumy. Ale najistotniejszy był fakt, że dostałem realną szansę zaistnienia. Doskonale wiedziałem, iż w tym świecie wszystko działa na zasadzie domina. Jeśli runie jeden klocek, to prędzej czy później runą inne. Możliwości zarobku dla scenarzystów były wręcz nieograniczone. Filmy fabularne, seriale i reklamy, to jedno. Festiwale filmowe, konkursy i sprzedaż projektów za granicę, to drugie. Udział w wielu przedsięwzięciach, które nigdy nie są realizowane, ale przynoszą konkretny i wymierny dochód, to trzecie. Tyle, że trzeba było raz a dobrze znaleźć się w tym środowisku. Kontakt ze znanym gwiazdorem, którego opieka reżyserska i producencka nad filmem gwarantowały rewelacyjną obsadę, był dla mnie niczym złowienie złotej rybki. Rzecz jasna, nie mogłem się spodziewać, iż kiedykolwiek będę równie znany albo choć porównywalnie znany, jak on sam. Scenarzyści zawsze pozostawali, pozostają i będą pozostawać w cieniu. W końcu nawet laureatów Oscara nie pozna nikt na ulicy poza fachowcami. Oczywiście nie zapomniałem, bo zapomnieć ani nie mogłem, ani nie chciałem, o roli Alicji. Ta dziewczynka, prawie jeszcze dziecko, dokonała czegoś, czego ja nie mogłem dokonać przez dwa lata uporczywych starań. Nigdy nie dowiedziałem się, w jaki sposób przekonała znanego aktora, żeby przyjął scenariusz i co lepsze: przeczytał go. Kiedyś tylko powiedziała mi: „Oj, Aleks, to była na początku bardzo nieprzyjemna rozmowa”.

Zważywszy na słownictwo, jakiego używał gwiazdor, oraz na niewiarygodny upór Alicji, mogłem się tego spodziewać.

Wysiadłem z autobusu przystanek wcześniej, gdyż chciałem odetchnąć świeżym powietrzem (jeśli w ogóle można było mówić o świeżym powietrzu w tym mieście, gdzie mało kto przejmował się smogiem) i przespacerować. Wchodząc na moje podwórko studnię

zobaczyłem Alicję siedzącą na murku. W nikłym świetle oddalanej latarni czytała jakąś książkę. Usłyszała moje kroki i odwróciła głowę. Wstała, pomachała mi ręką, a ja przyspieszyłem kroku, podszedłem do niej i, nie przejmując się tym, co mogliby pomyśleć sąsiedzi, wziąłem ją w objęcia. Na początku zeszywniała, potem oddała uścisk.

- Co ci się stało, Aleks? - zapytała naprawdę zdumiona.

- Rozmawiałem z kimś, komu wlepiłaś mój scenariusz - powiedziałem, trzymając ją za ramiona. - Cokolwiek z tego wyjdzie albo i nie wyjdzie, jestem twoim cholernym dłużnikiem.

Pachniała owocową gumą do żucia i mydłem. Uśmiechnęła się radośnie.

- A więc zadzwonił. - Usłyszałem w głosie Alicji satysfakcję. - A już myślałam, że będę musiała znowu dać mu wycisk. Powiedz, Aleks, powiedz, jak mu się podobało? - W jej oczach widziałem takie podekscytowanie, jakiego nie zaobserwowałem nigdy wcześniej.

- Chodź - odparłem. - Opowiem ci wszystko w domu.

- Dobra, ale powiedz: podobało się?

- Tak. - Ująłem jej dłoń. - Bardzo mu się podobało i powiedział, że jak wszystko pójdzie dobrze, będziemy kręcić film.

- Raa-any! - Znowu usłyszałem autentyczną radość. - Wiedziałaś, Aleks, ja to po prostu wiedziałam.

Kiedy byliśmy już w mieszkaniu, zrzuciła adidasy (jak zwykle sznurowadła butów były tak niewiarygodnie splątane, że aż gubił się w nich wzrok) i usiadła po turecku na łóżku. Nie mogłem się już powstrzymać i wyciągnąłem umowę. Mój wzrok pobiegł do oferowanej sumy i usiadłem z wrażenia na krześle. OK, będę szczery. To nie była suma, która olśniłaby dobrze prosperującego pisarza, scenarzystę lub dziennikarza. Ale na pewno mogła olśnić człowieka, który serdecznie bolał nad tym, że dzisiaj wieczorem musiał w drogiej restauracji zapłacić rachunek za dwa piwa. Poza tym wiedziałem, że to jedynie początek. Leżała przede mną wstępna umowa, a będą przecież następne. Następne umowy i następne honoraria.

- Alicjo - tknęła mnie nagle pewna myśl - skąd miałaś tekst?

- Przegrałam na dyskiecie i wydrukowałam go sobie w szkole.

- Ale kiedy, na Boga?

- Jak mnie zostawiłeś kiedyś samą - odparła, machając dłonią. - Nie pamiętasz? Poszedłeś wtedy po papierosy czy coś tam.

- No to jeszcze jedno pytanie: którą wersję mu dałaś? Spojrzała na mnie, jakby nie rozumiejąc, o czym mówię, i nagle klepnęła się w czoło.

- Ach, o to chodzi. Tę z katalogu scenariol.

- Jasny gwint - mruknąłem.

W katalogu scenariol znajdowała się pierwsza wersja scenariusza. Ta niepoddawana jeszcze licznym przeróbkom i zmianom wyskakującym w zależności od tego, kto jakich dodatków i jakich kastracji sobie życzył. A więc spędziłem dwa lata na poprawianiu czegoś, co już pierwotnie było na tyle dobre, by zainteresować wybitnego aktora i reżysera! Z jednej strony pochlebiało mi to, gdyż potwierdzało, że od początku miałem rację, lecz z drugiej mogłem tylko ubolewać, że przez dwa lata przelewałem z pustego w próżne.

- Alicjo - powiedziałem - ja nawet nie wiem, jak ci mam dziękować...

- Daruj sobie, Aleks - przerwała chłodno - i zrób herbatę. Będziesz mi dziękować, kiedy będzie po wszystkim. - Wzruszyła niedbale ramionami.

- Wiesz, że powiedział, iż znajdzie dla ciebie jakiś epizod? Że będzie chciał, abyś zagrała w moim filmie? No, w jego filmie...

- Aleks, a czyja chcę grać w filmie? - spytała protekcjonalnym tonem i pokiwała głową.

- Dlaczego wszystkim się wydaje, że dziewczynki chcą być aktorkami albo modelkami?

- A kim chcesz być?

- Dostanę wreszcie herbatę? Czekałam tu przeszło godzinę!

Nie odpowiedziała na pytanie, chyba dlatego, że nie chciała mnie okłamywać. A szczerą odpowiedź mogłaby mi się wydać jeszcze wtedy, tamtego wieczoru, zbyt porażająca. W każdym razie doskonale wiedziała, co chce robić w życiu, a i ja miałem się wkrótce o tym dowiedzieć.

„Naprawdę nie wiedziałeś, kim pragnę być?” - roześmiała się, kiedy opowiadałem jej o tamtej rozmowie.

„Naprawdę, naprawdę” - przyznałem z ręką na sercu.

„Och, to słodkie...” - odparła.

\* \* \*

Jej trzy dzwonki nie tyle mnie obudziły, co przywróciły do rzeczywistości. Do tej pory siedziałem na łóżku pogrążony w rozmyślaniach o przeszłości. W rozmyślaniach o tym, co jest dobre, a co złe, o tym, co sobie jedynie wyobrażamy, a co zdarzyło się naprawdę. W tym momencie nie wiedziałem nic. Otworzyłem drzwi. Alicja spojrzała na mnie uważnie.

- Co się stało, Aleks?

- Więc od razu widać, że coś się stało - westchnąłem i wpuściłem ją za próg.

- Ale wyglądasz - parsknęła. - Pies ci zdechl?

- Nie, tylko ojciec - powiedziałem. - Choć, znając go, pewnie nie ucieszyłby się ze słowa „zdechl”.

- Przepraszam, Aleks. Przepraszam, przepraszam, przepraszam...

- Spoko. - Uniosłem rękę. - Dla mnie nie żył już od siedmiu lat.

Usiadła na łóżku.

- Dlaczego?

- Dlaczego umarł? Bo był, kurwa, stary. A starzy ludzie umierają... - Dopiero *post factum* zorientowałem się, że użyłem wulgaryzmu, którego nigdy nie powinienem użyć w obecności Alicji.

- Dlaczego nie żył dla ciebie? - sprecyzowała.

- Mógłbym ci powiedzieć, że byliśmy jak ogień i woda, że... - Machnąłem ręką. - Nieważne. Niech spoczywa w pokoju. Jeśli ktokolwiek myśli, że pójdę na jego pogrzeb...

- Masz tam iść! - przerwała mi ostro.

- Yhm - odparłem. - Lecę, pędzę...

- Masz tam iść - powtórzyła. - Dlatego, że był twoim ojcem.

- To wszystko nas przerosło - odparłem smutnym tonem, ponieważ naprawdę było mi bardzo, ale to bardzo smutno. - Mnie mogło przerosnąć, bo byłem dzieckiem, jednak jego nie powinno...

- Co takiego ci zrobił?

- Nic. - Wzruszyłem ramionami. - Nic, poza czterdziestoma uderzeniami w twarz za czterdzieści uwag w dzienniczku; nic, poza biciem kablem od żelazka albo sprzączką pasa. Nic, poza nazywaniem mnie ciągle zwyrodnialcem i nieudacznikiem oraz powtarzaniem, że wdałem się w rodzinę swojej matki.

- Było aż tak źle? - spytała cichutko.

- Było gorzej. - Czulem, jak w moich oczach pojawiają się łzy.

Nie żałowałem siebie. Żałowałem tego małego jedenastoletniego chłopca, nad którym się znęcano. Którego bito i upokarzano. W ramach niedzielnego odpoczynku kazano mu zmywać podłogi w całym domu, a potem ojciec sprawdzał wszystko z białą szmatką w dłoniach. Im więcej pojawiało się na tej szmatce szarości, tym więcej było potem bicia. Wszystko, co złe, skończyło się jednego dnia. Miałem wtedy czternaście lat i ojciec bił mnie kijem. Od dwóch lat trenowałem karate, więc potrafiłem umiejętnie się zasłaniać, tak żeby ciosy lądowały w bezpiecznych miejscach. W pewnym momencie kij pękł na moim przedramieniu i ojciec zadał nim uderzenie jak dzidą. Ostrą drewnianą drzazgą przebił mi dłoń. Nie pamiętam, czy bolało. Nie pamiętam, czy krwawiłem. Pamiętałem jedno. Wszegogarniającą, szkarłatną wściekłość. Runąłem na ojca i, trzymając go za gardło, chwyciłem ozdobny nóż z rękojeścią z kości słoniowej, który leżał obok na półce. Przyłożyłem mu ostrze do gardła... To dziwne, ale do tej pory ojciec zawsze wydawał mi się wysokim,

barczystym facetem o zaciętej szczęce i oczach skutych z granitu. Jednak w tym momencie zobaczyłem, że nie tylko jest niższy ode mnie i szczuplejszy, ale też, że jego oczy są rozmazane strachem. Zobaczyłem go takim, jakim był naprawdę. Małym, zakompleksionym faceciem, który śmiertelnie bał się fizycznej rywalizacji. A teraz śmiertelnie bał się własnego syna. Byłem tak rozczarowany, że aż było mi przykro... „Jeśli kiedykolwiek jeszcze mnie uderzysz, to cię zarżnę, skurwysynie” - obiecałem, płacząc.

Czemu płakałem? Być może dlatego, że w tym momencie rozstawałem się z idealną wizją ojcostwa. Ojcostwa jako wzoru do naśladowania. Ten oniemiały z przerażenia facet, który drżał, czując na gardle ostrze noża, nie był moim ojcem. Był tylko ludzką szmatą. Puściłem go. Nigdy więcej nie próbował podnieść na mnie ręki. Czy byłem z tego powodu zadowolony? Nie, raczej przygnębiony, bo wiedziałem, że jego wstrzemięźliwość nie wynika z zasad, a z ziarenek śmiertelnego strachu, które w nim zasiałem. Czy zabiłbym go, gdyby znowu próbował mnie bić? Nie, oczywiście, że nie. Nie wiem nawet, czy chciałbym go uderzyć. Tego dnia poznałem swoją siłę i to mi zupełnie wystarczyło. Od tej pory nie ja miałem się bać, lecz on. Nigdy tego nie wykorzystałem. Może po prostu byłem lepszym człowiekiem...

- Myślisz, że nie wolno bić dzieci? - Alicja spojrzała na mnie uważnie.

- Bić? - zapytałem. - Co oznacza bicie? Jeśli moje dziecko chciałoby zwalić na siebie garnek z wrzątkiem, wierz mi, nie siliłbym się na tłumaczenia. Stłukłbym mu tak dupę, by wiedzieć, że nigdy nie zrobi już nic podobnego. Bo wołałbym, żeby miało siniaki od klapsów niż poparzenia trzeciego stopnia.

- Czyli wolno bić dzieci?

- Nie - odparłem mocno. - Nie wolno. Ale są wyjątki. Nieliczne. A widzisz, mojemu ojcu podobało się, że mnie bije.

- Podobało?

- Czasami nie. Czasami to była tylko czysta wściekłość. Wtedy zaczynała mu drgać szczęka, a oczy stawały się ciemne i puste. Lecz zdarzało się, że umiał się opanować. Wtedy starannie przygotowywał pas albo na moich oczach odłączał kabel od żelazka.

Przeciagnałem dłonią po twarzy i starłem wilgoć z oczu i policzków. Przez chwilę byłem znowu tym małym, bezbronnym Aleksem, który mógł jedynie płakać i wyciągać dłonie, by powstrzymać uderzenia. To nigdy nie pomagało. Potem miałem na przedramionach takie siniaki, że nawet nauczyciel na wuefie pytał, co to jest. Mówiłem, że mam ostrego psa i bawię się z nim, a to ślady po ugryzieniach. Dzieci zawsze się wstydzą. Bicia czy molestowania. Zawsze winią siebie. To one są brudne, złe i niedobre. Nigdy o tym nie opowiedziałem matce. Zresztą w niczym by to nie pomogło, bo od czasu rozvodu z ojcem byłem dla niej tylko krępującym balastem. I wiecie co? Mały Aleks zapomniał o wszystkim. A może nie tyle



zapomniał, ile sprowadził wszystko do żartu. Ot, dostało się w tyłek, ot, życie toczy się dalej... Prawdziwy Aleks przypomniał sobie o wszystkim dopiero po trzydziestce. W nocnym klubie gadałem z dziewczyną przyjaciela. Nie wiem czemu, zeszło na sprawy rodzinne i pierwszy raz (komukolwiek!) opowiedziałem o swoim dzieciństwie właśnie tej obcej dziewczynie. Popłakała się. Twarda, bezwzględna dziwka łkała, słuchając o tym, co mi się przydarzyło. Pamiętam ją tak, jakbym miał jej portret wyrysowany przed oczami. Długie, kręcone włosy, ładna buzia, zgrabne ciało. Drobne piersi z ciemnymi sutkami. Jedna z najważniejszych kobiet w moim życiu. Będę ją pamiętał do końca życia... „Chciałbym się cofnąć w czasie - powiedziałem jej. - I jak się zabierał za bicie dziesięciolatka kablem, to wtedy wszedłbym do akcji”. „I co byś zrobił?”

„Zatłukłbym go - odparłem natychmiast, lecz potem się zreflektowałem. - No tak, i stałbym się taki sam jak on...”

Więc czy w życiu istnieje tylko taki wybór? Pomiędzy oprawcą a ofiarą? Nie wiem. Nie jestem filozofem i nie roszczę sobie pretensji, by nim być. Jestem prostym, zwyczajnym facetem, który naiwnie myśli, że czarne jest czarne, białe jest białe, za dobro należy odpłacać dobrem, a za zło złem. Jestem beznadziejny. Wiem.

- Nie lubisz ludzi, którzy znęcają się nad słabszymi od siebie? - zapytała Alicja.

Nie lubisz... Nie wiem, czy to było dobre sformułowanie. Tak jakby powiedzieć, że więźniowie obozów koncentracyjnych nie przepadali za komorami gazowymi. Ze swojego dzieciństwa wyniosłem jedno: nienawidzę upokarzania słabszych. Ręka, pasek, sznur, skakanka, kij - moje plecy, tyłek i twarz doskonale znały smak każdego z nich

- Okaż szacunek - powiedziała Alicja. - Jesteś kim jesteś dzięki niemu. Okaż szacunek, Aleks.

- Nie - odparłem.

- Właśnie, że tak. - Zacisnęła usta.

- Właśnie, że co? - warknąłem wściekły.

- On już nie żyje. - Jej ton nagle złagodniał. - Zrób to dla mnie i idź na jego pogrzeb. Proszę cię, Aleks. Bardzo cię proszę...

- Co cię to wszystko, do cholery, obchodzi? - Wiedziałem, że mój głos brzmi tak, że Alicji się to naprawdę nie spodoba.

Myślałem, że zawinie się na pięcie i wyjdzie, lecz ona podeszła do mnie i położyła dłoń na policzku.

- Boleję razem z tobą, Aleks - szepnęła, a ja zastanawiałem się, w jakiej telenoweli usłyszała ten zestaw słów.

Nie, żebym nie wierzył w szczerą jej intencję, gdyż w tonie Alicji wyczuwałem prawdziwe współczucie.

- Nawet mnie nie zaprosili - powiedziałem w końcu. - Po prostu przeczytałem o tym w gazecie. Nikt mnie tam nie potrzebuje...

Mój ojciec był znanym astronomem. Jeśli wyobrażacie sobie astronomów jako natchnionych, romantycznych ludzi wpatrzonych w gwiazdne szlaki, to głęboko się mylicie. Ojciec od szeregu lat był szefem wielkiej placówki badawczej i zazdrośnie strzegł swej pozycji i władzy. Komunie nie mógł darować, że go nie internowała, i w ramach protestu wyjechał na Zachód w trzy miesiące po ogłoszeniu stanu wojennego. Wiecie, kogo wypuszczano w tamtych czasach? Agentów lub pożytecznych głupców. Mam nadzieję i wierzę, że mój ojciec nie był agentem. Na pewno był pożytecznym głupcem. W 1986 roku aresztowano mnie. Zamknięto w jednej celi ze złodziejem recydywistą i sprawcami rozboju, którzy omal nie zatłukli człowieka kawałkiem cegły. Na szczęście byli tak pijani, że nie udało im się go w ogóle trafić. Jedynym ich problemem było to, czy zostaną skazani za rozbój, czy za rozbój z użyciem niebezpiecznego narzędzia. A ta, niby drobna, różnica oznaczała kilka lat odsiadki w tę lub we w tę. Na procesie prokurator zażądał dla mnie dwóch lat więzienia. Adwokat, młody przyzwoity człowiek, pytał: „Dlaczego pana ojciec nie przyjechał?”. Co mu miałem odpowiedzieć? Że mojemu przyjacielowi, który powiadomił go o procesie, powiedział, że nie ma czasu? Że uznał to za kolejny wygłup swojego niewydarzonego syna? Na sali sądowej zrobiłem furorę. Adwokat gratulował mi wystąpienia, po którym dostałem tylko dwa lata ograniczenia wolności, co tak naprawdę nic nie oznaczało. Zapłaciłem za to cenę przyznania się do niepopelnionych win. A może raczej tak zręcznego lawirowania, że kto chciał, mógł uznać to za przyznanie się do winy, a kto chciał, mógł uznać, że wszystkiemu zaprzeczam. Cóż, powiedziałem przecież wcześniej, że na sali sądowej zrobiłem furorę. Po wszystkim gratulował mi nawet prokurator. A dlaczego się przyznałem i nie przyznałem, pozwalając sądowi na szybkie wydanie wyroku? Z bardzo prostego powodu. Od adwokata dowiedziałem się, że sędzia ma po południu randkę. To była młoda, śliczna kobieta. Jeśli sprawa by się przeciągnęła, jeśli trzeba byłoby konfrontować zeznania i wzywać świadków, dostałbym dwa lata pierdła w zamian za zawiedzione romantyczne nadzieje.

Kiedys chciałem się z nią spotkać. Spytać, czy pamięta. Czy w tych złych czasach taką właśnie należało zapłacić cenę? Pewnie zresztą była dobrą dziewczynką. Mogła mnie wsadzić do pierdła, a skazała za ledwie na fikcyjną karę. Ale jednak uznała winnym, wiedząc przecież, że proces od początku do końca jest sfingowany, a wszystkie zarzuty bezpodstawne...

- Nie szkodzi, że cię nie zaprosili - Alicja wyrwała mnie z zamyślenia. - Przecież to nie jest prywatka. Po prostu tam idź.

Nie ona mnie przekonała. Przekonały mnie własne myśli. Pójdę na twój pogrzeb, stary człowieku. I nawet nie napluję ani nie naszczam na twój grób, ponieważ taki gest byłby spektakularnie nieautentyczny. Mam tylko nadzieję, że gdziekolwiek trafisz, nie będzie to miejsce, w które trafię ja.

Alicja powiedziała, żebym okazał szacunek i poszedł na pogrzeb. Nie musiało to jednak oznaczać, iż będę stał w pierwszym szeregu żałobników, odbierał kondolencje i ocierał łzy zbierające się w kąciakach oczu. Przyszedłem punktualnie, ale stanąłem za drzewem, kilkadziesiąt metrów od tłumy, który zgromadził się na ceremonii. Tchórzostwo? Może i tak. Lecz dawno temu powiedziałem sobie: „Aleks, jeśli są rzeczy, których nie chcesz robić, to po prostu ich nie rób. Nie przekonuj się i nie zmuszaj, nie żyj dla innych, żyj dla siebie”. Oczywiście, że nie zawsze się to udawało, choć przynajmniej można się było starać. Wszyscy wokół, rodzina i znajomi, będą przekonani, że na pogrzebie zabrakło syna. To będzie ich prawda. Moja prawda będzie taka, że pojawiłem się tam i słuchałem wszystkich pożegnalnych mów, a potem widziałem, jak grabarze opuszczają trumnę i jak do cmentarnego dołu sypią się najpierw kwiaty, a potem ziemia. I w pewnym momencie zrobiło mi się cholernie smutno. Bo tak naprawdę mój ojciec nie był do końca złym człowiekiem. Po prostu czasami życie tak się układa, że jeden dobry człowiek musi zabić drugiego dobrego człowieka. On zabił mnie, czyli moje nadzieje i pragnienia, zapewne również ja zabiłem jego, gdyż nigdy nie okazałem się takim synem, jakiego chciał mieć. Nie miałem wyrzutów, że nie pogadaliśmy szczerze o wszystkim, co nas dzieli i boli. Ojciec był zakłamanym facetem żyjącym we własnym świecie - świecie, w którym on jest ten dobry, a reszta to tylko godne pogardy skurwysyny. Na bazie takiego myślenia ciężko o dialog. Jego życiowym mottem powinna być sentencja: „Jeśli fakty nie pasują do teorii, wypierdolmy fakty, wtedy teoria obroni się sama”.

Kiedy wszyscy żałobnicy już odeszli, zbliżyłem się do grobu. Na kamiennej płycie położyłem bukiet białych kwiatów.

- Odpoczywaj w pokoju - powiedziałem.

Nie wybaczyłem ojcu i nie rozgrzeszyłem go. Ale byłem wolny. Czułem się jak podróżnik, który wie, że wyjął cierń tkwiący w stopie. Rana nie zniknie, lecz cierń nie będzie już przeszkadzał w dalszej wędrówce.

\* \* \*

Stosik banknotów leżał na stoliku w moim pokoju. Na jego trwale poplamionym i porysowanym blacie, obok kubka z herbatą i popielniczki wypełnionej niedopałkami. Prezentował się tu zupełnie abstrakcyjnie. Kupka pomarańczowo-szarych banknotów z

wizerunkiem Zygmunta I Starego, nieszczęśliwego i uległego męża twardej jak damasceńska stal królowej Bony. Ten stosik nie był bardzo wysoki. Choć wystarczająco wysoki dla mnie. Szeleszczące, sztywne banknoty, jakby nakrochmalone i wyprasowane. Przyłożyłem jeden z nich do nozdrzy. Nic. Tylko zapach papieru i farby. A przecież jaka potęga kryła się w tych prostokątach pokolorowanego papieru. To właśnie dla nich ludzie oddawali swoje ciała, dusze i umysły innym ludziom, sprawom lub ideom.

Agencja reprezentująca interesy znanego aktora załatwiła wszystko szybko i sprawnie. Na moje konto spłynęło honorarium dwa razy wyższe niż zaproponowane na początku. To, bym negocjował jego wysokość, było pomysłem Anny. W zasadzie wydawało się jej oczywiste, że to jedynie wstępna propozycja, której nie należy przyjmować bez dyskusji. I, jak widać, dyskusja wydała obfite plony. Pierwszą moją myślą, kiedy odebrałem z banku honorarium (odebrałem, gdyż chciałem fizycznie poczuć pieniądze, a nie tylko mieć wirtualne przeświadczenie, że gdzieś istnieją) było: co mam kupić Alicji? W jaki sposób wynagrodzić dziewczynce, która okazała się moim dobrym duchem, wszystko, co zrobiła? Moje myśli skakały od jednej nieprawdopodobnej rzeczy do drugiej. Ogromnego pluszaka? Jeeezu, chyba by mnie zabiła! Cyfrowy aparat? Nigdy nie widziałem ani nie słyszałem, by przejawiała zamiłowanie do fotografii. Najbardziej wykręczonego discmana z kompletem płyt albo odtwarzacz empetrójek? Cóż, widziałem ją czasami z nałożonymi na uszy słuchawkami, ale jakoś czułem przez skórę, że to jeszcze nie byłoby to. Komplet najlepszych perfum i kosmetyków? Nie wiem, czy czternastoletnim dziewczynkom tak bardzo zależy na używaniu Chanel no 5. W końcu poszedłem do ogromnego sklepu jubilerskiego i wybrałem kolczyki z maleńkimi brylantami. Kolczyki były w kształcie złotych łez, a brylanty jaśniały pośrodku każdej łzy. Sprzedawczyni zapakowała je do pudełeczka z aksamitną wyściółką i uśmiechnęła się do mnie.

- Pana dziewczynie na pewno się spodoba - powiedziała z przekonaniem i ledwie uchwytną nutką zazdrości.

- To dla córki - odparłem szybciej nim zdążyłem pomyśleć.

- O rany - westchnęła. - Dlaczego ja się nie dorobiłam takiego tatusia?

Spojrzałem na nią. Miała brązowe oczy wycięte na kształt migdałów, ciemną karnację i czarne połyskujące włosy spięte w zgrabny kok. Wiedziałem, że mógłbym się z nią umówić, a uśmiech był zachętą. Mimo to powiedziałem tylko krótko: „dziękuję”, włożyłem pudełeczko do kieszeni marynarki i odszedłem. Nie miałem ochoty na takie znajomości. Przynajmniej na razie. Chyba musiałem odetchnąć po intensywnym i nieszczęśliwie (a może raczej szczęśliwie, choć gwałtownie?) zakończonym romansie z Darią. Zresztą w tym momencie zastanawiałem się jedynie, czy Alicji spodoba się prezent. Jak zareaguje? Czy złote kolczyki z brylantami są

czymś, co doceni czternastolatka? Może należało poczekać z kupowaniem biżuterii przynajmniej aż będzie miała szesnaście lub siedemnaście lat? Nie miałem nigdy kontaktu z dziećmi, ale z prasy wiedziałem, że w dzisiejszych czasach szybko dorastają. Dziesięciolatki chodzą z wypasionymi komórkami w dłoniach, dwunastolatki jeżdżą na motorynkach, dziewczynki ze szkoły podstawowej malują usta, oczy i paznokcie, odwiedzają solarium i ćwiczą fitness. Każdy chce być piękny. Każdy chce pasować do świata stworzonego przez kolorowe pisma oraz reklamy. W gruncie rzeczy nie miałem nic przeciwko temu. Istnieje bardzo mądre powiedzenie, mówiące że „możliwość nie oznacza konieczności”. Co oznacza między innymi, iż człowiek kulturalny nie rzuca się w restauracji na wszystkie talerze, pochłaniając dania każdego z obecnych gości. W życiu należało zachować podobnie zdrowy rozsądek. Kto tego nie umiał - Bóg z nim, jednak winienie reklam było tak samo rozsądne jak winienie siekiery za to, że obcięła komuś palce.

Siedziałem przy stole w moim pokoju i czekałem na Alicję. Przedemną leżał stos pieniędzy i pudełeczko wyściełane aksamitem. Czekałem i byłem zdenerwowany. Wreszcie zabrzmiały trzy szybkie dzwonki i kiedy otworzyłem drzwi, Alicja wpadła do środka jak burza.

- Cześć, Aleks. - Uniosła się na palce i cmoknęła mnie w policzek, pocałunkiem szybkim i delikatnym jak wiatr.

Tym razem pachniała sosnowym płynem do zmiękczenia tkanin.

- Cześć - odparłem i potarłem opuszką palca miejsce, gdzie dotknęła mnie ustami.

To było niespodziewane, choć też naprawdę miłe.

- O jejku. - Stała pośrodku pokoju i zapatrzyła się w równo ułożone dwustuzłotówki.

- Obrabowałeś bank, Aleks?

Była ubrana w dzinsy i bawełnianą koszulkę ze zdjęciem kogoś, kogo na pewno nie znałem i nie chciałbym poznać, a kto miał długie skudłone włosy i mnóstwo kolczyków. Włosy spięła w koński ogon. Przyjrzałem się jej uszom, zastanawiając się, jak będą wyglądały przypięte do nich złote łyzy. Przez moment aż zamarło mi serce, kiedy pomyślałem, że może nie mieć przekłutych uszu (dlaczego wcześniej nie zwróciłem na to uwagi?!), potem jednak z ulgą zauważyłem maleńkie sztuczne perełki w jej małżowinie.

- Prawie że - powiedziałem. - Honorarium za scenariusz. Pierwsze honorarium - dodałem.

Usiadła na krześle i przesypała między palcami banknoty, jakby to była talia kart. Przysunąłem sobie drugie krzesło i usiadłem naprzeciwko Alicji.

- Teraz już chyba mogę ci podziękować - rzekłem poważnie i podniosłem dłoń, bo zachnęła się i chciała coś powiedzieć.

- Alicjo - ciągnąłem - to, co zrobiłaś, było po prostu niesamowite. - Usiadła do mnie bokiem i patrzyła w okno. Była wyraźnie zakłopotana. - Ja nawet nie wiem, jak mam wyrazić swoją wdzięczność. Więc - niezgrabnie sięgnąłem po pudełeczko - przyjmij chociaż to ode mnie. Drobiazg. Na pamiątkę.

Odwróciła się w moją stronę i spojrzała poważnie. Tym razem jej oczy wydawały mi się nie niebieskie, a zielone.

- Co to jest? - spytała, lecz nie wyciągnęła ręki.

- Zobacz, proszę.

Powoli sięgnęła i zważyła na dłoni pudełeczko.

- Rozpakuj - poprosiłem.

Ostrożnie zdjęła papierek, złożyła go na cztery części i odłożyła pod popielniczkę. Potem otworzyła pudełko i długo wpatrywała się w dwie błyszczące złotem łyżki.

- Jeśli ci się nie podoba... - zacząłem nerwowo, gdy cisza się przedłużała.

- Aleks - powiedziała, podnosząc wzrok. Miała oczy pełne łez. - To jest najpiękniejsza rzecz, jaką dostałam w życiu.

Zamknęła pudełeczko, schowała je do kieszeni, rozplakała się rozpaczliwie i wybiegła z mojego mieszkania. „Naprawdę?” - zapytałem wiele miesięcy później.

„Nie”.

Zauważyłem, że ma oczy zamglone łzami. „Ty wiesz co... - Chwyła mnie za dłoń niemal rozpaczliwym gestem. - Przecież wiesz...”

Wiedziałem.

\* \* \*

- Cześć, Clinton. - W słuchawce zabrzmiał głos znanego aktora. Był chyba lekko wstawiony.

- Cześć - odpowiedziałem i spojrzałem na zegarek. Czy ten facet nie mógł się budzić trochę później?

Dziewczyna obok mnie przekręciła się na drugi bok i jęknęła coś przez sen. Poklepałem ją po pośladku i usiłowałem sobie przypomnieć, jak ma na imię.

- Mam dla ciebie dobre wieści, chłopie - ciągnął znany aktor. - Kręcimy ten jebany w pizdu film.

Wciągnąłem powietrze głęboko w płuca.

- Dzisiaj spotkamy się z człowiekiem z produkcji - mówił dalej. - Będziesz musiał zrobić trochę zmian.

- Kurwa - powiedziałem, a on się roześmiał.

- Nie ma strachu. Bronilem cię jak lew. Chcieli mi tam wpierdolić jakąś laskę, jakiś romans... Człowieku, żebyś ty musiał użerać się tyle co ja z takimi chujami - urwał nagle. - No, nieważne... Masz miesiąc na ostateczną obróbkę. I ani, kurwa, dnia dłużej.

- Jasne - odparłem. - Kiedy się spotkamy?

- U mnie o ósmej. Zapisz adres.

Wstałem, czując, że głowa mi za chwilę pęknie albo że porzygam się od smrodu alkoholu, który poczułem z własnych ust. Sięgnąłem po papier i długopis. Znany aktor podał mi adres Willi gdzieś na obrzeżach miasta, zanotowałem go. Odłożył słuchawkę, nie mówiąc nawet „do widzenia”. Cóż, mógł sobie pozwolić, by nie przestrzegać konwenansów. Dziewczyna leżąca w łóżku odwróciła się twarzą w moją stronę. Była ładna, ale nie tak ładna, jak zapamiętałem z poprzedniego wieczoru. Cóż, przecież jak mówi ludowe powiedzenie: „nie ma brzydkich kobiet, tylko wódki czasem brak”. A ona zresztą nie była brzydka, tyle że rozmazana, rozczochrana i chyba równie skacowana jak ja.

- Boże - wyjęczała zmaltretowanym głosem. - Ale mi się chce pić.

Bez słowa poszedłem do kuchni i otworzyłem lodówkę. Wyciągnąłem karton soku pomarańczowego i wlałem do dwóch niezbyt czystych szklanek. Nie miałem sił, żeby je umyć, bo ręce za bardzo mi się trzęsły. Marzyłem teraz o kąpieli w gorącej wodzie, pianie szamponu na włosach i umyciu zębów. Podniosłem szklankę do ust, a sok wylał mi się na szyję i pierś. Starłem go palcami. Przeplukałem usta lodowatym napojem i duszkiem wypilem resztę. Trochę ulżyło. Znowu napełniłem szklankę i zaniósłem obie do pokoju. Usiadłem na krześle, wyciągnąłem zalanego wódką papierosa z pudełka. Przypaliłem go ostrożnie i rozkaszałem się po pierwszym machu. Dziewczyna odstawiła na podłogę pustą szklankę, odwróciła się do ściany.

- Chodź do mnie - powiedziała.

- Jeeezu, a gdybyś sobie już tak poszła? - chciałem zapytać, tylko jakoś nie miałem odwagi.

Zamiast tego zwlokłem się z krzesła, położyłem obok niej i narzuciłem koc. Poczulem pod palcami linię jej bioder i pośladków i pomyślałem sobie, że może jednak to dobry pomysł, by została jeszcze przez chwilę. W końcu niewiele pamiętałem z zeszłej nocy, a czym jesteśmy, kiedy pozbawić nas pamięci? Przesunąłem ręce na jej piersi, ze zdumieniem spostrzegając, że są pełne i jędrne, po czym powiodłem opuszkami palców po sztywniejących sutkach. Zaśmiała się i szybkim ruchem przekręciła w moją stronę. Jej dłonie od razu wylądowały tam, gdzie trzeba, były bardzo chętne i bardzo sprawne. No cóż, to też lubię w kobietach...

\* \* \*

Wieczór u znanego aktora był kolejnym wieczorem pijaństwa. Zaczęło się od whisky z kostkami lodu (nawiasem mówiąc, cóż to za beczeszczenie wspaniałego trunku!), serwowanej w szerokich szklaneczkach o grubym dnie, a skończyło butelką tequili pitą na ławce gdzieś w parku w centrum miasta. Butelką tequili pitą pod wschodzące słońce i pod dwie cytryny, które wytrzasnęliśmy nie wiadomo skąd. Przedtem pamiętałem, jak przez mgłę, rajd po nocnych klubach, stado dziewczyn oblegających gwiazdora, pospieszny seks w pachnącej sosnowym lasem i sterylnej czystej toalecie (za cholerę nie mogłem przypomnieć sobie twarzy tej dziewczyny, pamiętałem tylko jej głośne jęki) oraz proszek wciągany do nosa przez rurki zwinięte z dwustuzłotowych banknotów. Proszek, który znany aktor czule nazywał „białą damą” i który dał nam energię na cały wieczór i całą noc oraz znakomicie neutralizował działanie alkoholu. Po przyjsciu do domu (a raczej przywleczeniu się do niego noga za nogą, pod oburzonym spojrzeniem starej Wąsowej) wpadłem do łóżka w butach i ubraniu i zasnąłem prawie natychmiast.

O dniu, który nastąpił po obudzeniu, wolałbym jak najszybciej zapomnieć. Wewnętrzne rozedrganie, ból głowy, serca, płuc, mięśni, mdłości i przeraźliwa dojmująca depresja nie były doznaniem, które chciałoby się przeżywać po raz wtóry. Pół dnia spędziłem w łazience, wyrzuając żółć zmieszaną z tym, co choć na chwilę zdołał przyswoić mój żołądek. Pocieszała mnie tylko jedna myśl: przeraźliwy kac przejdzie już jutro, a kontrakt zostanie. Producent poznany w domu znanego aktora okazał się człowiekiem na poziomie. Spokojnie wysłuchiwał argumentów i wykazywał naprawdę sporo dobrej woli. Oczywiście miał własne pomysły, jednak, o dziwo, były to najczęściej pomysły niepozbawione wdzięku. Tak czy inaczej, czekał mnie miesiąc naprawdę wyteżonej roboty, bo zdecydowaliśmy o zmianach kilku scen oraz o dopisaniu całego wątku otwierającego nowe możliwości interpretacji zachowania głównych bohaterów. Bałem się tego wieczoru i tego spotkania, lecz okazało się, iż przyniosło ono nadszpedzanie interesujące efekty. Teraz wszystko zależało ode mnie. Jeszcze tego samego wieczoru, zanim zaczęliśmy koszmarne maratony picia, postanowiłem, że wyjadę na miesiąc z miasta. Zaszycę się pod Warszawą i spokojnie, bez żadnych pokus, poświęcę się li tylko pracy. Nie mogłem zaprzepaścić dwuletnich poświęceń właśnie w chwili, kiedy sukces był już na wyciągnięcie ręki. Zbyt dobrze znałem historie ludzi, którzy olśnieni i oszołomieni nagłym powodzeniem zmarnowali życie, dając się wpuścić w kanał alkoholu, dziwek lub narkotyków. A ja przecież jeszcze nie odniosłem sukcesu! Na razie stałem tylko na progu i pokornie pukałem do drzwi z napisami „sława” oraz „pieniądze”. Znany aktor mógł sobie pozwolić na



szaleństwa. Jego popularność była ugruntowana, a majątek zdobyty pierwszoplanowymi rolami w polskich i zagranicznych filmach trudny do roztrwonienia. Nie mówiąc już o tym, że przedstawiciele najbardziej znanych agencji skłonni byli podpisać cyrograf z diabłem, aby nakłonić go do udziału w kampaniach reklamowych. Wiedziałem, że nigdy nie będę w podobnej sytuacji, ponieważ nawet najsłynniejszy scenarzysta jest słabiej rozpoznawany przez tłumy niż byle jednosezonowa gwiazdka telenoweli lub uczestnicy *reality show*. Ot, w tym również przejawiała się magia telewizji, która z błaznów potrafiła robić cesarzy. Najczęściej zresztą nader szybko zrzucano ich z tronu, by ekscytować się nowym wytworem współczesnej popkultury.

Cały dzień po tej wyczerpującej imprezie przeleżałem w łóżku. Oglądałem telewizję, tabletki nasenne popijałem zimnymi sokami, marzyłem o koksie (Bogu dziękować miałem dość resztek rozsądku, by nie zadzwonić po towar), budziłem się i zasypiałem. Zmęczenie i depresja powoli znikwały. Miałem już coraz większą ochotę, by wyjechać i ze świeżymi siłami zająć się scenariuszem. Dwa razy przyśniły mi się rozwiązania konkretnych scen i byłem na tyle z nich zadowolony, że zapisałem je na skrawku papieru. Wreszcie, późnym wieczorem, nadeszła chwila, kiedy mogłem pomyśleć bez obrzydzenia o jedzeniu i przygotowałem ogromną porcję jajecznicy z pomidorami. Właśnie w momencie, gdy ułożyłem już sztucce, postawiłem talerz oraz kubek z gorącą herbatą na ceratowym obrusie nakrywającym stół, rozległy się trzy szybkie dzwonki.

- *Oh, my* - jęknąłem do siebie, bo oczywiście poznałem, że nie może to być nikt inny, tylko Alicja.

Z jednej strony byłem ucieszony, bo nie widziałem jej od dwóch dni, z drugiej żałowałem, że nie pojawiła się pół godziny później. Otworzyłem drzwi. Stała na progu ubrana w wytarte dzinsy i podrabianą niby-firmową bluzę od dresu. Przez lewe ramię miała przewieszony mały błękitny plecak ze złotym zygzakiem. Pachniała łagodnym dezodorantem Nivei.

- Witaj, Alicjo - starałem się, by mój głos zabrzmiał radośnie, a potem zdałem sobie sprawę z tego, że on naprawdę radośnie zabrzmiał. - Zjesz ze mną kolację?

- No. - Przemknęła obok mnie do pokoju.

Z szafki w kuchni wziąłem drugi talerzyk i uczciwie podzieliłem porcję jajecznicy na pół. Zapaliłem gaz na kuchence i sprawdziłem, czy w czajniku jest wystarczająco dużo wody. Alicja usiadła na krześle i krytycznie przyjrzała się poszczerbionemu brzegowi talerzyka.

- W takich pęknięciach mogą być grąkowce - zauważyła.

- Gronkowce - poprawiłem machinalnie. - A świat jest w ogóle niebezpiecznym miejscem. - Uśmiechnąłem się do niej. - Mogę ci zmienić na inny, chcesz?

- Eee tam. - Machnęła dłonią.

„Zmieniłeś na inny - przyznała długo, długo potem. - Zmieniłeś mój świat”.

Wtedy zauważyłem tylko, że miała wyjątkowo równo obcięte paznokcie, a poza tym powłokła je bezbarwnym lakierem. Spojrzałem na jej uszy. W małżowinach tkwiły znowu tanie imitacje perełek. W zasadzie nic dziwnego, że nie chodziła na co dzień w złotych kolczykach z brylantami. Po co kusić złego?

Alicja dziobała widelcem w jajecznicę, jakby się zastanawiała, co to takiego w ogóle jest i jak się do tego zabrać. Postawiłem przed nią kubek z gorącą herbatą oraz słoiczek miodu.

- Co słyszeć? - zapytałem.

- Dobrze - odparła apatycznie.

- A jednak chyba nie. - Przyjrzałem się jej dokładniej. Miała podkrążone oczy, jakby długo nie spała albo długo płakała.

Potem zauważyłem siniak, który wypelzał znad obojczyka i chował się pod kołnierzem bluzy.

- Co to jest? - zapytałem.

- Nic. - Skuliła ramiona.

- Alicjo. - Wyciągnąłem w jej stronę rękę, ale odsunęła się gwałtownie, a nogi krzesła zgrzytnęły po podłodze.

Skuliła się jeszcze bardziej i patrzyła gdzieś pod stopy.

- Co ci się stało?! - Ten głos był nie mój. Należał do kogoś obcego i wściekłego.

Nie odpowiedziała. Znowu wyciągnąłem dłoń i tym razem się nie cofnęła. Odchyliłem kołnierz bluzy. Na ramieniu miała potężnego fioletowego siniaka. Wyraźnie odznaczały się ślady palców. Tak jakby ktoś trzymał ją z całej siły za ramię.

- Zdejmij to - rozkazałem.

Posłusznie, jak nie ona, ściągnęła przez głowę bluzę od dresu. Została w samym białym bawełnianym staniku, który notabene, nosiła chyba tylko dla ozdoby. Miała kruche ramiona i szczupłe plecy poznaczone teraz sinymi pręgami biegnącymi prostopadle do kręgosłupa. Zaczęła bezgłośnie płakać.

- Chchchryste. Kto ci to zrobił?

Zerwała się z krzesła, wskoczyła do łóżka i nakryła się kołdrą razem z głową. Spod pościeli wystawał tylko jasny kosmyk włosów.

- Nikt - usłyszałem stłumiony głos.

Usiadłem przy niej i położyłem dłoń na jej ramieniu.

- Alicjo - rzekłem najspokojniejszym tonem, na jaki tylko mogłem się zdobyć. - Musisz mi powiedzieć, co się stało.

- Nie muszę - burknęła spod przykrycia.

- Jesteś dzieckiem, ale nikt nie ma prawa cię bić, rozumiesz? Nikt! Ani rodzice, ani nauczyciele, ani koledzy czy koleżanki.

Nawiasem mówiąc, nie sądziłem, aby te ślady mogły powstać w wyniku bójki z rówieśnikami. Zsinienia wyglądały raczej jak ślady po uderzeniach pasa. A więc: rodzice.

- Alicjo, proszę cię... - Byłem bezradny, bo nigdy nie wiedziałem, jak rozmawiać z dziećmi, a co dopiero z dziećmi będącymi, jak to się w dzisiejszych czasach szumnie nazywa: ofiarami przemocy w rodzinie. - Tego nie można tak zostawić. No, po prostu nie można...

Wysunęła głowę spod kołdry. Po policzkach ciekły jej łzy.

- Tak? - spytała. - I co z tym zrobisz, Aleks? Pójdiesz do nauczycieli, na policję, do takiego no... od praw dziecka...

- Rzecznika - poddałem bezwiednie. Skinęła głową.

- No właśnie. A ja tymczasem dostanę takie baty, że się już nie podniosę. Nie bądź śmieszny, Aleks. Po prostu trzeba to jakoś przeżyć.

Wstałem i wziąłem do rąk jej plecaczek. Rozsznurowałem go i wysypałem całą zawartość na stół. I momentalnie znalazłem to, czego szukałem. Mały różowy portfel, a w nim za plastikową przezroczystą wkładką legitymację szkolną. Przeczytałem adres zamieszkania Alicji i zapamiętałem go.

- Aleks, co ty wyprawiasz? - zapytała i usłyszałem, jak wychodzi z łóżka.

Zobaczyła, co mam w ręku, i jęknęła.

- Jezusie, Aleks, ty nie chcesz do niego pójść, prawda? - Wczepiła się we mnie od tyłu.  
- Obiecuj mi, że tego nie zrobisz. On cię zabije. I mnie zabije. Jest taki, bo mama, znaczy jego żona, odeszła...

- Gdzie masz kolczyki ode mnie? - spytałem, gdyż to pytanie, nie wiadomo dlaczego, samo wskoczyło mi na usta.

Poczułem, że suche mam wargi, upiłem łyk herbaty. Alicja milczała. Odwróciłem się w jej stronę i podałem bluzę od dresu.

- Hm? - zapytałem.

Odwróciła się plecami do mnie i zaczęła ubierać.

- Znalazł je i zabrał - powiedziała cicho.

Nie wiem, czy właśnie to przeważało szalę. Czy właśnie to wywołało we mnie zimną, szaloną wściekłość. Nie można bezkarnie okraść i pobić dziecka. Nie można bezkarnie okraść i pobić Alicji. Kim bym był, gdybym nie przyszedł jej teraz z pomocą? Gdybym po wszystkim, co zrobiła dla mnie, ograniczył się do okrągłych słów współczucia? Gdybym nie potrafił

zapłacić za jej przyjaźń? Już do końca życia nie mógłbym patrzeć w lustro bez obawy, że porzygam się na widok własnej twarzy.

- Masz tutaj siedzieć, zrozumiałaś? I nigdzie nie wychodzić. Zrozumiałaś?

Patrzyła na mnie, a jej oczy stawały się coraz większe.

- Alicjo, siedź tutaj, dobrze? - powtórzyłem łagodniej. - Wszystko będzie okay, uwierz mi. Niczego się nie bój. Tylko, proszę cię, siedź tu. - Wymawiałem te słowa niczym zaklęcia.

Wychodząc, usłyszałem, jak mówi:

- Aleks, uważaj na siebie.

Co by się stało, gdybym wtedy nie ruszył do domu Alicji? Gdybym przeszedł do porządku dziennego nad krzywdą dziecka? Cóż, kiedyś zadałem jej to pytanie... „Aleks - powiedziała patrząc na mnie wyrozumiałym wzrokiem. - Czy żółw może zrzucić skorupę? Czy lew może obciąć sobie pazury?”

„Ciekawe, co to ma... - zacząłem zanim zdałem sobie sprawę z tego, co mówi. - Ach tak...” - dodałem.

„Ach tak - przedrzeźniła mnie. - Jesteś kim jesteś, Aleks”.

„Niektórzy ludzie mówią, że kocha się nie za coś, lecz wbrew czemuś” - rzekłem. - To bzdura, prawda?”

„Aleks, myślisz, że odpowiem ci na pytania stawiane przez filozofów?” - odparła i nie zwracając już na mnie uwagi, zapatrzyła się w południowoamerykańską telenowelę.

\* \* \*

Doskonale wiedziałem, gdzie stoi dom Alicji, odprowadzałem ją przecież kiedyś. Na osiedlu dziesięciopiętrowych punktowców, jakieś pięćset metrów od głównej ulicy. Szedłem w tamtym kierunku szybkim krokiem i dopiero idąc, zacząłem zastanawiać się, co powiem jej ojcu. Jak wyjaśnię fakt, że jego córka przysłała do mnie późno wieczorem, i jak wytłumaczę, że zobaczyłem siniaki na jej nagich plecach. A potem zdałem sobie sprawę, że nie ja będę musiał się tłumaczyć, tylko on. Tyle że nadal nie wiedziałem, co się stanie, jeśli nie zechce niczego tłumaczyć. Zadzwońię po policję? Na pogotowie, żeby zrobili Alicji obdukcję? Czy to w ogóle coś da? Czy nie raz, nie dwa i nie dziesięć czytałem o ojcach bijących dzieci, którzy lądują na noc w komisariacie, a potem wracają otrzeźwieni do domu i tłuką swe pociechy jeszcze mocniej i w jeszcze bardziej okrutny sposób? Niemniej każdy staje czasami w obliczu dokonania pewnych wyborów. I dokonać ich musi. Czasami musisz odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jesteś już człowiekiem, czy dopiero wyrobem człowiekopodobnym. Mogłem po prostu pójść do niego i improwizować w zależności, jak rozwinie się sytuacja. Chciałem

wierzyć, że prawo jest po mojej stronie, lecz wiedziałem, że w tym kraju prawo nigdy nie było po stronie słabszych. Mogłem jedynie dochodzić sprawiedliwości, a to już była zupełnie inna sprawa.

Zobaczyłem otoczony biało-czerwonym parkanem rozgrzebany właz do studzienki kanalizacyjnej i w oko wpadł mi kawałek zardzewiałej stalowej rurki leżący obok stosiku ze szmat i gazet. Zatrzymałem się i cofnąłem. Przeszedłem nad parkanem i wziąłem rurkę do ręki. Zważyłem ją w dłoni. Była mniej więcej długości słuchawki telefonu. Potem, po zastanowieniu i z ociąganiem, schowałem rurkę do kieszeni marynarki. Ulokowała się w niej zgrabnie i nie było widać nawet wybrzuszenia. Czuję tylko w kieszeni dający poczucie bezpieczeństwa ciężar. Otrzeptałem dłonie, wytarłem w nogawki spodni, tak by nie było widać na palcach śladów po rdzawych naciekach.

Pierwszą przeszkodą okazał się domofon. Nie mogłem przecież zadzwonić do mieszkania Alicji. Rozejrzałem się wokół, ale akurat nikt nie wracał ze spaceru z psem. Było cicho i pusto. Wybrałem na chybił trafił inny numer, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, i kolejny. Gwar pytających głosów odezwał się niemal jednocześnie.

- Dobry wieczór, Pizza Hut. Mają państwo chyba zepsuty domofon...

Ktoś zaprotestował, ktoś o coś pytał, ktoś inny jednak nacisnął właściwy przycisk i rozległ się brzęczyk. Pchnąłem drzwi. Cóż, albo jedna z tych osób rzeczywiście czekała na pizzę, albo otworzyła wejście, żeby mieć święty spokój. Ta metoda zawsze zdaje egzamin...

Wszedłem na klatkę i sprawdziłem listę lokatorów. Przy kilku numerach mieszkań było tylko puste białe miejsce - efekt działania ustawy o ochronie danych osobowych, lecz przy numerze mieszkania Alicji wyraźnie widniało jej nazwisko. Czwarte piętro. Poczekalem na windę. Kiedy wsiadałem, serce biło mi już coraz szybciej i szybciej, więc by się uspokoić, pogłaskałem stalową rurkę przez tkaninę marynarki. Wysiadłem z windy i podszedłem wolno, krok za krokiem, do drzwi oznaczonych szóstkami. Położyłem dłoń na sercu. Tłukło się niczym oszalałe, jakby było wściekłym silnym szczurem niespodziewanie złapanym do klatki i bardzo z tej niewoli niezadowolonym. Odetchnąłem głęboko. Bóg mi świadkiem, że zastanawiałem się jeszcze, czy nie cofnąć się z samego progu. Wrócić, powiedzieć Alicji, że nikt nie chciał mi otworzyć drzwi. Ale wiedziałem także, iż nie potrafiłbym jej spojrzeć w oczy. Nie tylko dlatego, że nie odważyłem się stanąć w jej obronie, lecz dlatego, że skłamałem. Poza tym takie sprawy należy załatwiać szybko i skutecznie. Cięcie skalpelem. Decyzja. Przycisnąłem naznaczony naciekiem żółtej farby klawisz dzwonka, a gong zabrzmiał tak głośno, że mimowolnie cofnąłem się pół kroku. Może nie otworzy, łudziłem się. Może nie podejdzie do drzwi. Wtedy nie będę już musiał szukać usprawiedliwień. Minęło kilkanaście sekund, potem

następnych kilkanaście. Wduszałem przycisk raz za razem, aż gong złał się w jedną głośną melodię. I wtedy usłyszałem szuranie kroków.

- Kto tam? - Głos po drugiej stronie drzwi nie był ani odrażający, ani zachrypnięty, ani nie należał do pijanego człowieka.

Normalny głos mężczyzny w średnim wieku, lekko podenerwowanego faktem, że wieczorem ktoś dobija się do drzwi jego mieszkania. Spanikowałem. Co miałem odpowiedzieć na pytanie?

- Jestem nauczycielem Alicji - wydusiłem wreszcie z siebie. - Nazywam się Robert Madej. - Kłamstwo przyszło mi szybciej niż myślałem, ponieważ w pracy dziennikarskiej używałem czasami tego pseudonimu.

Szczęk otwieranych zamków. Drzwi uchyliły się, a ja zdrętwiałem. Przede mną stał największy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek przyszło mi oglądać na własne oczy. Był o głowę wyższy ode mnie, ważył co najmniej sto pięćdziesiąt, sto sześćdziesiąt kilogramów. Jego twarz była szeroka, obrzmiała i okrągła niczym księżyc w pełni. Ogromny brzuch wylewał się zza paska okalającego spodnie od ortalionowego dresu. Ojciec Alicji uśmiechnął się, widząc moją reakcję. Musiał być przyzwyczajony, że ludzie głupieją na jego widok.

- Nie za późno na odwiedzin, profesorze? - zapytał z ledwo dostrzegalnym szyderstwem.

- Bardzo przepraszam - powiedziałem gładko. - Przeciągnęła mi się wizyta u matki jednego z uczniów.

Oczywiście, jeśli nie ma pan teraz czasu, zapraszam jutro do szkoły.

Przyglądał mi się przez chwilę. Jego oczy, czarne jak grudki węglowego żwiru, były niemal zatopione w zwałach tłuszczu. Potem otworzył szerzej drzwi.

- Nie - odparł. - Proszę wejść. Mam czas.

Odsunął się, by zrobić mi miejsce, następnie zatrzasnął drzwi. Wtedy poczułem od niego odór piwa i zastarzałego potu. Dlaczego nie poczułem tego wcześniej? Może dlatego, że klatka schodowa była spryskana mocnym środkiem odkażającym? Wprowadził mnie do pokoju. Na środku stał duży stół o lśniącym jak lustro blacie, a wokół niego sześć krzeseł obitych ciemnoniebieskim welurem. Dłuższą ścianę zajmował kredens wypełniony kryształowymi kieliszkami, szklankami i wazonikami. A jednak na pierwszy rzut oka widać było, że coś jest nie tak. Na lśniącym blacie stołu widziałem świeży naciek z rozlanego piwa, pod nogami krzesła poniewierało się kilka zgniecionych puszek, a pod telewizyjną szafką stała miska z resztkami zaschniętej jajecznicy i połową kromki chleba.

- Pan siada - zaprosił. - Piwa?

- Nie, nie, dziękuję - odparłem.

- Herbaty albo kawy?

- Skoro pan taki uprzejmy, może herbaty. Odwróciłem się bokiem, by odsunąć krzesło, i to był mój cholerny błąd. Jednak zdołałem jeszcze się uchylić. Gdyby nie ten ruch, zmiażdżyłby mi nos. A tak dostałem tylko w szczękę i ucho, nawet i to wystarczyło, bym zatoczył się, przewracając krzesło, huknął głową o ścianę i osunął na podłogę. Dopadł mnie. Runął, celując kolanami w klatkę piersiową. Skuliłem się, lecz i tak poczułem piekielny ból w żebrach.

Teraz siedział na mnie okrakiem, ogromne łapska zacisnął mi na szczękę i szyi. Nie miałem szans, by się ruszyć, a co dopiero rzucić agresora. Jednak moja prawa dłoń nie była całkowicie unieruchomiona. Namacałem stalową rurkę i starałem się przesunąć palce w poblizkie kieszeni marynarki.

- Wiedziałem, że przyjdiesz. - Tchnął na mnie piwem. - Cholerny zboczeniec.

Widziałem kępki czarnych włosów sterczących z jego nozdrzy i czerwonego syfa z białym czubkiem, który załgał się pomiędzy fałdami podbródka. Ojciec Alicji uderzył mnie dłonią w prawy policzek. Mocno. Potem poprawił z drugiej strony. Zahaczył o nos i czułem, że zaczyna mi lecieć krew.

- Zresztą, to twoja sprawa, koleś. - Obnażył w uśmiechu ogromne zęby z szeroką szparą pomiędzy jedynekami. Lewa miała szczerbę w kształcie odwróconej litery V. - Możesz ją sobie rznąć, jak cię to bawi. Ale powiedz mi, co z tego będzie miał jej tatuńcio?

Tym razem nawet nie zdążyłem zareagować, a już dostałem w nos. Usłyszałem chrupnięcie. Ból wybuchnął i zaraz potem przygasł. Ćmił tylko, jakby ktoś mokrą dłonią objął kostki w środku nosa i co pewien czas ścisnął je i zaraz potem zwalniał uścisk.

- Chyba ci złamałem nos, koleżko. - Znowu się zaśmiał.

Pod palcami czułem już chropawą rurkę. Strasznie ciężko było ją wyciągnąć, bo prawym bokiem leżałem na ziemi. Rdza weszła mi pod paznokcie.

- A ty masz kasę, kolego, prawda? Takie kolczyki dałeś mojej małej dziewczynce, no, no. Jak myślisz, ile dostanę za nie u jubilera? Albo w lombardzie?

Ujął mój nos pomiędzy kciuk i palec wskazujący.

- Ech ty! - rzekł rozbawiony i potrząsnął, mniej więcej tak, jak szarpie się w zabawie dużego psa za ucho.

Wrzasnąłem, z oczu poleciały mi łzy. Ból na moment mnie ogłuszył. Ogromna, nalana twarz ojca Alicji zniknęła w blasku.

- Tylko mi tu nie zemdlej - warknął i puścił.

Nos pulsował teraz, jakby był obdarzony własnym życiem. Łzy płynęły jedna za drugą, spływały po policzkach na brodę i szyję. Pociągnąłem mocniej rurkę. Wyszła już z kieszeni

prawie do połowy długości. Nadal widziałem twarz ojca Alicji jak przez mgłę. Zdumiewające jednak, że bardzo wyraźnie dostrzegałem żyrandol z pięcioma kryształowymi bombkami, które płonęły jasnym światłem stuwatowych żarówek. A nawet nierówne pęknięcie biegnące od widocznych spod zaślepki kabli w stronę ściany.

- Jeszcze przez cztery lata, Aleks, ona będzie pod moją opieką - powiedział rzeczowym tonem, zupełnie jakbyśmy toczyli światłą dyskusję o wychowaniu dzieci. - I jeśli chcesz się z nią bzykać, masz mi płacić pięć tysięcy miesięcznie. Rozumiemy się? Pięć tysięcy na każdego pierwszego, a mnie nie obchodzi, kiedy ona wraca i co robi.

- Nie mam tyle - sapnąłem, a nos przypomniał o sobie.

- Ile masz? - Zobaczyłem znowu przed twarzą jego kciuk i palec wskazujący.

Potańczał ze śmiechem opuszkami o opuszek, gdy rzuciłem głową do tyłu. Musiał zobaczyć strach w moich oczach, bo faktycznie bałem się jak cholera.

- Ile masz, koleś? - powtórzył spokojnie i odsunął palce.

- Tysiąc - odparłem. Wiedziałem, że muszę go wciągnąć w dyskusję. Przecież tego właśnie się spodziewałem.

- Tysiąc za taką młodą dupkę? Skąpiradło - wręcz zanucił ostatnie słowo, tak że naprawdę zabrzmiało jak: skąpi-pi-radło.

Uniósł się lekko i trzasnął mnie pięścią w pierś. Trochę zabolowało, ale dzięki temu, że poluzował uścisk, wyciągnąłem spod własnego boku dłoń ze stalową rurką. Teraz miałem wolną prawą rękę, a rurka leżała nakryta moim przedramieniem.

- Żartujesz chyba, co?

- Dwa tysiące? - spytałem.

- Dasz dwa i pół i do wójta nie pójdziemy. - Poklepał mnie po policzku niemal delikatnie. Znowu się zaśmiał, widząc, że szarpnąłem się i zmrużyłem oczy, spodziewając się uderzenia i bólu.

- Dam - odparłem.

- Grzeczny chłopak.

Wszystko widziałem jak przez mgłę. Również jak przez mgłę widziałem czarnego kruką, który siedział na półce i ostrzył sobie dziób o ścianę. Był jeszcze większy niż pamiętałem to ze snów, a w jego ślepiach migotały płomienie. Ojciec Alicji uniósł się ciężko i kiedy wisiał nade mną, szarpnąłem się do tyłu, podkuliłem kolana pod samą klatkę piersiową i wyrzuciłem stopy z impetem, celując prosto w krocze mężczyzny. Był zbyt ciężki, by zareagować. Moje podeszwy i obcasy wbiły się w jego jądra. Nawet nie wrzasnął, tylko otworzył szeroko usta i chrapliwie nabrał powietrza w płuca. Jego oczy rozszerzyły się i widziałem w nich ból. Zerwałem się. Uderzyłem go stalową rurką, tak jakbym wbijał gwóźdź



kamieniem. Siła uderzenia była tak wielka, że myślałem, iż nos pęknie mi z bólu. Ojciec Alicji dostał prosto w lewy policzek. Ciężko zwałił się na plecy. Skoczyłem na niego kolanami, ścisnąłem pięści obu dłoni tak, by utworzyły młot, i wyrznięłem go prosto w twarz. Raz, drugi, trzeci. Tłukłem faceta, unosząc ręce zza głowy. Z całej siły, starając się wyrzucić całą nienawiść i upokorzenie. Jego twarz zamieniła się w krwawy budyń. Miał zmiążdżony nos, rozszarpany policzek, a jednego oka nie było widać spod kałuży krwi. Odsunąłem się i z trudem wdrapałem na krzesło. Teraz mój wróg leżał niczym ogromny worek miecha i dyszał przez wytłuczone zęby. Z każdym jego oddechem rosły bąble krwi. Nie miałem dużo czasu. Bałem się, że sąsiedzi mogli usłyszeć hałas i kto wie, czy niedługo nie zjawi się policja. Co prawda zazwyczaj nasza policja zjawiała się w wiele godzin po wezwaniu, lecz przecież mogłem mieć pecha.

Poszedłem do łazienki i spojrzałem w lustro. Wyglądałem na pewno lepiej niż ojciec Alicji. Ale policzek oraz szczęka zaczynały już puchnąć i sinieć, a zakrwawiony nos miałem rozklapany na połowę twarzy. Odkręciłem kran, delikatnie przemyłem twarz zimną wodą, potem przetarłem ją ręcznikiem. Na białej frotce zostawiłem grube różowe zacieki. Oderwałem kawałek papieru toaletowego, zwinąłem w rulonik i ostrożnie wepchnąłem sobie w nozdrza. Zabolało, jednak przynajmniej krew przestała lecieć. I tak całą koszulę i marynarkę miałem w czerwonych plamach. Oplukałem dłonie, napełniłem wodą miednicę, wróciłem do pokoju. Ojciec Alicji zdołał przewrócić się na bok. Dłonie trzymał przy twarzy, spomiędzy palców ciekła mu gęsta ciemna krew, zostawiając plamy na beżowym dywanie. Jęczał i gadał coś do siebie przytłumionym głosem. Kopnąłem go pod kolano, a wtedy stęknął. Kiedy odjął dłonie od twarzy, chlupnąłem na niego wodą z miednicy. Załkał prawie bezgłośnie.

- Gdzie są kolczyki, skurwysynu? - zapytałem.

Po długiej chwili wyciągnął rękę z rozczapierzonymi jak surowe serdelki palcami i wskazał szafkę. Podeszedłem do niej, wywaliłem na ziemię zawartość górnej, środkowej i dolnej półki. Było. Pudełeczko z granatową aksamitną wyściółką. Zajrzałem do środka i zobaczyłem błysk złotych łez.

- Posłuchaj mnie teraz uważnie, gnojku. Słuchasz?! - Znowu kopnąłem faceta pod kolano.

- Uch-am! - W jego głosie brzmiał nie tylko ból, również jakieś przerażające zdumienie, że dobra zabawa skończyła się tak szybko i tak nieoczekiwanie.

- Alicja wyjeżdża - powiedziałem. - A ty powiesz, że miałeś wypadek i musiałeś ją wysłać na pewien czas do jakiejś ciotki, czy co tam chcesz...

Ciężko mi się mówiło z nosem spuchniętym jak bania i wypełnionym papierem toaletowym, który zdołał już przesiąknąć krwią. Najchętniej wyszedłbym stąd i wsadził

łepetynę pod strumień zimnej wody. Miałem mdłości i kręciło mi się w głowie. Wiedziałem jednak, że sprawę trzeba doprowadzić do końca. Że nienawiść i wściekłość ojca Alicji muszą ustąpić miejsca panicznemu lękowi przed tym, co mogę mu zrobić w przyszłości. Musiał się mnie bać. Musiał bać się mnie tak bardzo, że ten strach zwycięży i powstrzyma zarówno nienawiść, jak i chęć zemsty.

- Jeśli coś pójdzie nie tak jak trzeba, wrócę do ciebie i zakończymy sprawę, jasne? -  
Znowu szpic buta włożyłem mu z całej siły pod kolano.

Byłem pewien, że przez ładnych parę dni będzie miał kłopoty z chodzeniem.

- Chak! Chak! - załkał, myśląc, że to już koniec. Niewątpliwie był przerażony. Ale nie śmier-tel-nie przerażony. Byłem pewien, iż cały czas w jego mózgu kiełkowała nadzieja, że zwyciężyłby, gdyby inaczej rozegrał sprawę. Moim zadaniem było nie tyle zgasić tę nadzieję, ile sprawić, by wymiotował ze strachu na samą myśl powrotu do niej.

Poszedłem do wyłożonej jasnobrązową boazerią kuchni i znalazłem długi nóż z czerwoną plastikową rękojeścią. Przesunąłem opuszką palca po ostrzu. Następnie wróciłem do pokoju, wyjąłem z gniazdka kabel od telewizora i oderżnąłem go przy samej obudowie. Zestrugałem plastik, obnażając oba miedziane druty. Kątem oka widziałem, że ojciec Alicji mi się przygląda. Nagle zrozumiał, co robię, i zaczął z jękiem czołgać się w kierunku ściany. Wsadziłem wtyczkę do gniazdka i machnąłem kablem w powietrzu. Ojciec Alicji próbował odpełznąć od kałuży wody, ale cała wykładzina była mokra niczym gąbka.

- Zabiję cię, skurwielu - obiecałem zimno, chociaż tak kręciło mi się w głowie, że ledwo mogłem ustać. - Następnym razem rzucę ten kabel na ziemię, rozumiesz?

Pojąłem, iż tym razem nic mu nie grozi, i zaczął płakać. Ohydny szeleszczącym płaczem, pełnym stęknień oraz posapywań. Wyrwałem znowu kabel z gniazdka i, rozbrojony, rzuciłem obok niego, na podłogę.

- Na pamiątkę - powiedziałem, wychodząc.

Po drodze zgarnąłem jeszcze z wieszaka jego marynarkę i otuliłem się nią jak płaszczem, żeby nie było widać plam krwi. Zatoczyłem się w stronę schodów i zszedłem na półpiętro, przytrzymując się poręczy. Wszedłem do pomieszczenia zsypowego, tam stanąłem nad otwartym zsypem i zwymiotowałem. Może z bólu, może z nadmiaru adrenaliny, lecz tak naprawdę obawiałem się, że mogłem mieć wstrząs mózgu. A przecież to nie był czas na leżenie w łóżku, tym bardziej na szpital. Zwlokłem się piętro niżej. Nogi załamały się pode mną, klęknąłem pod ścianą, opierając czoło o zimny mur.

- Alicjo - szepnąłem do siebie i wtedy niespodziewanie poczułem w dłoni jej chłodne palce.

- Aleks. - Cichy głos dochodził jak spoza gęstej mgły. Zdawało mi się, że żółte nacieki farby na ścianie zaczynają spływać na ziemię. Wirowały.

- Aleks, chodź na dwór, Aleks...

Dałem się poprowadzić do windy, potem przed klatkę schodową. Opadłem jak wór na ławkę stojącą w cieniu drzewa. Gałęzie osłaniały nas przed blaskiem latarni. Wyjąłem z kieszeni pudełeczko i wyciągnąłem na otwartej dłoni w stronę Alicji. Dziewczyna miała dwie twarze, które wolno wirowały w żółtym blasku lampy. Obie bardzo smutne. Ze zdumieniem dostrzegłem, że palce mam znowu unurzane we krwi.

- Mam twoje kolczyki - powiedziałem.

Własny głos słyszałem, jakby dobiegał zza grubej ściany. Kiedy osuwałem się z ławki, huknąłem jeszcze nosem w poręcz. Bogu dziękować, nie poczułem już bólu, tylko usłyszałem dźwięk, jakby ktoś rozgniatł trufkę. Nie pamiętałem drogi do domu. Później Alicja powiedziała mi, że złapała przejeżdżającą główną ulicą taksówkę i kierowca pomógł jej załadować mnie na tylną kanapę, a potem przenieść do domu. Podobno nalegał, by wezwać pogotowie, bo ślaniałem się na nogach i przelewałem przez ręce. Ale Alicja miała wielki dar przekonywania i udało jej się go spławić. Potem zrobiła pierwsze, co przyszło jej do głowy, czyli zadzwoniła do Anny.

Gdy się ocknąłem we własnym łóżku, z zimnym kompresem na czole, zobaczyłem pochyloną nade mną twarz byłej szefowej. Alicja stała obok, ukryta w cieniu i trzymała się poręczy krzesła. Widziałem tylko jej zbiegłe kostki palców. A może mi się to jedynie wydawało?

- Hej - zawołała Anna. - Widzisz mnie?

- Jasne, że widzę. - Chciałem, by zabrzmiało żartobliwie, lecz sam usłyszałem żalosne, chrypliwe piśnienie.

Przechyliła mi do ust szklankę z chłodną miętą. Wypiłem chciwie, bo język miałem wysuszony na wiór.

- Muszę wezwać pogotowie, Aleks - oznajmiła. - Obawiam się, że masz wstrząs mózgu.

- Patrzyła na mnie z zatroskaniem i dopiero teraz zauważyłem, że ma piękne, szare oczy z zielonymi plamkami na tęczęwkach.

- Jakże ty masz śliczne oczy - szepnąłem.

Anna zaśmiała się nerwowo, a Alicja puściła poręcz krzesła.

- Chyba mu lepiej. - Usiadła przy mnie i wzięła moją rękę w swoje dłonie.

- Lusterko - zażądałem lakonicznie, bo wiedziałem, że nie wyduszę z siebie całego zdania.

- Aleks - Anna zdążyła już spoważnieć - masz zmiądzony nos, rozbity łuk brwiowy i pewnie wstrząs mózgu. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Muszę wezwać lekarza. Zresztą, cholera, po co ja ciebie pytam?

Wstała i widziałem, jak w głębi pokoju wyciąga z kieszeni zakietu komórkę i dzwoni. Potem słyszałem, niczym z daleka, jej przytłumiony głos. Przymknąłem oczy i odleciałem, czując tylko chłodny dotyk palców Alicji.

\* \* \*

Strzelisty dach drewnianego domku wyrastał ponad rozłożyste śliwy, a przynajmniej coś, co ja uważałem za śliwy. Wyjechaliśmy z za zakrętu i dom ukazał się nam w pełnej okazałości.

- Jeez-zu - zdobyłem się na tylko tyle słów komentarza.

- Prawda? - spytała z nieskrywaną dumą Anna. - Piękny, co?

Na pewno użyłbym innego słowa niż „piękny”, by określić charakter tej budowli. Drewniany dom zbudowany był z jasnych, niemal żółtych bali i stał na podmurówce z krwistoczerwonej cegły. Nad dachem wyrastała spiczasta wieżyczka ozdobiona ogromnym zegarem w kształcie kwiatu słonecznika. Do lewej ściany budynku przyrastało coś w rodzaju kamiennej baszty z niewielkim tarasem na szczycie i schodami biegnącymi na zewnątrz, dookoła. Daszek baszty pokryty był zaśnieżonymi na zielono dachówkami. Krótko mówiąc, letniskowy domek Anny robił kolosalne wrażenie. Jakby przeniesiono go ze świata surrealistycznej baśni i ustawiono pośrodku zwykłego polskiego sadu.

- Kiedy tylko zobaczyłam ten dom, nie mogłam się powstrzymać, by go nie kupić - powiedziała z uśmiechem. - Od razu wiedziałam, że on i ja pasujemy do siebie jak ulał.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Oj, Aleks. - Alicja zdecydowała się odpowiedzieć za Annę. - Takie rzeczy się po prostu wie.

- Po prostu wie się co? - dążyłem.

Anna spojrzała przez ramię na tylne siedzenie i zauważyłem, że wymieniają z Alicją rozbawione spojrzenia. Potem delikatnie przyhamowała (jak nie ona!) i zaparkowała pod wspartą na trzech palach wiatą.

- Witajcie w moim królestwie.

Chyba dopiero teraz zdałem sobie sprawę z faktu, że zaproszenie Anny nie było wyłącznie koleżeńskim gestem wywołanym współczuciem lub chęcią niesienia pomocy. Ona naprawdę zaprowadziła nas do swego królestwa, miejsca, którym niechętnie dzieliła się z

kimkolwiek. Zastanowiłem się, czy przez te wszystkie lata pracy z nią wiedziałem, że w ogóle ma działkę, i doszedłem do wniosku, iż nie. Nigdy nie słyszałem, by mówiła o działce, a przecież opowiadała nam o milionie przeróżnych rzeczy: ulubionych kolorach i owocach, kłopotach z remontami mieszkania, kłopotach z gliniarzami bez przerwy usiłującymi jej wypisywać mandaty (jak sama twierdziła: całkowicie niesłusznie), wycieczkach do różnych zakątków świata. A o działce - nic.

Wysiadłem, otworzyłem drzwi od strony kierowcy i pocałowałem Annę w policzek, kiedy wysiadała.

- Jesteś prawdziwą przyjaciółką - powiedziałem. Zaczerwieniła się lekko (Boże drogi, nie sądziłem, że ona potrafi się czerwienić!) i poklepała mnie po ramieniu.

- Och, Aleks, ty jesteś tylko moją długodystansową inwestycją. Kiedy staniesz się już sławny i bogaty, będę oczekiwała olśniewającego rewanzu. Może wakacje w Palm Springs, hm?

- A może wakacje w moim domu na Vanuatu albo Tuvalu?

- Jasne. - Alicja roześmiała się szczerze i wyskoczyła z samochodu. - Masz tu krety? - zapytała.

- Podejrzewasz, że sama wykopuję te dziury?

- Na krety są sposoby...

- Ciekawe jakie? - zainteresowała się Anna. - Bo ja próbowałam chyba wszystkiego, a te małe cholery niszczą wszystko, co posadzę.

- Och, tak tylko słyszałam - wycofała się Alicja, a Anna wzruszyła ze zniecierpliwieniem ramionami.

Podeszliśmy do drewnianych drzwi, od których bardzo wyraźnie odcinała się czerwona tabliczka informująca, że posesji strzeże pewna znana firma ochroniarska. Przez przypadek zdarzyło mi się kiedyś o niej słyszeć. Mieli całkiem interesujące metody wzbudzania szacunku u miejscowej ludności (która niegdyś żyła z plądrowania działek i nie mogła uwierzyć, że *dolce vita* się skończyło). Otóż przyłapanemu rabusiowi spuszczaali potężne manto, tak potężne, że zwykle lądował na krótszy lub dłuższy czas w szpitalu, po czym pytali go, czy mają zawiadomić policję. Na takie *dictum* nieszczęsny włamywacz odczołgiwał się na bezpieczną odległość i gubiąc zęby, przysięgał, że już nigdy nawet nie pojawi się w okolicy.

Anna otworzyła drzwi małym kluczykiem wyciągniętym z ukrytej półeczki przy ganku.

- *Welcome* - powiedziała.

Weszliśmy i wyraźnie poczułem chłodny, ciemny zapach starego drewna, nad którym przez lata pracowały słońce, wiatr oraz deszcz. Oczywiście wypada spytać, w jaki sposób zapach może być ciemny? Albo jak może być chłodny? Ten jednak był. I to nie ciemnością

piwnicy, lecz ciemnością pokoju o zasłoniętych storach, który zaprasza, byś rozgościł się i poznał jego tajemnice. Po walce z ojcem Alicji mój nos nadal nie spisywał się najlepiej, ale ten zapach był tak intensywny, iż trudno byłoby go nie poczuć. Tak mógłby pachnieć ktoś bardzo mądry i bardzo stary, ktoś znieruchomiał, pogrążony w głębokiej zadumie, ktoś tak silny, że nie pragnie niczego innego niż spokoju. Taki był dom Anny. Moim zdaniem niepotrzebna była jej ochroniarska firma. Komuś, kto chciałby ją skrzywdzić w tym miejscu, można było tylko serdecznie współczuć. Nie wiem, skąd i dlaczego narodziły się we mnie takie myśli. Może odczuwałem skutki pobicia, może w ogóle nie byłem do końca normalny? Podobało mi się jedno. Ten dom zaakceptował naszą obecność. Był niczym słoń, który podaje ci trąbę, byś mógł wygodnie zasiąść na jego grzbiecie. Znałem ludzi, którzy nie byli dobrzy dla słoń. Wy też możecie ich poznać, jeśli - czego wymaga grzeczność - zabierzecie ze sobą bukiet chryzantem. Musnąłem palcami belki ściany, tak jakbym witał się z obronnym psem, który powinien poznać mój zapach.

Pokój, do którego weszliśmy, umeblowano z elegancką prostotą. Wszystko w drewnie i ciemnym żelazie, niedźwiedzia skóra przy kominku, wyraźnie nie położona tylko na pokaz. Niemal wyobrażałem sobie nagie ciało Anny i ciała jej młodych kochanek splecione na tej ciepłej skórze i oświetlane różowawym płomieniem zarzających się węgli i brzoźowych bali. Na północnej ścianie stał duży stół o blacie zrobionym z przeciętego pnia. Dokładnie widziałem różowawe pasma sło i ciemnobure sęki, wszystko pociągnięte bezbarwnym lakierem. Przez chwilę zastanawiałem się, ile lat miało drzewo, które ścięto, by jego pień mógł posłużyć za tak oryginalny mebel.

- Ra-any... - Alicja rozglądała się wokół z autentycznym podziwem i dobrze to świadczyło o jej guście.

Nastolatka potrafiąca docenić piękno drewna i żelaza jest naprawdę kimś wyjątkowym. No, ale Alicja z całą pewnością wyjątkowa była. Pod prawie każdym względem.

- Na dole jest jeszcze kuchnia, spiżarnia i łazienka. Na piętrze salonik telewizyjny, no, ja go tak nazywam, i dwie sypialnie.

- A co jest w tej cudacznej wieży? - zapytała Alicja.

- Nic - zaśmiała się Anna. - Wieża stoi pusta w środku. Jedyne, co można zrobić, to wejść po schodach na taras i stamtąd obserwować gwiazdy. Albo opalać się, jak kto woli.

- Po co ktoś coś takiego zbudował? - Tym razem zapytałem ja.

- Ojciec poprzedniego właściciela, tego człowieka, od którego kupiłam dom, był podobno strasznym cudakiem. Poza tym astronomem amatorem. No, ale dość o tym, dom jaki jest, taki jest. Chcecie tu zamieszkać?

- Przecież wiesz - powiedziałem, a Alicja podeszła do Anny i objęła ją tak mocno, że Anna aż stęknęła.

- Boże mój, dziewczyno, skąd ty masz tyle sił? - zdumiała się. - Popatrz Aleks, wydawałoby się, że to takie chucherko.

Jeśli chodzi o Alicję, wiele rzeczy mogło się na pierwszy rzut oka wydawać i tylko niewiele z nich okazywało się prawdziwymi po lepszym poznaniu. Ale, rzecz jasna, darowałem sobie uwagi na ten temat.

- Zjemy obiad, potem pojedę - zdecydowała Anna. - Może być spaghetti z serem i sosem pomidorowym? Zresztą musi być, bo nic innego nie ma.

- Są oliwki - odpowiedziała Alicja.

- Dziecinko. - Anna tylko pokiwała głową. - Ja uwielbiam oliwki. - Bardzo mocno zaakcentowała słowo „uwielbiam”. - I wierz mi, że mogłaś najwyżej zobaczyć pusty słoik.

- Ależ nie - uparła się Alicja. - Sprawdź w szafce. Moja była szefowa otworzyła drzwiczki z uśmiechem niedowierzania, a potem z jeszcze większym niedowierzaniem wyciągnęła ze środka rękę. W dwóch palcach, tak ostrożnie, jakby się bała, że naczynie może ją ugryźć, trzymała wąski, wysoki słoiczek z czarnymi oliwkami.

- Rewelacja. - Postawiła oliwki na stole. - Nie mam pojęcia, jak mogłam je przegapić.

Anna, tak jak zapowiedziała, odjechała jeszcze tego samego wieczoru, a ja i Alicja zostaliśmy sami. Obowiązkami podzieliliśmy się znakomicie i bezkolizyjnie. Alicja robiła śniadania, ja szykowałem obiady, kolacje przyrządzaliśmy wspólnie. O dziwo, nie miała nic przeciwko zmywaniu naczyń i robieniu zakupów w oddalonym o dwa kilometry sklepie znajdującym się w czymś, co od biedy można było nazwać centrum wioski. W efekcie mogłem poświęcić czas kolejnemu przerabianiu scenariusza. Tyle, że w tej chwili robiłem to nie z rezygnacją, znużeniem czy strachem (strachem przed efektami zmian oraz reakcją na nie ważnych osób), lecz z pełnym zaangażowaniem i prawdziwą radością. Sceny jawiły się jak żywe przed moimi oczami, a wszystko nabierało realnych kolorów i kształtów.

Alicja okazała się idealną współlokatorką. Nie hałasowała, nie wynajdowała dziwnych problemów akurat wtedy, kiedy byłem pogrążony w pracy, nie przychodziła, mówiąc, że się nudzi i chciałaby coś porobić. Większość czasu spędzała na szczycie dziwacznej baszty, opalając się w kostiumie kąpielowym. Często z książką. Chciałem powiedzieć: z książką w rękę, ale nie wiem, jak było z jej czytaniem, ponieważ ile razy wchodziłem na górę, książka leżała na posadzce, a Alicja w założonych na nos smolistoczarnych okularach przeciwślonecznych przyglądała się przepływającym po niebie chmurom. Na szczęście pogoda była naprawdę znakomita. Niewielkie kłęby cumulusów zostawiały sporo miejsca dla słońca, a lekki orzeźwiający wiaterek przeganiał obłoki z miejsca na miejsce. Temperatura dochodziła

do trzydziestu stopni, lecz w domu Anny niezależnie od temperatury na zewnątrz panował zawsze miły chłodek. Tak więc nie wchodziliśmy sobie z Alicją nawzajem w paradę, a ona wydawała się doskonale rozumieć, że mogę w środku posiłku wstać do komputera i zostać już przy nim, nie kończąc obiadu lub herbaty. Nie nalegała, bym dawał jej czytać scenariusz, nie dopytywała się o poprawki. Nie spytałem jej nawet nigdy, czy przeczytała mój tekst, choć byłem pewien, że zanim wcisnęła go znanemu aktorowi, wcześniej sama przynajmniej przewertowała całość. Z całą pewnością nie była to lektura dla dziewczynek w jej wieku, chociaż nagromadzenie scen przemocy oraz seksu uznawałem za mniejsze niż w standardowym scenariuszu filmowym współczesnego kina. Kiedyś tylko, gdy siedziałem i stukalem na klawiaturze, podeszła do mnie, pachnąca słońcem i świeżo wypraną bawełnianą bluzką (rany nosa już się zagoiły, a ja, Bogu dziękować, nie straciłem węchu) i położyła mi dłoń na ramieniu.

- Chciałabym już go zobaczyć w kinie - powiedziała.

- Ja też. - Przerwałem pisanie i odwróciłem się w jej stronę. - Obejrzymy go razem. Przecież pójdziesz ze mną na premierę, prawda?

- Ciekawe, co powiesz ludziom. - Zaśmiała się i okręciła się na pięcie. - Że jestem kim? Zrobię herbaty, chcesz?

- Chcę - odparłem, lecz nie wróciłem już do pracy. Alicja miała rację. Ten problem kiedyś trzeba będzie rozwiązać. Oczywiście mogła, tak jak tutaj, uchodzić za moją siostrzenicę, jednak jak długo potrwa, zanim szydło wyjdzie z worka? Od czasu „Lolity” Nabokova ludzie jakoś wyjątkowo podejrzliwie patrzą na przyjaźń starszego faceta z nastolatką. Zresztą, może i mają rację. W końcu na przykład Henryk Sienkiewicz czy Lewis Carroll byli pedofilami. Niegroźnie platonicznymi, ale pedofilami. Muszę przyznać, że było to dla mnie niezrozumiałe, gdyż zapatrzone w to, co nazywamy „kobiecyimi kształtami”, nie rozumiałem ekscytacji ciałem przypominającym ciało młodego chłopca. Cóż, *de gustibus non disputandum est* mówiło stare bezsensowne powiedzenie. Bo w końcu o czymże mamy dyskutować, jak nie o gustach?

Alicja w jednym tylko wypadku wykazała ośli wręcz upór. Oto kazała mi zakopać wszystkie krecie dziury i zrównać usypane przez krety pagórki.

- Alicjo - tłumaczyłem jej - to nie ma najmniejszego sensu. Krety zaraz się pojawią z powrotem i znowu zrobią bałagan.

- Wiesz co, Aleks - odparła. - Mógłbyś chociaż tyle zrobić dla Ani.

Nigdy nie słyszałem, by zdrabniała czyjekolwiek imię i szczerze mówiąc, nigdy również nie słyszałem, by ktokolwiek nazywał Annę Anią (ja sam zrobiłem to jeden jedyny raz, zupełnie odruchowo). Anna zawsze była Anną, nawet dla najbliższych współpracowników, ba, nie byłem w stanie wyobrazić sobie, by Anią nazywały ją przyjaciółki czy kochanki.



- Sądzę, że mógłbym zrobić dla niej coś dużo bardziej pożytecznego - powiedziałem, jednak machnąłem ręką i nie spierałem się dłużej.

I tak wiedziałem, że mocno wbiła sobie ten pomysł do główki i nie daruje mi. A nie zamierzałem się kłócić o taki w końcu drobiazg. Poza tym wysiłek fizyczny nieźle robi ludziom spędzającym zbyt wiele czasu za biurkiem. Kiedy uporałem się już ze wszystkimi kretowiskami (praca okazała się nadspodziewanie męcząca, zwłaszcza że Alicja miała dar odnajdywania pagórków w miejscach, w których ja ich wcale nie widziałem), odłożyłem szpadel i powiedziałem z satysfakcją:

- I tak wrócą, a cała robota na nic. Zobaczysz.

Jednak krety, przynajmniej do czasu naszego wyjazdu, nie pojawiły się. Trzeba przyznać, że Alicja nie manifestowała triumfu i nie powiedziała nic w rodzaju: „A widzisz, Aleks, miałam rację”. Po pierwsze, takie słowa nie były w jej stylu, po drugie, wiedziała, że ja wiem, i to jej doskonale wystarczało.

Dni w domku Anny toczyły się jednostajnym rytmem. Jednostajnym, jednak bynajmniej nie nużącym. Są ludzie, którzy czerpią radość z oddawania się sportom ekstremalnym, którzy szukają przygód na końcu świata, dla których niebezpieczeństwo i niewygody są chlebem powszednim. Są też ludzie tacy jak ja, których przygoda toczy się wewnątrz ich własnego umysłu. No, a może poza tym byłem zbyt leniwy, wygodny i strachliwy, by podróżować po amazońskiej puszczy czy eksplorować Saharę? Przez cały miesiąc spędzony u Anny nie nastąpiło nic niespodziewanego, nic cudownie radosnego ani nic nieznośnie przykrego. Po warszawskich awanturach nie mogłem zresztą myśleć o tym spokojnym życiu inaczej, jak z przyjemnością. I tylko jeden jedyny dzień był inny niż wszystkie. Zaczął się standardowo - od wspólnego śniadania i brazylijskiej telenoweli, którą ścierpiałem, tak jak i w poprzednie ranki, z uwagi na Alicję. Ale pod koniec dnia tuż przed kolacją Alicja przypomniała sobie, że nie kupiła masła i mamy jeszcze dwadzieścia minut do zamknięcia sklepu.

- Daj spokój - powiedziałem. - Zjemy chleb z majonezem zamiast masła.

- Aleks, ja nie lubię majonezu - odparła chłodno. Zdecydowałem się jej towarzyszyć, bo uznałem, że spacer oraz odetchnięcie świeżym powietrzem przydadzą się po dniu spędzonym przy ekranie monitora. W ten właśnie sposób pośrednio uratowałem, jak się później okazało, życie dwóm ludziom. Inna sprawa, czy nagły dar losu i zbieg okoliczności potrafili potem wykorzystać. No, to już nie była moja sprawa. W każdym razie tego wieczora wyszliśmy z domu wprost na ogniście czerwone zachodzące słońce. Ja pogrążony w myślach o właściwym ułożeniu dialogów, Alicja ponagląca nas i obawiająca się, że przyjdzie nam pocałować klamkę. Zwłaszcza że wiadomo, iż godziny działania sklepików na wsiach i w małych

miastach są tylko piękną teorią, a praktyka zależy od tego, czy ekspedientka właśnie nie ma jakiejś niezwykle ważnej sprawy do załatwienia. Tym razem jednak się udało. Sklep był otwarty, ekspedientka leniwie przeglądała „Tele Tydzień”, kilkanaście rodzajów masel i margaryn chłodziło się w wielkiej oszklonej gablocie. Alicja jak zwykle wybrała masło fińskie (twierdziła, że jak już je się takie napakowane cholesterolom paskudztwo, to trzeba chociaż wybierać paskudztwo najlepszego gatunku), ja zdecydowałem się jeszcze na papierosy i grzecznie udaliśmy się w kierunku domu. Kiedy wychodziliśmy zza rogu starego drewnianego domu, niemal wpadliśmy na dwóch mężczyzn będących, jak to się ładnie mówi, w stanie upojenia alkoholowego. Pierwszy był ubrany w całkowicie przepoconą bawełnianą koszulę i pomięte bordowe spodnie, a drugi nosił się z wiejską elegancją (zapewne był to strój, w jakim uczestniczył w porannej mszy) - w szarych spodniach w paseczki i marynarce z szerokim kołnierzem.

- Kurwa - powiedział ten pierwszy, bo musiał zatoczyć się na ścianę, żeby nie potraćić Alicji. - Uważaj, jak leziesz.

- Sam uważaj, jak leziesz. - Wziąłem Alicję za rękę i chciałem przejść przez ulicę, by znaleźć się dalej od nich.

Wtedy ten w garniturze, wyraźnie trzeźwiejszy od swojego kumpla, zastąpił nam drogę.

- To ten pisas, co mięska w samku - wyseplenił. Zauważyłem, że ma wykruszone obie jedyńki.

No tak, Anna wspominała, że miejscowi od lat nazywali jej dom zamkiem, rzecz jasna z uwagi na nikomu nieprzydatną basztę. Ciekawe tylko, skąd wiedzieli, że jestem pisarzem?

- Pisarz - powtórzył pierwszy, jakby to było zupełnie nowe słowo i utrwał je sobie, żeby na przyszłość już pamiętać.

- Taaa, pan pisas. - W głosie drugiego wyraźnie wyczułem nutę zaczepki.

Trochę lekceważenia, trochę agresji i ogromną dawkę kompleksu niższości.

Pierwszy znowu, tym razem bez niczyjej pomocy, zatoczył się na ścianę budynku, a flaszka niesiona w plastikowej reklamówce niebezpiecznie jęknęła. Ukucnął przy tej butelce i zobaczyłem, że ma łysinę pokrytą różowymi plamami egzemy.

- Na-napijesz się? - Spojrzał na mnie mętym wzrokiem.

- Nie, dziękuję. - Chciałem odejść, ale drugi z mężczyzn znów postąpił krok do przodu i ponownie zagroził nam drogę.

Czułem odór niemytego, spoconego ciała i taniego tytoniu. Mężczyzna był wysoki, krępy i miał duże spracowane dłonie. Pewnie nie dałbym mu rady, gdyby był trzeźwy, lecz teraz nie powinienem mieć z nim kłopotów. Jednak bójka nie była wyjściem. Brakowało mi

jeszcze tylko konfliktów z miejscowymi! Anna na pewno byłaby zachwycona, wyciągając mnie tym razem z okolicznego posterunku albo okolicznego szpitala.

- W porządku. - Przywołałem na twarz rozbijający uśmiech. - Idź do domu, kochanie, a ja tu chwilę zostanę z panami.

- Nie - odparła Alicja takim tonem, że wiedziałem, iż jakiegokolwiek namowy nie zrobią na niej już żadnego wrażenia.

- Niegsecna mała. - Uśmiechnął się paskudnie ten trzeźwiejszy, a ja zobaczyłem, że oprócz jedynek nie ma także żadnego zęba po prawej stronie, poza spiczastą wampirzą dwójką.

- Poły-czku - czknął facet kucający przy murze i zaczął gmerać w reklamówce.

- Ano, po łycku - przytaknął szczerbaty, cały czas uważnie mnie obserwując. Z paskudnym uśmiezkim przylepionym do wąskich warg.

Jego pijanemu koledze w końcu udało się wyciągnąć z reklamówki litrową butelkę po wodzie mineralnej. Butelka była przezroczysta, więc miałem okazję dobrze się przyjrzeć lekko żółtawemu płynowi, który w niej bulgotał.

- Samopał - pochwalił się szczerbaty. - Palce lizać.

Łysy mężczyzna wstał z kolan, mało co nie wypuszczając butelki. Udało mu się ją złapać w ostatniej chwili, przy samej szyjce.

- Kkkurwa - zająknął się, a szczerbaty podszedł do niego i wyjął mu flaszkę z dłoni.

Zdjął nakrętkę i schował ją do kieszeni. Zbliżył szyjkę butelki do nosa.

- Ale jeeedzie - rzekł z głęboką satysfakcją w głosie. - Mocny towar. Pij! - Wyciągnął szkło w moją stronę.

Wahałem się tylko przez chwilę. Wziąłem butelkę (była niebezpiecznie ciepła!) i już miałem przechylić do ust, kiedy Alicja uderzyła mnie z rozmachem w dłoń. Butelka wymknęła mi się z palców i poleciała na asfalt. Rozbryznięta się na setki kawałeczków, z których jeden odbił się tak wysoko, że zarysował mi policzek. Wokół uniósł się odurzający zapach bimbrowy.

- Co je, kurwa? - wrzasnął łysy i chciał poderwać się na nogi, ale potknął się o własne buty i zarył twarzą w krawężnik.

Jego kumpel skoczył w kierunku Alicji z uniesioną ręką, więc huknąłem go pod nos podstawą dłoni. Jęknął i zwałił się na kolana.

- Zacznę krzyczeć - powiedziała Alicja bardzo głośno i bardzo dobitnie. - Powiem policji, że chciałeś mnie obmacać, zbrojeńcu!

Szczerbaty patrzył na nią z kłęczek i spokojnym ruchem wytarł rękawem koszuli krew, która leciała mu z nosa czerwoną lepką strugą. Szybko sięgnąłem po portfel. Niestety,

najmniejszym nominałem było pięćdziesiąt złotych, lecz wyjąłem bez wahania banknot i włożyłem szczerbatemu w kieszonkę marynarki.

- Przepraszam za dziewczynkę - powiedziałem. - Ona nie lubi, kiedy się pije. Kupcie sobie, panowie, butelkę w zamian za tę straconą...

Szczerbaty patrzył na mnie bez słowa i nie wstawał z klęczek. Jego kumpel natomiast zaczął głośno wymiotować pod murem. Słysząc było tylko przeraźliwe rzygnięcia, które okraszał bełkotliwymi przekleństwami.

- Do widzenia. - Wziąłem Alicję za rękę.

- Aleks - syknęła, kiedy odeszliśmy już wystarczająco daleko - dlaczego dałeś im pieniądze?

- A chciałybyś, żeby oni i ich kumple przyszli do nas w nocy? Z miejscowymi nie ma co zadzierać, Alicjo. Jeśli można kupić sobie spokój za tak małą cenę, to trzeba to zrobić. A w zasadzie - zatrzymałem się i spojrzałem na jej zaciętą twarz - dlaczego stłukłaś butelkę? To ja, do cholery, powinienem cię ochrzanić! Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Wypiłbym z nimi parę łyków i poszlibyśmy dalej.

- Nie! - Szarpnęła się, uwalniając swoją dłoń z mojej.

- Co to znaczy: nie? - Byłem naprawdę zły i nie zamierzałem tego ukrywać.

- Nie chciałam, żebyś z nimi pił i tyle. Idziemy? Jestem głodna.

Ten wieczór upłynął w naprawdę fatalnej atmosferze. Alicja była trochę smutna i trochę zła, na moje pytania odpowiadała mruknięciami albo półsłówkami. W końcu dałem jej spokój i zabrałem się do pracy. Około jedenastej rzuciła z progu pokoju krótkie „dobranoc, Aleks” i poszła na górę do swojej sypialni. Ja siedziałem jeszcze długo przy komputerze, na tyle długo, by zobaczyć, jak świt zastępuje noc, i usłyszeć świergot ptaków. Nie jestem miłośnikiem przyrody, więc nie zachwyciła mnie perspektywa zasypiania przy tym harmidrze, zwłaszcza że wydawało się, iż ptaki za miejsce pogaduszkowych spotkań wybrały właśnie dach naszego domu. Byłem zmęczony, ale również w dziwnym nastroju podekscytowania. Zbliżał się termin oddania scenariusza i ciekawiło mnie, jak się spodoba producentom. Ba, w zasadzie nie brałem nawet pod uwagę, że może się nie spodobać. To oznaczałoby znowu horrendalną katastrofę, a ja na katastrofy nie mogłem sobie już pozwolić. Przewracałem się w łóżku z boku na bok i nie mogłem zasnąć. Moje myśli krążyły wokół filmu, wokół Alicji, wokół zmian, jakie ostatnio się wydarzyły, i wszystko to wydawało mi się czasami jakimś dziwnym na poły snem, na poły jawą. Wreszcie usnąłem, jednak nie dane mi było zbyt długo zaznać spokoju. Obudziło mnie przeraźliwie głośne stukanie do drzwi. Ktoś wyraźnie nie żałował kostek i echo szło po całym domu.

- Jeezus - mruknąłem i zwlokłem się z łóżka. Przez ciężkie zielone zasłony przedzierał się pełny blask dnia. Zerknąłem na zegarek. Była dopiero jedenasta - zabójcza pora dla kogoś, kto przywitał świt przy komputerze. Podeszedłem do drzwi.

- Kto tam? - chrypnąłem.

- Pan otwozy - usłyszałem podenerwowany sepleniący głos, który poznałem natychmiast.

To był człowiek z wykruszonymi jedynekami, który zaczepiał mnie i Alicję wczorajszego wieczoru.

- Proszę otwożyć - dodał ciszej z jakimś dziwnie żalonym naleganiem.

Odsunąłem zasuwkę. Gdyby była noc, kazałbym mu iść w diabły, nie spodziewałem się jednak, by szukał zwady o jedenastą rano. Poza tym nie sprawiał wrażenia człowieka, który przyszedł się mścić za wyimaginowane krzywdy. Czyżby potrzebował kasy na następną flaszkę? Nie zamierzałem stać się instytucją charytatywną dla miejscowych alkoholików. Kiedy uchylilem drzwi, zobaczyłem, że stoi na progu. Był uczesany, ogolony i ubrany w świeżo wypraną jasną koszulę oraz spłowiałe dzinsy. Czulem wyraźnie zapach taniej wody po goleniu i proszku do prania. O dziwo, nie wyczułem zapachu alkoholu. Mężczyzna trzymał w dłoniach sporą torbę z czarnego skaju.

- Cy mogę wejść, proszę pana? - spytał proszącym tonem, a ja zdumiony przepuściłem go do środka.

- Niech pan siada - powiedziałem.

Przysiadł na samym brzeжку krzesła, torbę ułożył na kolanach. Zauważyłem, że wbił paznokcie w skaj, i dostrzegłem również drżenie jego palców.

- Ja do pana, ale w zasadzie najbardziej do dziewczynki... - rzekł, przetykając ślinę.

- Do dziewczynki? O co panu chodzi?

- Ta butelka... - Teraz objął pasek torby, aż pobieleły mu knykcie. Patrzył gdzieś na czubki własnych butów. - Co ta mała rozbiła, wie pan...

- Wiem.

- Ta samoróba sąsiada, co mieliśmy ją wypić - spojrział na mnie i zaraz uciekł ze wzrokiem - to był metyl...

- Co takiego?!

- Sąsiada zabrali jescie w nocy. I swagra i jescie dwóch chłopaków. Pan nam dał forszę, to kupiliśmy litra i wypiliśmy z Heńkiem nad seką. Jus nie wróciliśmy tam, tylko posliśmy do domu. A rano zona mnie obudziła...

- Co się z nimi stało? - Usiadłem na krześle i podałem szczerbatemu papierosa, potem zapaliłem sam.

- Wszyscy... - Twarz nagle skurczyła mu się i zobaczyłem, że ma łzy w oczach. -  
Wszyscy...

Nie musiał kończyć. Przymknąłem oczy. Czy te kilka łyków, które wypiłbym z nimi, zabiłyby mnie, czy tylko bym się pochorował? Jedno było pewne: złość i gniew Alicji może nie uratowały życia mnie, ale na pewno uratowały życie tym dwóm.

- Jezus Maria - powiedziałem w zasadzie do siebie samego, ale szczerbaty podniósł wzrok i spojrzał na mnie.

- Ta dziewczynka to anioł. - Nie wstydził się łez, które płynęły mu ciurkiem po policzkach. - Zona powiedziała: idź i podziękuj temu dziecku, bo uratowało ci życie. Psysiągłem sobie, że nigdy już nie tknę berbeluchy. - Huknął się w pierś pięścią. - Tylko sklepową będę pił, żadnej innej, jak Boga kocham.

Usłyszałem kroki i zobaczyłem, że Alicja, ubrana w popielaty dres, stoi w progu. Mężczyzna też ją zobaczył i zerwał się z krzesła.

- Dziękuję ci, dziewczynko - chlipnął. - I moja zona, i moje dzieci. Wszyscy ci dziękujemy...

Niezgrabnie otworzył torbę i wyjął z niej ogromnego pluszowego misia oraz wielką torbę czekoladek.

- Proszę - powiedział. - Nie miałem więcej pieniędzy, ale co tylko mogłem...

Alicja spojrzała szybko w moją stronę, potem podeszła do mężczyzny.

- Dziękuję - rzekła cicho.

Wzięła z jego rąk misia, który miał poczciwy i sympatyczny pysk skrzywdzonego głodomora. Przytuliła maskotkę do piersi.

- Cukierki proszę dać dzieciom. Ja nie mogę jeść słodczy. Naprawdę. - Spojrzała pluszakowi prosto w mordkę i uśmiechnęła się. - Misio jest śliczny. Dziękuję.

Mężczyzna niezgrabnym ruchem ujął rękę Alicji i pocałował w przegub dłoni. Potem odwrócił się do mnie.

- Pójdę już - powiedział z nagłym zakłopotaniem i otarł twarz, jakby teraz dopiero zawstydził się, że wciąż ma na niej ślady łez. - Dziękuję naprawdę bardzo.

Odprowadziłem go do progu i zamknąłem za nim drzwi. Przedtem jeszcze tylko uściśnął mi rękę. Szybko i mocno. Wróciłem do pokoju. Alicja siedziała w fotelu z zamysłonym wyrazem twarzy, gładząc misia po łebku.

- Ale się narobiło - stwierdziłem. Pokiwała głową.

- Aleks, napisałeś, że ratując człowiekowi życie, bierzemy odpowiedzialność za jego późniejsze czyny. Czy to prawda?

No cóż, a więc nie tylko przeczytała mój scenariusz, ale jeszcze dobrze zapamiętała niektóre fragmenty. Och...

- Mój bohater też się zastanawia nad tym problemem - powiedziałem ostrożnie. - Jednak jeśli pytasz mnie o zdanie, odpowiem ci, że nie: to nieprawda.

- Dlaczego? - Cały czas gładziła misia po pluszowej łepetynie.

- Chociażby dlatego, że lekarze nigdy nie wyleczyliby się z poczucia winy. Przecież, jeśli zobaczysz kogoś tonącego, rzucasz się na pomoc, nie pytając, kim jest, co do tej pory robił i co zamierza jeszcze robić, prawda? Czujesz tylko, że twoim obowiązkiem jest ratowanie życia.

- To głupie - powiedziała.

- Głupie? Współczucie i miłosierdzie są głupie?

- Nie wiem. - Rzuciła misia na kanapę. - Jeden kolega spytał księdza na religii, czy przeniósłby się w przeszłość i zabił Hitlera, kiedy Hitler był jeszcze dzieckiem?

- I co? - zainteresowałem się, bo podobne kwestie wielokrotnie stawiano w książkach, które niegdyś czytałem.

- Powiedział, że by nie zabił. - Wzruszyła ramionami. - Głupie, prawda?

- A może po prostu nie należy ingerować w wyroki przeznaczenia? - zapytałem. - Żeby skutki nie okazały się gorsze od tego, przed czym się bronimy?

- Przeznaczenie - prychnęła i zerwała się z krzesła. - Zrób mi śniadanie, Aleks! To jest twoje przeznaczenie na najbliższe pół godziny!

Wstała i postawiła wodę, potem naląła mi herbaty do białego kubka z czerwonym sercem.

- Patrz - zdziwiłem się. - W takim samym kubku zrobiłem ci herbatę, kiedy pierwszy raz do mnie przyszedł.

- Coś takiego... - Znowu wzruszyła ramionami i odwróciła głowę, lecz byłem pewien, że sama doskonale o tym wie.

Do końca dnia nie rozmawialiśmy o całej sprawie. Alicja nie chciała wyjść do sklepu i dobrze ją rozumiałem, bo historia na pewno rozeszła się już po wsi. Musiała krępować się spojrzeń, pytań, może nawet podziękowań.

Tak więc wieczorem obejrzała kolejną ze swoich ulubionych telenowel, zgarnęła pierwszą z brzegu książkę z półki i poszła spać. Ja tym razem postanowiłem nie zarywać nocy i pracowałem zaledwie do jedenastej. Zresztą pracowałem, to zbyt dużo powiedziane. Przeczytałem część scenariusza i zrobiłem kilka kosmetycznych poprawek, potem zabawiałem się układaniem komputerowego pasjansa. Z miernymi niestety efektami, bo moje myśli cały czas krążyły wokół dzisiejszego, a raczej wczorajszego wydarzenia. Nie mogłem już w żaden

sposób ignorować faktu, że Alicja nie tylko zmieniała moje życie, ale wywracała je do góry nogami.

- Aleks - powiedziałem do siebie. - Ta dziewczynka zdecydowała o twojej karierze i o losach twojego romansu. Ona też uratowała twój tyłek z aresztu, a teraz ocaliła ci życie.

Zapaliłem papierosa, chociaż w ustach czułem już potworny nikotynowy niesmak.

- I dała ci poczucie własnej wartości, Aleks - szepnąłem do siebie, wypuszczając z ust smużkę dymu. - Przypomniała ci, jak to jest stawać w obronie uciśnionych, być uznanym, jak to jest mieć piękną kobietę i jak to jest walczyć twardo z innym facetem, a nie wycofywać się z podkulonym ogonem. Dała ci nowe życie, kolego.

Zdusiłem papierosa w pełnej petów popielniczce i wyłączyłem komputer. Jasne, że mogłem wierzyć, iż moje życie potoczyłoby się gładko i pięknie również bez udziału Alicji. Równie dobrze mogłem wierzyć, że Książyc został ulepiony z kuli szwajcarskiego sera. Wziąłem prysznic, założyłem bokserki i z książką w ręku pomaszerowałem do sypialni. Tam czekała mnie kolejna niespodzianka.

W pościeli leżała Alicja, oparta na wysoko postawionych poduchach, i paliła papierosa. Obok niej stała popielniczka z piętrzącym się kopczykiem niedopalków, w pokoju było pełno dymu.

- Co tu robisz? - zdumiałem się i postanowiłem zignorować, że kopci fajki. Z całą pewnością nie oczekiwała teraz wyrzutów czy połajanek.

Wydmuchnęła dym przez stulone w dzióbek usta i starannie rozgniotła papierosa w popielniczce.

- Nie mogłam zasnąć - odparła, jakby to miało być wytłumaczenie.

Usiadłem obok niej.

- O czym myślałaś?

- O tym, co powiedziałeś, Aleks. Czy wolno zmieniać przeznaczenie...

- Wiedziałaś, że to trucizna, prawda? - Poczulem autentyczny dreszcz sunący od nasady karku przez kręgosłup aż po końce palców u stóp.

- Mogłam cię tylko odciągnąć albo zacząć krzyczeć, albo zrobić cokolwiek innego. A ja zbiłam butelkę - mówiła monotonnym głosem i patrzyła w ścianę za moimi plecami.

- Uratowałaś im życie.

- Może... - Spojrzała na mnie bardzo poważnym wzrokiem. - Jednak wszystko kosztuje, Aleks.

- Co to znaczy?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami, tym razem nie ze zniecierpliwieniem, lecz bezradnie. - Przytulisz mnie?



Objąłem ją niezgrabnie, położyła mi głowę na ramieniu. Tkwiliśmy przez długą, długą chwilę w takiej niewygodnej pozycji, aż w końcu jej oddech stał się równy i spokojny.

- Kim ty jesteś, Alicjo? - szepnąłem jej w ucho, pomimo że wiedziałem, iż mnie nie słyszy, a nawet gdyby słyszała, nie odpowie.

Potem wziąłem ją ostrożnie na ręce i zaniósłem na piętro do sypialni. Kiedy wróciłem na dół, usiadłem na niedźwiedziej skórze przed kominkiem i zacząłem bez celu gmerać patykami w popiele. Miałem jakieś przejmujące uczucie, że coś się musi stać. Coś złego. Próbowałem odegnać od siebie te myśli i wręcz cieszyłem się, że już następnego dnia wyjeżdżamy. Ale nie mogłem powstrzymać się od uczucia, że zawisł nad nami cień. I że Alicja doskonale o tym wiedziała. Tej nocy zeszła do mojej sypialni jeszcze raz. Otworzyła drzwi i podeszła do łóżka. Biała, szczupła, jaśniejąca w mroku niczym widmo dawno zmarłej księżniczki.

- Aleks, czy cieszysz się, że żyjesz? - zapytała, a po napięciu w jej głosie poznałem, że to pytanie ma dla niej głębsze znaczenie.

- Tak. I ta radość jest najpiękniejszą rzeczą, jaką od ciebie dostałem.

- Będziesz o tym pamiętać, prawda? - powiedziała szeptem i wycofała się z pokoju równie cicho, jak do niego weszła.

Potem śniłem o czarnym kruk, który siedział na mojej piersi. Czulem szpony wbijające się w skórę.

- Nie puszca się wolno wrogów - szepnął, choć Bóg mi świadkiem, nie wiem, w jaki sposób kruki mogłyby szeptać. - Wrogom wydziobuje się oczy.

- Miłosierdzie - przypomniałem.

Nachylił się nade mną, a w jego oczach buzował ogień.

- Przyjdzie czas, kiedy nie będziesz już potrafił wymówić tego słowa - obiecał.

- Po moim trupie - odparłem.

- Nie do końca - zakrakał. - Wierz mi: nie do końca...

\* \* \*

Wracać musieliśmy z jedną przesiadką na maleńkim dworcu kolejowym. Do odjazdu pociągu zostały jeszcze prawie dwie godziny, zatem kupiłem gazetę i poszedłem do zatęchłego obskurnego barku, żeby wypić herbatę i zjeść kanapkę. Alicja stanęła tylko na progu, rozejrzała się wokół i powiedziała:

- O, nie, Aleks. Wołami mnie tu nie zaciągniesz.

- Co więc chcesz robić?

- Pochodzę sobie - zdecydowała. - Dasz mi trochę pieniędzy? Może znajdę coś w sklepie...

- Tutaj? - zdziwiłem się, lecz posłusznie otworzyłem portfel i dałem jej pięćdziesięciozłotowy banknot. - Tylko się nie zawierusz, dobra?

- Oj, Aleks, mamy dwie godziny - prychnęła. - Ja bym to miasto mogła obejść w tym czasie dziesięć razy. A za tę kasę - spojrzała na banknot - pewnie je sobie kupię...

- Pewnie tak - zgodziłem się z nią. - Jednak uważaj. Na następny pociąg musielibyśmy czekać do wieczora.

- Marudzisz... - Okręciła się na pięcie i pomaszerowała do wyjścia.

Odprowadziłem ją wzrokiem i usiadłem przy jednym z rozchwierutanych metalowych stolików. Kawałkiem gazety starłem tłustą plamę po sosie czy zupie i przyjrzałem się uważnie szklance z herbatą. Na szkle wyraźnie widziałem zarys niezmytej szminki.

- O, matko - jęknąłem i poszedłem zrobić awanturę.

Kiedy dostałem już herbatę w czystej szklance, spokojnie zagłębiłem się w lekturze. Na świecie jak zwykle nie działo się nic ciekawego: wojny, katastrofy, rewolucje i przesilenia rządowe. W Polsce następny premier zapowiadał, że jego rząd doprowadzi kraj do cudu gospodarczego, socjaliści mieli kolejne doskonałe pomysły, jak ukraść ludziom ich z trudem zarobione pieniądze, by je rozdać własnym kumplom, a w małej wiejskiej parafii wykryto pedofilską aferę. Ot, dzień jak co dzień. Po wieściach politycznych oraz gospodarczych przeczytałem uważnie dział sportowy i ucieszyłem się, gdyż po ostatnim meczu nasza drużyna futbolowa miała jeszcze „matematyczne szanse”, by wyjść z grupy eliminacyjnej. Wystarczyło tylko wygrać z Włochami w Rzymie, pod warunkiem, że Anglia przegra u siebie z San Marino co najmniej cztery do zera. Ha, a taki Kazachstan w ogóle nie miał żadnych szans! Zaiste, wielka jest polska myśl trenerska! Zerknąłem na zegarek. Do odjazdu pociągu zostało niewiele ponad pół godziny. I wtedy odezwał się dzwonek mojej komórki. Zerknąłem na wyświetlacz, lecz numer ukazał się jako nieznanym.

- Halo - powiedziałem.

- Aleks? - Z całą pewnością nie znałem głosu, który dobiegał ze słuchawki. Chociaż... coś mi przypominał. Taki stary zgorzkniały głos. Gdzie ja go wcześniej słyszałem?

- Przy telefonie.

- Słuchaj mnie uważnie, Aleks. Mam twoją małą. Tutaj, niedaleko stąd. Powiem ci, gdzie masz iść i wtedy pogadamy.

- Co to, kurwa, ma być? - Wrzaskiem wyrwałem z drzemki bufetową, która spojrzała na mnie trochę zaintrygowana, a trochę zła. - Gdzie jest Alicja? Kim ty, kurwa, jesteś?

- Zamknij się, Aleks, i słuchaj. Nie rozłączaj się, a ja powiem ci, jak masz iść. Jeśli nie przyjdiesz albo zobaczę kogoś z tobą, mała umrze. Zrozumiałeś?

Wciągnąłem powietrze głęboko w płuca. Lewą ręką namacałem paczkę papierosów.

- Rozumiem - powiedziałem wolno. - Nie rozłączam się, a ty mnie poprowadzisz. Przyjdę i oddasz mi dziewczynkę.

- Z grubsza właśnie tak to wygląda. - Usłyszałem śmiech zakończony kasznięciem. Potem mój rozmówca odplunął ślinę. - Tylko pospiesz się, bo małą będzie bolało.

- Ty gnoju! - Poderwałem się z krzesła i ruszyłem do drzwi.

- Oszczędzaj płuca, Aleksiku - zaśmiał się człowiek. - Wyszedłeś przed bar?

- Tak.

- Przy ulicy prowadzącej w dół jest domek z pelargoniami. Skręć przy nim w drogę w lewo.

- W porządku.

Minąłem drewniany schludny domek ze stojącymi w oknach doniczkami pełnymi bujnych czerwonych pelargonii. Droga po jego lewej stronie nie była już pokryta asfaltem, lecz popękanymi kocimi łbami.

- A teraz cały czas prosto. Prościuteńko jak w mordę strzelił, Aleksiku. Radzę się pospieszyć, bo... - urwał nagle. - Oops, czyżby dziewczynka krzyczała?

Wiedziałem, że celowo mnie zwodzi, lecz i tak nie wytrzymałem. Serce biło mi jak dzwon, czułem je gdzieś głęboko w gardle, w oczach, w mózgu, wszędzie.

- Jeśli jej coś zrobisz, znajdę cię i wykończę, skurwysynu - wydyszałem. - Rany boskie, człowieku, nawet nie przypuszczasz, jak długo będziesz zdychać...

- *One, two - szybko chodź Aleksiu tu.*

*Thre, four - oto, szurku, jest twój tor.*

*Five, six - może będzie serek, może nic* - zanucił obrzydliwym starczym dyszkantem.

- Beznadziejne - warknąłem. - Gdzie teraz? - krzyknąłem, bo droga się rozwidlała.

Kocie łby skręcały w lewo, a wyboista rozjechana droga ze śladami po ogromnych oponach traktorów i kombajnów prowadziła prosto.

- A gdzie jesteś? - zapytał niewinnym tonem. Wyjaśniłem mu najspokojniej, jak tylko potrafiłem.

- Dobra, Aleksiu. Prosto, prościuteńko, prościutko. Gdy zobaczysz kapliczkę z Matką Boską, skrećisz przy niej w prawo w taką ścieżkę przy lesie. Paniał?

- Tak.

Matka Boska z wiejskiej kapliczki była zdumiewająco podobna do tej, która wpatrywała się w smutne szare mury mojego domu. Miała takie same wyprane chabrowe oczy i wyraz

melancholii na twarzy. Tak jak nakazał porywacz, skręciłem w ścieżynkę idącą wśród wysokich traw. Po prawej ręce miałem pole pełne dorodnego złotego zboża, po lewej wyrastał młody liściasty las.

- Później dawaj w lewo - rozkazał tym razem chłodnym, oschłym tonem. - I prosto, aż nie zobaczysz płotu i szopy.

- Dobra. Tam właśnie jesteś?

- *Może tak, może nie, może właśnie Kocham cie* - znowu zanucił, potem słyszałem, jak kaszle, charczę i słuwa.

Jezus Maria, teraz dopiero zacząłem czuć prawdziwe przerażenie, trafiłem na jakiegoś cholernego świra. Dlaczego porwał Alicję? Dla pieniędzy? Bogu dziękować, coś chciał ode mnie, bo gdyby był zwykłym zbrojcem, zabiłby ją albo wykorzystał. A tak istniała szansa, że wszystko jeszcze dobrze się skończy. Widziałem wiele filmów i wiedziałem, że w stosunku do porywaczy, po pierwsze, trzeba być twardym, a po drugie, trzeba dać im nadzieję, że ich żądania zostaną zrealizowane.

- Chcę ją usłyszeć, świrze - warknąłem do słuchawki. - Chcę wiedzieć, że żyje i wszystko z nią w porządku.

- Aleksiku, ty chcesz stawiać warunki? - Ze słuchawki tym razem dobiegał zjadliwy szept. - A może obetnę dziewczynce paluszek? Ciach, ciach, ciach. - Trzy ostatnie słowa prawie wykrzyczał. - I zostanie jedynie kikucik. Ciotynato, Aleksiku? - znowu zanucił.

- Dogadamy się - powiedziałem pojednawczo, bo ten człowiek coraz bardziej mnie przerażał. Koszula lepiała mi się do pleców jak mokra ściera. - Przecież po to mnie wezwałeś, prawda? Żebyśmy się dogadali. Tylko nie rób dziecku krzywdy. Dam ci, co chcesz, serio.

- Ja to wiem, Aleksiku - przyznał niemal łagodnie. Las się skończył, a na łące kilkadziesiąt metrów dalej zobaczyłem wysoką drewnianą szopę otoczoną półtorametrowej wysokości płotem z desek. Wypatrzyłem furtkę i pobiegłem w jej stronę.

- *Sniff, sniff, już w majciochy sikam, bo wyczułem Aleksika* - zarzęził głos w słuchawce.

Odjąłem na chwilę, telefon od ucha, bo pływał mi w dłoni. Wytarłem i aparat, i palce o nogawkę spodni. Kiedy otwierałem furtkę, zza rogu domu wyskoczył pies. Nieduży, ze sparszywiałą sierścią, stulonymi uszami i podwiniętym ogonem. Nawet nie szczekał ani nie warczał, tylko krążył przy furtce, szczerząc cienkie, ostre zęby. Właściwie wręcz tańczył przy tym płocie, przyglądając mi się żółtymi oczami.

- Tu jest pies - zameldowałem.

- Może odejdzie, co? - zadrwił głos. - Poczekamy spokojnie. Nie spieszy się nam nigdzie, prawda Aleksiku?

Obiecałem sobie, że go zatłukę. Usiądę na nim i będę bił tak długo, aż ten drwiący głos przejdzie w pełen bólu i strachu skowyt. Rozgniotę mu twarz na miazgę. Nigdy nie będzie się już śmiał ani kpił. Będę mu wyłamywał palce ze stawów. Jeden po drugim. Potem spalę mu jaja zapalniczką... Spokojnie. Jeezu, jak bardzo chciałem zobaczyć jego przerażenie oraz ból! Ale... Spokojnie...

Pchnąłem furtkę, pies w tym samym momencie skoczył niczym wybity z trampoliny. Trafiłem go czubem buta w powietrzu i poleciał na bok. Nawet nie zaskuczał. Zebrał się w sobie, odskoczył i tańczył znowu kilkanaście kroków dalej, zajadle szczerząc zęby. Poczulem ból w łydce. Musiał mnie jednak drasnąć. Miałem nadzieję, że nie był wściekły. Zobaczyłem zatrzaśnięte drzwi szopy i szedłem wolno w ich stronę, cały czas starając się odwracać twarzą do psa. Pierwszy kopniak musiał go czegoś nauczyć, bo teraz trzymał się z dala, ale wiedziałem, że jeśli tylko dam mu okazję, natychmiast rzuci się do ataku. Szarpnąłem drzwi, a one otwały się z jazgotliwym skrzypieniem nigdy nieoliwionych zawiasów. Wskoczyłem do środka i zatrzasnąłem je za sobą. Pies w ostatniej sekundzie cofnął pysk i usłyszałem wyłącznie chrobot pazurów na drewnie.

- Dzień dobry, Aleksiku. - Tym razem mężczyznę usłyszałem nie w słuchawce, a na własne uszy.

Stał kilka metrów ode mnie za ogromnym niechlujnie zbitym stołem z nieheblowanych ciemnych desek. Przed nim leżały telefon komórkowy oraz siekiera. W zasadzie nie siekiera, a toporek na półmetrowym drzewcu. Ostrze było do połowy pociągnięte czerwoną błyszczącą farbą i w pierwszej chwili serce omal nie stanęło mi w piersiach, kiedy pomyślałem, że to krew. Potem rozpoznałem tego człowieka. Mimo że był ubrany w brudny szarozielony drelch i wełnianą czapczkę zatkniętą na sam czubek głowy. To był Żyd, z którym wdałem się w długą i niepotrzebną dyskusję na mojej ulicy. Czy raczej człowiek, który zabawiał się przebieraniem za Żyda. Teraz nie miał pejsów, zamiast jarmułki była tylko ta ohydna czapczka, a kilkudniowy zarost pokrywał mu policzki brudnosiwą szczecina.

- Gdzie dziewczynka? - Nie ruszyłem się spod drzwi.

Stałem, opierając się o nie plecami i słysząc skrobanie pazurów po drugiej stronie.

- Bezpieczna, misiu-pysiu - odparł stary pogodnie. - A może lepiej powiem: prawie bezpieczna.

- Co to znaczy?

Zastanawiałem się, czy zdążę go dopaść zanim chwyci w ręce toporek. Ale co się stanie, jeśli ma współnika, który siedzi teraz z Alicją i śledzi moje ruchy? Przecież widziałem po prawej uchylone drzwi na wykrzywionej futrynie.

- Jest tam. - Machnął dłonią, a ja powiodłem wzrokiem za jego gestem. - I mam dla ciebie, Aleksiku, dwie wiadomości: dobrą i złą. Którą chcesz usłyszeć najpierw?

- Złą. - Postanowiłem, że zagram z nim w tę grę.

- Alicja jest chora - powiedział z udawanym smutkiem. Zabrzmiało to jak „chooora”. - Powiedziałbym, że zatrula się czymś. - Spojrzał na mnie. - Bardzo, bardzo się zatrula.

- A dobra wiadomość?

- Mam odtrutkę - rzekł z satysfakcją. - Która tym lepiej działa, im szybciej się ją poda.

- W porządku. Daj dziecku odtrutkę i pogadamy. Przecież ty rządzisz. Jesteś panem sytuacji.

- Ho, ho, Aleksik zmienia front, co? Ale dobrze, chłopcze. Dam jej odtrutkę, tylko musisz mi za nią zapłacić.

- Ile chcesz? - Omal nie odetchnąłem z ulgą.

- Zastanówmy się. - Potarł lewą dłonią czubek nosa; prawą trzymał cały czas niebezpiecznie blisko toporka. - Sto tysięcy złotych? Nieee - odpowiedział sam sobie. - Po co mi pieniądze? Takiemu starcowi, jak ja? Kiedyż, ach kiedyż, bym je zdążył wydać? - Wyraźnie drwił.

Miałem wrażenie, że szykuje niespodziankę. Trzymał w zanadrzu asa i wiedział, że ja o tym wiem.

- Pamiętasz naszą rozmowę o przyzwoleniu na agresję, Aleks? I o tym, że chcesz tylko przeżyć?

- Pamiętam. - Cały czas zastanawiałem się, czy skoczyć w jego kierunku, czy jeszcze czekać.

Błyskawicznym ruchem wyciągnął z kieszeni drelichu mały pistolet. Zabaweczkę kalibru dwadzieścia dwa. Wycelował we mnie.

- Dostanę szalu, jeśli nie będziesz mnie słuchał i zastanawiał się, czy zdążysz mnie dopaść zanim chwycę siekierę - powiedział zjadliwie. - Teraz już wiesz, że nie zdążysz, więc słuchaj.

- Słucham - odparłem.

- Dam ci szansę, Aleks, byś ukazał światu dobrą, jasną stronę swej zmalretowanej duszyczki - rzekł na poły patetycznie, na poły ironicznie. - Moją ceną za uzdrowienie Alicji jest twoja ręka.

- Co?! - Czulem, że wargi, chcąc nie chcąc, składają mi się w grymas uśmiechu.

- Ręka. A raczej dłoń - wyjaśnił zamyślony. - Położysz ją na tym stole - stuknął kolbą pistoletu w blat - a ja uderzę z góry siekierą. Aleks, wyjaśnijmy coś sobie: jestem starym,

niezdarnym człowiekiem. Moje dłonie drżą. Mogę wcale cię nie trafić. Albo mogę zaledwie ściąć ci opuszek palca. Albo odrąbać cztery palce przy stawach, zostawiając resztę.

Robiło mi się niedobrze, kiedy go słuchałem, ale najwyraźniej nie żartował.

- Jakie mam gwarancje? - wydusiłem z siebie, a mój głos mnie samemu wydał się stłamszony i piskliwy.

- Gwarancje? - zdziwił się łagodnie. - Nie masz żadnych gwarancji. Nawet takich, że naprawdę mam odtrutkę. Jednak możesz zobaczyć Alicję. - Machnął pistoletem w kierunku na wpuł przymkniętych drzwi. - Tylko przedtem rzuć na ziemię komórkę.

Cholerny staruch. Pierwszym, co przyszło mi do głowy, było, że zamknę drzwi, zablokuję je od środka i zadzwonię po policję i pogotowie. Z tej swojej dwudziestki dwójki mógłby strzelać do znudzenia, a wątpię, żeby przebił grube deski szopy. Rzuciłem komórkę na ziemię.

- Podskocz sobie na niej, Aleksiku - poradził. Wdepnąłem obcasem w telefon i usłyszałem chrupnięcie.

- No, idź już do małej - zezwolił, odprowadzając mnie lufą pistoletu.

Alicja leżała na polowym łóżku w kącie szopy. Miała szarą spoconą twarz i przymknięte oczy. Musiała usłyszeć moje kroki albo zobaczyć, że wchodzę, bo na moment uniosła powieki.

- Aleks - szepnęła.

Podbiegłem do niej i usiadłem na krawędzi łóżka. Pachniała potem, chorobą i śmiercią. Była cała rozpalona, na jej twarzy zamarły grube krople potu. Wziąłem Alicję za rękę. Zawsze miała chłodne dłonie, lecz tym razem jej palce były mokre i gorące. Uniosłem dziewczynę lekko i przytuliłem.

- Wszystko będzie dobrze, Alicjo - obiecałem. - Zaraz dostaniesz lekarstwo.

Pocałowałem ją w rozpalone czoło, a ona objęła mnie spazmatycznym ruchem.

- Aleks, wybac mi, jeśli kiedykolwiek byłam dla ciebie zła - gorący szept Alicji owiewał mój policzek - albo sprawiłam ci przykrość...

Umilkła na chwilę i ciężko dyszała. Czułem, jak łomocze jej serce. Wtulała się we mnie coraz mocniej.

- To wszystko dlatego, że tak bardzo cię kochałam - szeptała z ustami tuż przy moim policzku. - I tak bardzo nie chciałam się do tego przyznać.

- Alicjo - poczułem jak niechciane łzy ciekną mi po policzkach - wszystko będzie dobrze, maleńka.

Wiedziałem, że w innym wypadku zamordowałyby mnie za tę „maleńką”, teraz jednak tylko westchnęła ciężko.

- Pytałeś mnie kiedyś, co chciałabym robić w życiu, pamiętasz Aleks? - Czułem, że mówienie sprawia jej kolosalny ból, ale widać musiała i chciała to powiedzieć.

- Tak, kochanie, pamiętam.

- Chciałabym zawsze być z tobą... Pomagać ci, jak będziesz tego... potrzebował...

Pozwoliłem jej opaść na łóżko. Wstałem i wyszedłem z komórki. Spojrzałem prosto w złośliwe oczy starca po drugiej stronie stołu. W tym czasie zdążył wpuścić do środka psa, który teraz siedział pod blatem, szczerząc zęby. Tak jak poprzednio miał podkulony ogon i stulone uszy.

- Kończmy zabawę, świrze. - Położyłem dłoń na nieheblowanych deskach.

Ciemny, wąski wylot lufy spoglądał prosto w moją twarz.

- Będę uderzał lewą ręką - rzekł spokojnie. - To zwiększa twoje szanse.

Przyglądał się mojej ręce i ja też, w ślad za jego spojrzeniem, opuściłem wzrok. Biała dłoń z pięcioma palcami (jeszcze pięcioma, pomyślałem gorzko) odcinała się od ciemnej powierzchni drewna. Czułem chropowaty, pełen nierówności blat.

- Prawa ręka pisarza. - W głosie szaleńca usłyszałem zadumę. - Co ja z nią zrobię? Przybiję do ściany w sali myśliwskiej? Powieszę nad kominkiem? Zakonserwuję w formalinie?

Pomimo tego, że mówił leniwym zamyślonym tonem, wiedziałem, iż jest przygotowany na atak. Lufa jego dwudziestki dwójki pewnie celowała prosto w moją pierś. Może bym przeżył strzał z tego małego pistoleciku, a może bym nie przeżył. A poza tym Bóg tylko raczył wiedzieć, gdzie szaleniec chował odtrutkę. Jeśli, o co modliłem się gorąco, odtrutka w ogóle istniała.

- A co ty byś chciał, Aleks?

- Najbardziej bym chciał, żeby została tu gdzie jest - udało mi się odpowiedzieć przez zaciśnięte zęby.

- Możesz wyjść - parsknął śmieszkiem. - W każdej chwili możesz wyjść, Aleksiku. Odwracasz się, wychodzisz i nigdy więcej się nie spotkamy. To takie łatwe.

- Jeśli Alicji coś się stanie, zabiję cię z ręką czy bez ręki. - Musiałem wczepić się palcami w blat, żeby ukryć drżenie dłoni.

Stary na razie trzymał toporek nisko. Chwycił go dla lepszej równowagi w połowie trzonka. To dobrze, pomyślałem, cios będzie słabszy. Ale widziałem też, że siekiera jest nowiutka, prosto ze sklepu, a ostrze wąskie i nie stępione. Skurwiel obetnie mi palce, myślałem chłodno. Dobra, z tym da się żyć. Abym tylko nie stracił przytomności i nie wykrwawił się. Abym tylko zdążył podać Alicji odtrutkę i dojść do najbliższego domu. Nawet nie chciałem zastanawiać się, co będzie, jeśli stary najpierw odetnie mi rękę, a potem strzeli. Przecież może zrobić ze mną wszystko. Poszatkować na kawałki. Zmasakrować. Albo zabić Alicję na moich



oczach. Nie wytrzymałem natłoku myśli i szarpnąłem się do przodu, chcąc odtrącić rękę z pistoletem. Jednak świr był szybki. Odskoczył do tyłu, w tym samym momencie pies wżarł się w moją łydkę. Wrzasnąłem, pochyliłem się i chwyciłem zwierzę za górną szczękę oraz kark. Puścił nogę, zwinął się jak sprężyna i zwał do kąta szopy. Zza rozdartej nogawki spodni skapywała krew. Podniosłem wzrok.

- Mieliśmy grać fair, Aleks - przypomniał stary ze znużeniem. - Dawaj łapę z powrotem i nie próbuj żadnych sztuczek, bo zaraz każę ci tu położyć kutasa.

Wiedziałem już, że go zabiję. Odnajdę na końcu świata i zabiję. I sprawię, że będzie wiedział, iż umiera. Przeżyje wiele minut i wiele godzin, o których będzie marzył, żeby były ostatnimi...

- Chciałbyś mnie zabić, co Aleks? - zaśmiał się suchym śmiechem. - Nie ma się co trudzić. Pan R. robi to za ciebie. Każdego dnia zżera coraz to nowe komórki. Niedługo ja sam będę jednym wielkim Panem R. No, dawaj łapę!

Odłożył na chwilę toporek i poprawił czapkę, spod której wyszedł mu kosmyk włosów. Ale lufa cały czas badawczo spoglądała w moją stronę. Położyłem znowu dłoń na stole. Zastanawiałem się, jak powinna leżeć. Czy lepiej, jeśli będę trzymał palce rozczapierzone, czy ściśnięte jeden przy drugim? Chyba w tym pierwszym wypadku jest większa szansa, że obetnie mi tylko dwa lub trzy palce. Może przynajmniej uda mi się zachować kciuk?

- Odważni nie żyją wiecznie, tchórze nie żyją wcale - szepnąłem do siebie.

- Mam nadzieję, że umiesz się brandzlować lewą ręką - rzekł starzec i uniósł toporek za głowę.

Zamknąłem oczy. Cholernie bałem się bólu. Ale najbardziej bałem się też tego, że niedługo zobaczę kawałki własnego ciała rozrzucone po tym brudnym stole, niczym resztki mięsa z uboju. Nie wolno ci zemdleć, powtarzałem w myślach. Pamiętaj, nie wolno ci zemdleć.

- Jesteś tego pewien, Aleks? - usłyszałem. - Naprawdę chcesz oddać rękę za życie tej smarkuli? A jeśli dawka, którą jej dałem wcale nie jest śmiertelna, co? Ot, pochoruje, porzyga i wyzdrowieje. Po co tracić głupio rękę? Chcesz, to ja po prostu sobie teraz pójdę, co?

Mogłem się zgodzić. Poczekać, aż pójdzie, i pobiec do najbliższego domu. Wezwać pogotowie. Ile minie czasu, zanim przyjedzie karetka? Ile minie czasu, zanim dotrzemy do szpitala i lekarze dadzą jej lekarstwo lub przepłuczą żołądek? Czy Alicja to wytrzyma? A czy ja wytrzymam, jeśli ona umrze na moich rękach? I co potem zrobię? Położę bukiet na jej grobie?

- Wal - syknąłem przez zaciśnięte zęby.

- Nagle z trzaskiem drzwi otwiera.

*Skacze rzeźnik jak pantera.*

*Do Aleksa bieży żwawo*

*i toporkiem w lewo, w prawo*

*uciął palce jeden, drugi,*

*aż krew trysła we dwie strugi - wykrzyczał załamującym się piskliwym głosem.*

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że ma nabrzmiałą, wykrzywioną wściekłością twarz. Jego oczy były szalone. Zdawały się wyskakiwać z orbit, a twarz pociemniała od napływającej krwi. I zobaczyłem też, jak z impetem opuszcza rękę, a toporek kreśli srebrno-czerwoną smugę. Dzisiaj przysięgłbym, że widziałem tę smugę w powietrzu, choć wiem, że to niemożliwe. Ostrze z łomotem wbiło się w blat. Utkwiło dokładnie pomiędzy moim wskazującym a środkowym palcem. Czułem na skórze chłodny dotyk metalu.

- Koniec zabawy, Aleks. - Miał już spokojną twarz i zmęczony głos starego człowieka znużonego długą rozmową lub wysiłkiem fizycznym.

Wyjął zza pazuchy fiolkę i rzucił na stół.

- Daj jej to. Trochę będzie chorować, ale nie bardziej niż ty po przepiciu.

Spojrzał na toporek wbity pomiędzy moimi palcami, potem podniósł wzrok. Teraz miał w oczach figlarne błyski.

- Siekierkę możesz sobie zatrzymać na pamiątkę - rzucił.

Odsunął się od stołu, wsadził pistolet do kieszeni i gwizdnął na psa.

- Bywaj, Aleksiku. Zdałeś egzamin na piątkę. - Żartobliwie udał, że strzela do mnie z dwóch palców, po czym otworzył drzwi i wyszedł.

Patrzyłem za nim i nie mogłem się ruszyć. Dopiero po chwili sięgnąłem lewą ręką i podniosłem nią prawą dłoń leżącą na blacie. Przyglądałem się jej i uszczypnąłem, by z radością poczuć ból. Splotłem palce obu dłoni. Drżały mi jak w febrze. Na nogach miękkich niczym z waty powlokłem się do komórki, w której leżała Alicja. Usiadłem obok niej i odkręciłem fiolkę.

- Aleks? - wyszeptała Alicja.

- Mam lekarstwo - powiedziałem łagodnie. - Pij, kochanie.

Przechyliłem fiolkę i delikatnie, aby nie uронić nawet kropli, wlałem całą zawartość do jej ust. Skrzywiła się.

- Paskudztwo - szepnęła.

Siedziałem przy niej, dopóki nie zasnęła, a jeszcze potem siedziałem przy niej, dopóki się nie obudziła. Na dworze było już ciemno, lecz mój wzrok przyzwyczyił się do tego mroku i widziałem bladą twarz Alicji. Gdzieś tam, nad nią, widziałem również cień czarnego kruka. Iskał sobie skrzydła dziobem przypominającym ostrze włóczni.

- Aleks - uśmiechnęła się, lecz jej oczy były nadal przygaszone - chciałeś oddać rękę za mnie? Naprawdę?

- Kto ci takich głupot nagadał, Alicjo? Po prostu dałem mu w mordę i sobie poszedł... Zignorowała moje słowa.

- Na dobre i na złe, Aleks, prawda? Na zawsze... - Pokiwała głową, ścisnęła mnie mocno za nadgarstek i znowu usnęła.

\* \* \*

Nie mam pojęcia, w jaki sposób Alicja znalazła się w moim nowym mieszkaniu. Ostatnie, co pamiętałem, to dziewczynę w białych dżinsach, którą odprowadzałem do drzwi. Miała taki biust, że piłki do koszykówki poczułyby się między nim malutkie i zagubione. Dałbym sobie głowę uciąć, że założyłem potem łańcuch przy zamku. Jak widać, źle pamiętałem, i jak widać, nie powinienem zakładać się o własną głowę.

Kiedy się ocknąłem, Alicja siedziała na krześle i patrzyła na to, co zostało po kreskach białego towaru, jaki rozdzielałem w nocy pomiędzy siebie a dziewczynę, której imienia nie przypominałbym sobie nawet wtedy, gdyby miało od tego zależeć moje życie. Zresztą, któżby się przejmował imionami ich wszystkich, kiedy tylko zamkną się za nimi drzwi?

- Wciągnij - zaproponowała. - Wciągnij i rozkoszuj się każdą sekundą, w której masz w sobie ten syf.

Spojrzałem na nią, nie rozumiejąc, co ma na myśli. Zresztą byłem jeszcze tak narąbany, że gdyby ktoś kazał mi wyskoczyć z ostatniego piętra Pałacu Kultury, to spytałbym tylko, w którą stronę leci się do Nibylandii. Poza tym, durne pytanie, wszyscy wiedzą, że zjawi się Dzwoneczek i pokaże drogę...

- Albo biały proszek, albo ja - wyjaśniła, potem uśmiechnęła się. - Wciągnij, Aleks... To twój ostatni raz.

- Alicjo - starałem się trochę otrzeźwieć - zostawiłem cię w mieszkaniu. Miałaś spać. Jakim cudem...

- Aleks, przestań! - warknęła. - Po prostu wciągnij swoją ostatnią kreskę w życiu!

- Ostatnią? Bo co? Mam ci coś przyrzec? - zadrwiłem.

Miałem nadzieję, że to wszystko się nie dzieje. Że to tylko parszywy sen, w którym dziewczynka, którą chciałem się opiekować, widzi mnie w tak, łagodnie mówiąc, niezręcznej sytuacji.

- Po prostu będę wiedziała - odparła bardzo spokojnie. - No już! Ciągnij!

W opowieściach pisanych przez romantycznych pisarzy przeczytalibyście, jak to bohater pogardliwie zdmuchnął cały towar na dywan i patetycznym głosem wyrzekł: „to już koniec!”. Ja nie sądziłem, by to było dobre rozwiązanie. Wziąłem zwinięty w rulonik banknot i wniuchałem to, co zostało na blacie. O kurwa mać! Jak perfekcyjnie tańczy się z Białą Damą! Perfekcyjnie również dlatego, że to naprawdę był ostatni taniec w moim życiu. Bo jeżeli przyjaciel daje ci wybór pomiędzy narkotykami a nim samym, to wolisz narkotyki czy przyjaciela? Jeżeli wybierzesz narkotyki, ustalisz sobie dalszą drogę życia. Najczęściej krótkiego i niespecjalnie interesującego (choć, przynajmniej szczerze: bywa inaczej). Będziesz tłumaczył przed samym sobą, że jesteś nowoczesnym człowiekiem, a ten ktoś nie rozumiał cię i był pozbawiony wyobraźni. Ot, odwieczny konflikt pomiędzy wesołym Sunlight City a ponurym Ciemnogrodem. Przekonasz sam siebie, że ludziom nie wolno stawiać warunków i prawdziwie kocha się przecież nie za coś, lecz mimo czegoś. Najprawdopodobniej we wszystko to święcie uwierzysz. Nie przyjmiesz do świadomości myśli, iż tak naprawdę wybrałeś pomiędzy człowiekiem i jego uczuciem, a kupką białego pyłu. Jednak jeżeli skorzystasz z drugiej opcji i wskażesz na przyjaciela, nie jesteś jeszcze ocalony. Na początku będziesz tylko dźwigał krzyż, a każdy krok wyda ci się męczarnią. Dużo, dużo później poczujesz, że dźwiganie ciężaru sprawia ci przyjemność. Jeszcze potem zobaczysz, że to wcale nie jest krzyż, lecz zwykłe drewniane deski. A dopiero kiedy w ogóle zapomnisz o tym, że cokolwiek niesiesz na swoich ramionach, wtedy znajdziesz się blisko zbawienia.

Ja jednak wiedziałem, że teraz jestem tak samo blisko zbawienia jak Judasz Iskariota w chwili przyjmowania trzydziestu srebrników. Ale to minie. Ufałem, że to minie... Alicja dała mi wybór pomiędzy sobą a prochami. Kiedyś mówiłem, że gdybym (w innej sprawie) dokonał złego wyboru, to mógłbym się porzygać na widok własnej twarzy w lustrze. Wiedziałem, że gdybym źle wybrał teraz, w lustrze nie dostrzegłbym nawet własnego odbicia. I słusznie, ponieważ mówi się przecież, że lustra pokazują prawdę, a w takim wypadku jedyną prawdą byłaby pustka.

Alicja zebrała wskazującym palcem resztki białego pyłu, który pozostał na blacie, a potem wtarła mi go w dziąsła. Teraz już byłem pewien - to wszystko nie działa się naprawdę. Wiedziałem też jedno. W tym wypadku przyrzeczenie złożone we śnie działało tak samo, jak przyrzeczenie złożone na jawie...

- Smacznego - powiedziała z ujmującym uśmiechem.

- To będzie kusilo. - Zmrużyłem oczy i oparłem się na poduszce.

Wiedziałem, że już za momencik pocuję to cudowne trafienie, po którym mój umysł stanie się przejrzyste jasny, a dusza anielsko piękna. Zresztą czymże innym, jak nie złudnym urokiem miał nas kusić Szatan? Trędowatymi kurwami? Był na to zbyt mądry...

- Owszem, będzie kusilo - potwierdziła. - Ale jeśli zrobisz to jeszcze raz, nigdy ci nie wybaczę. Nigdy się już do ciebie nie odezwę... Będziesz dla mnie nieznajomym. Zrozum, Aleks, jeśli mi to zrobisz, to tak jakbyś mnie zabił w swoim życiu. Być może będziesz widział Alicję, lecz to będzie bardzo obca Alicja.

Patrzyłem na nią i wiedziałem, że mówi prawdę. Nie będzie przebaczenia. Wyciągnąłem dłoń i dotknąłem palcami jej buzi. Jak ślepiec badający rozmówcę. Potem otworzyłem oczy szerzej.

- To niesprawiedliwe - zacząłem. - Bo zobacz, że... Chciałem jej powiedzieć, że te konkretne prawne nakazy są tylko i wyłącznie wytworem naszej cywilizacji. Że w Boliwii i Peru... Że podziwiane gwiazdy filmu, rocka i modelki...

- Wiem, że to niesprawiedliwe - przerwała - ale to moje.

Tak, to było jej. Jej prawda. Jej żądania. Jej oczekiwania. Coś, co znajduje się poza sferą polemiki oraz negocjacji.

- Wypowiedziałaś życzenie - rzekłem i sam czułem, iż mój głos wściekle brzmi. - I ja mam je spełnić. A co w zamian?

Najpierw usłyszała te słowa, potem je zrozumiała, jeszcze moment trwało zanim dotarło do niej ich znaczenie.

- Cokolwiek. - Wzruszyła w końcu ramionami. - Zgadzam się na wszystko. Masz takie same prawa... Zażądaj, czego chcesz... Jestem twoją złotą rybką, Aleks...

Szczerze deklaracje tworzą wielką magię. Oddała mi się. Oddała się całkowicie. Wiedziałem, że mogę zażądać wszystkiego. Tolerancji dla mojego niezdrowego nałogu, akceptacji go, a nawet uczestniczenia w nim. Tylko w tym wszystkim był jeden problem. Czy gdybyś miał siostrę, Aleks, to zgwałciłbyś ją jedynie dlatego, że leży nieprzytomna na łóżku? Władza jest piękna. A kiedy masz mnóstwo, mnóstwo władzy, wtedy decyduje się, jakim jesteś człowiekiem. Ja postanowiłem skorzystać z udzielonej mi władzy i zażądać czegoś, czego Alicja nigdy nie zrobiłaby z własnej woli. Wręcz rozkoszowałem się podłością mojego żądania, choć wiedziałem też, że kiedyś bieżedna ofiara sama będzie wdzięczna swemu opraaaawcy. Sądzę, że nie wpadłbym na taki pomysł, gdyby Biała Dama nie tańczyła w moim mózgu. Przymknąłem oczy i kilka razy głęboko odetchnąłem.

- W każdą niedzielę wieczorem dam ci książkę. Do następnej niedzieli ma być przeczytana i opowiesz mi, jak ją rozumiałaś. Jasne?

- Zwariowałaś? - Jej oczy były okrągłe niczym spodeczki.

- I jeszcze jedno. Masz porządnie sznurować buty.

- Nie będę czytać książek! - niemal wrzasnęła.

- Coś za coś, Alicjo - odparłem spokojnie. - Za minutę cena się zwiększy, więc decyduj szybko...

W sreberku została jeszcze sporej wielkości biała gruda. Alicja podniosła ją w dwóch palcach.

- Co mam z tym zrobić?

- Z czym? - zapytałem.

- Z resztką twojego koksu...

- Z resztką czego?

Uśmiechnęła się i wrzuciła grudkę do popielniczki, potem niedopałkiem wtarła ją w szklane denko. Kiedy na to patrzyłem, przez chwilę poczułem się tak, jakby ktoś wkłuwał tępe szydło prosto w moje serce. Wydawało mi się, że tracę oddech. Alicja położyła rękę na dłoni kogoś, kto opierał ją na blacie stołu, usiłując powstrzymać drżenie palców. Ja byłem tym kimś? Zapewne tak...

- Nie będzie ci tego brakowało - stwierdziła.

- Będzie. - Przecież wiedziałem lepiej od niej. W końcu to ja byłem dorosły, a ona była dzieckiem... - Ale co to za różnica?

- Dużo od ciebie wymagam, Aleks, prawda? - zapytała z nagłym smutkiem w głosie.

Uniosłem dłoń (znowu należała do mnie!) i objąłem palcami nadgarstek Alicji.

- Nic, czego bym nie chciał - powiedziałem. - Jesteś... - Przez dłuższy czas szukałem właściwego słowa.

- Wiem, Aleks - przerwała mi. - Ty też jesteś najważniejszy.

Potem roześmiała się.

- No, dobra! Jaki jest pierwszy tytuł? - zapytała. Zrozumiałem, o co chodzi, i cieszyłem się, że przyjęła moje warunki.

- Zacznijmy od czegoś lekkiego, miłego i wciągającego. „Hobbit” - zdecydowałem. - Autor J.R.R. Tolkien.

- A myślałam, że „Lolita” Nabokova - zadrwiła. Zobaczyła mój wyraz twarzy.

- Przepraszam, Aleks - powiedziała natychmiast. - Przepraszam, chciałam być złośliwa, bo z tym czytaniem mnie wkurzyłeś... Jezus, przecież ja wiem...

- Był taki moment, kiedy nie wiedziałaś, prawda? - przerwałem jej.

Przyglądała mi się uważnie, później kiwnęła głową.

- Przez chwilę - przyznała po dłuższej przerwie. - Jak stałam w progu, to jeszcze nie wiedziałam...

Co by się ze mną stało, gdybym okazał się innym człowiekiem niż byłem? Zginąłbym w wypadku samochodowym? Umarłbym na galopującego raka? A może po prostu

przewegetowałbym życie, pracując nad scenariuszem, którego nikt nie chce? Dużo później ośmieliłem się zadać jej to pytanie. „Nigdy nie zobaczyłam w tobie czerni, Aleks - odpowiedziała. - Mnóstwo pobrudzonego białego, ale nigdy czerni”.

„A gdybym miał takie właśnie myśli? - zapytałem z ponurą przekorą. - Przecież w wieku czternastu lat w wielu krajach świata dziewczęta mają mężów i rodzą dzieci. Żeby chociaż przypomnieć naszą królową Jadwigę...”

„A czy gdyby prawo pozwalało zabijać dzieci do piętnastego roku życia, to zabiłbyś mnie, Aleks?” - przerwała.

Miała rację. Możliwość nie oznacza konieczności. Prawo moralne we mnie, niebo gwiazdziste nade mną. I takiego racz mnie zachować, Panie...

Kiedy obudziłem się rano, nie miałem pojęcia, czy w nocy rozmawiałem z Alicją, czy też wszystko tylko mi się przyśniło. Miałem nadzieję, że jednak przyśniło. Na samą myśl o tym, że mogłem brać przy niej narkotyki, robiło mi się słabo.

Podniosłem głowę.

- Dzień dobry, Aleks. - Alicja miała wypoczęty, rozbawiony głos. - Lubisz szampana na kaca?

Spojrzałem na nią tak, jakby była nocnym koszmarem. Choć zapewne na miano nocnego koszmaru bardziej zasługiwałem ja sam. Bogu dziękować w pobliżu nie było lustra i nie mogłem się w nim obejrzeć. Ale, wiercie mi, że jeśli sama wasza twarz czuje, że jest spuchnięta, a oczy czują, że są podkrążone, to jest już naprawdę niedobrze. A słowo „niedobrze” jest w tym wypadku eufemizmem.

Podąła mi wysmukły kieliszek.

- Matko święta - mruknąłem i wziąłem z jej dłoni szampana, starając się nie rozlać.

Przy okazji opuściłem wzrok i zauważyłem, że Alicja ma bardzo porządnie zasznurowane buty. Gdzie się podziały te sploty i węzły, w których zgubiłby się nawet miecz Aleksandra?

- Wypijmy za następny piękny dzień! - zawołała. Z trudem, jednak udało mi się skoncentrować wzrok na jej dłoni.

- Co masz w kieliszku? - spytałem ostrym tonem.

- Wodę cytrynową z gazem - odparła urażona.

- Daj spróbować.

- Nie ufasz mi? - zachnęła się. Zrobiło mi się cholernie przykro i głupio.

- Oczywiście, że ufam - zarzekłem się szybko. - Wierzę ci i nigdy nie zwątpiłbym...

Cisnęła kieliszkiem o ścianę z taką siłą, że szkło rozbryznęło się po całym pokoju. Jeden okruszek szkła wbił mi się w policzek.

- Miałam szampana! - wykrzyczała. - Kurwa! Chciałam cię oszukać, Aleks!  
Nigdy nie słyszałem, by używała wulgaryzmów. Wyciągnąłem swój kieliszek w jej stronę.

- Proszę - powiedziałem. - Napij się ode mnie, skoro ci się wylało...

Przyglądała mi się dłuższą chwilę.

- Bardzo ci dziękuję, Aleks. - Uśmiechnęła się. - Tak naprawdę nie przepadam za zepsutymi winogronami. Należę sobie wody mineralnej, dobrze?

- Dobrze, moja droga - odparłem. - A potem bądź grzeczną dziewczynką i albo pozbieraj szkło z podłogi, albo rozrzuć na niej dla urozmaicenia jeszcze trochę pinesek...

- Ho, ho, ho - zaśmiała się. - Jakież ty masz ostry dowcip z samego rana...

Przytuliłem policzek do poduszki. Wedle moich marzeń poszewka powinna być chłodna niczym wnętrze lodówki. Nie była...

- Przez następnych osiem godzin będziemy grać w grę „kto się pierwszy odezwie, jest idiotą” - wymamrotałem.

- Masz piękne sny, Aleks?

- Czy ja wiem? - Wzruszyłem ramionami. - Raz lepsze, raz gorsze. Ostatnio kilkakrotnie przyśnił mi się kruk. Czy to dobry znak?

- Czarny kruk?

- Białe kruki są tylko w księgarniach. - Roześmiałem się.

- Bałeś się go i jednocześnie go lubiłeś, prawda?

- Prawda. - Spojrzałem na nią zdumiony. - Skąd wiesz?

- Oj, Aleks, trzeba czytać horoskopy w kolorowych pisemkach, to też byś wszystko wiedział... - Machnęła dłonią.

Dwa lata później zorientowałem się, że mnie oszukała. A może inaczej: wiedziałem, że uciekła od prawdy, by sprzedać bajeczkę. Bo nikt z nas nie dojrzał do prawdy. A na pewno nie dojrzałem do niej ja, gdyż nigdy nie uwierzyłbym, że spotkam ludzi, którzy wypróbują na moim ciele wiele sposobów zadawania bólu. Teraz jestem pewien, że Alicja nie wiedziała, iż wszystko potoczy się aż tak źle. Że będzie tyle krwi i łez. Tyle samotności i cierpienia. Kruk wiedział. Gdyby kruki mogły się uśmiechać, uśmiechałyby się... Cóż... Niepotrzebnie ubiegam wypadki, gdyż to wszystko miało się wydarzyć wiele, wiele miesięcy później. Chociaż mam pewność, że wiedząc o wszystkim, co mnie czeka, dokonałbym takich samych wyborów.

\* \* \*



Są pytania, które pozostają bez odpowiedzi. Są pytania, których nie można zadawać. Są odpowiedzi, do których trudno znaleźć pytanie. Jest znowu lato. Lipowe pyłki wirują całymi chmurami w powietrzu, zmuszając mnie do zdecydowanego nadużywania środków antyalergiczych. Alicja niedługo skończy piętnaście lat, a ja jestem sławny i bogaty. No cóż, może nie za bardzo sławny i nie za bardzo bogaty, lecz oboje wiemy, że to dopiero początek. Mieszkamy w apartamencie na ostatnim piętrze wysokiego bloku, z balkonu którego wyłania się perspektywa na całe centrum Warszawy. Mam dobry samochód i mnóstwo pracy. Mój film nie zdobył Oscara, a większość laurów i tak zebrał znany aktor, z którym od czasu do czasu wypuszczamy się na ostre popijawy. Dostałem jednak inne nagrody, a za nimi poszły kolejne propozycje. Teraz ja wybieram w ofertach, bo nie na wszystko wystarcza mi czasu. Robię to, co lubię i co mnie pasjonuje. Alicja, jak zwykle, ogląda południowoamerykańskie telenowele i jest złośliwa jak diabli. Tylko czasami, kiedy myśli, że nie widzę, dostrzegam, iż przypatruje mi się spod przymrużonych powiek, a jej oczy zachodzą łzami, które błyskawicznie przeciera dłonią. W uszach zawsze nosi złote łożki z małymi brylancikami.

- Dzisiaj będzie dobry dzień, Aleks - mówi, podłączając do gniazdka elektryczny czajnik. - Chcesz herbaty?

- Czemu nie? A dlaczego dobry?

- Tak mi się wydaje.

Telefon od znanego aktora mnie nie dziwi. Gwiazdor jest lekko przymulony, za to w doskonałym humorze.

- Cześć Clinton! - woła tak głośno, że muszę odsunąć słuchawkę od ucha. - Pieprzone Szwaby chcą kupić twój scenariusz i zrobić własny film.

Potem mówi mi, ile się płaci za prawa do scenariusza, a ja tylko kiwam głową. Alicja ma rację - to jest dobry dzień.

Ach, i jeszcze jedno. Anna znalazła swoją drugą połówkę. Piękną i miłą dziewczynę o twarzy renesansowej Madonny. I jak zwykle zdarzyło się to przypadkiem. Alicja siedziała obok prowadzącej samochód Anny, odwróciła się do mnie, by coś powiedzieć, i potrafiła Annę łokciem. Mieliśmy małą kolizję z autem prowadzonym przez tę piękną dziewczynę, a kolizja od słowa do słowa i od spotkania do spotkania zamieniła się w eksplozję uczuć. Anna stale jeździ teraz z nową przyjaciółką do dziwnego domu na działce (z której to działki raz na zawsze wyniosły się krety) i lubię wyobrażać sobie, że kochają się na niedźwiedziej skórze w różowawym poblasku płonących na kominku drew.

- Wiesz - powiedziała kiedyś Anna - to zdumiewające, jaka jestem ostatnio roztargniona. Zawsze znajduję w szafce czarne oliwki. Przysięgłabym, że ich nie kupowałam, a są... Dziwne, prawda?

Nie, to nie było dziwne, lecz nie zamierzałem dzielić się z Anną moimi przemyśleniami. Chociaż zapewne by je zrozumiała.

\* \* \*

W moich snach coraz częściej pojawia się czarny kruk. Czasami siedzi kilka metrów od łóżka i mi się przygląda. Czasami podlatuje i opada na moją pierś. Nie boję się go, chociaż wiem, że granitowy dziób mógłby zgruchotać kości i przedrzeć się do samego serca.

- Czego chcesz? - pytam.

- Niczego - kracze. - Czyż nie na tym polega miłość? Że nie pragnie się niczego od drugiej osoby?

- Kłamiesz - odpowiadam.

- Oczywiście, że kłamię - mówi, nie przestając patrzeć mi prosto w oczy. - Ale kocham cię. W to wierzysz, prawda?

Chciałbym powiedzieć „nie”, lecz nie mogę. Wiem, że mnie kocha. Miłością, której nie mógłby odmalować żaden malarz na świecie, gdyż z palety znanych kolorów nie da się wydobyć odpowiedniej dozy czerni.

- Nie zostawisz mnie w spokoju? - pytam, znając odpowiedź jeszcze przed zadaniem pytania.

On kracze, a w tym krakaniu rozbrzmiewa śmiech. Potem poważnieje.

- Nawet, gdybym chciał... - mówi.

- Dlaczego... - zaczynam i nie za bardzo wiem, jak dokończyć pytanie.

- Niektórzy mówią: awers i rewers - odpowiada, jakby je usłyszał. - Inni mówią: światło i mrok. A może: wieczór i noc? Albo: świt i południe? Albo: kruk i biureczko?

Znam ten dowcip z powieści Lewisa Carrolla, więc nawet się nie uśmiecham. Zagadka zadana przez Kapelusznika brzmiała: „Czym się różni kruk od biureczka?”. Odpowiedź brzmiała: „Nie wiem”.

Gdy się budzę i wstaję do łazienki, widzę Alicję stojącą ze szczotką do włosów w dłoni i przeglądającą się w lustrze, które zajmuje całą ścianę małego przedpokoju.

- Nie potrafię poradzić sobie z tymi włosami - narzeka. - No bo czy tak, czy tak? - Zbiera włosy w koński ogon i rozpuszcza niezdecydowana, kiedy wygląda lepiej. - Jak myślisz, Aleks?

- Hmm... - mruczę z zakłopotaniem, a ona tylko macha ręką.

- Chciałabym mieć już osiemnaście lat - wzdycha.

- Dlaczego akurat osiemnaście? - pytam.

- A dlaczego nie? - Wzrusza ramionami i odwraca się do mnie, a w jej oczach widzę coś, co może nie do końca ma mnie prawo dziwić, lecz z całą pewnością może mi dać do myślenia.

***KONIEC TOMU PIERWSZEGO***